

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/549

1993



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K.W. TATAROWSKI:

O SAMOTNOŒCI GINĄCYCH

A. PACZKOWSKI:

PIERWSZE REAKCJE PO KLĘSCIE

P. DASZKIEWICZ:

ZAGROŒZENIE EKOLOGICZNE

SPIS RZECZY

Konrad W. Tatarowski	<i>Biedna Bośnia czyli o samotności ginących</i>	3
Zbigniew P. Zagórski:	<i>Upadek Imperium a stan jego nauki i techniki (dok.)</i>	12
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	26
Andrzej Paczkowski (opr.):	<i>Pierwsze reakcje po klęsce</i>	40
WIERSZE		
Adam Tadeusz Bąkowski:	<i>Kropla i kamień</i>	53
Jerzy S. Feliksiak:	<i>Palenie listów</i>	53
Mirosława Kruszewska:	<i>Rozmowa z Piotrem</i>	54
Artur Szlosarek:	<i>Chomik</i>	55
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Przed sezonem myśliwskim</i>	57
Andrzej Świdlicki:	<i>Od komunizmu do coca-colizmu</i>	63
Smezc:	<i>Z ukosa</i>	72
Stanisław Polaczek:	<i>Szanse i ryzyka polskiej gospodarki u progu XXI wieku</i>	83
WYWIADY „KULTURY”		
Wojciech Popławski:	<i>Rozmowa z Henrykiem Pałaszczukiem, wicemin. parlamentu stanu Queensland</i>	91
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	97
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraińskie sny o raketach</i>	103
Jan Rusnok:	<i>Zaolzie dziś</i>	108
SPRAWY I TROSKI		
Piotr Daszkiewicz:	<i>Polskie elity polityczne wobec zagrożenia ekologicznego</i>	111
—	<i>O Fundacji ekumenicznej „Tolerancja”</i>	116
KRONIKA KULTURALNA		
Leszek Szaruga:	<i>O elitach</i>	118
Stanisław Polaczek:	<i>Szaleństwo władzy i pustynia informacyjna</i>	120
Józef Dużyk (opr.):	<i>Z nieznanych listów Józefa Czapskiego</i>	122
—	<i>Stacja Naukowa PAN w Paryżu</i>	127
CI, CO ODESZLI		
Agnieszka Osiecka:	<i>Andrzej Jarecki czyli liryka obywatelska</i>	128
Andrzej Jarecki:	<i>Koniec lata</i>	131
Nina Kozłowska:	<i>Krystyna Marek</i>	132
Joanna Krance:	<i>Felicja Krance</i>	135

Dalszy ciąg spisu rzeczy na str. 160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec/Juin 1993

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Dla uczczenia pamięci Stefana Kopera w 3-cią rocznicę Jego śmierci — 13 czerwca 1990 roku — Żona Zofia i Syn Piotr, Arlington, VA (USA) — dol. 100,00	F.	540,00
Zbigniew Okołowicz, Millerton, NY (USA) — po raz 7-y, dol. 76, 00	F.	410,00
Pamięci Stanisława Łokuciewskiego, pseudonim „Mały”, w 20-tą rocznicę Jego śmierci — Jerzy R. Krzyżanowski, Columbus, OH (USA) — dol. 10,00	F.	54,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FLA — po raz 31-szy — dol. 20,00	F.	108,00
Maria i Steve Rasiej, Bogota N.Y. (USA) — po raz 16-ty — dol. 34,00	F.	183,00
W pierwszą rocznicę śmierci Eddy Werfel — zamiast kwiatów na Jej grób — L. i M. Stauber z Niemiec	F.	200,00
Zamiast kwiatów na grób zmarłej 9 kwietnia 1993 roku w Nowym Jorku Lidii Solskiej, wdowy po Wacławie Solskim, siostry Halina Zambirt i Danuta Kinalska w Płocku	F.	500,00
Bezimiennie ze Stockholmu dla uczczenia pamięci Szymona Pyśka, w 5-tą rocznicę Jego śmierci	F.	200,00

DZIĘKUJEMY

WPLĄTY NA POMOC POLAKOM W ROSJI

Ewa i Jerzy Lewiccy, New Bern, NC (USA) — zamiast kwiatów na grób Przyjaciela Kostka Trochanowskiego — dol. 20,00	F.	108,00
A. T. (USA) — dol. 57,00	F.	307,00

SPROSTOWANIE

Do Wpłat na Fundusz *Kultury* odnotowanych w majowej *Kulturze* wkradł się przykry błąd: pp. M i W. Markiewiczowie z USA przekazali dolarów 100 zamiast kwiatów na grób Lidii Solskiej, żony Wacława Solskiego, znanego pisarza, a nie Wiktora, jak mylnie podano.

Przepraszamy za tę pomyłkę.

REDAKCJA KULTURY

Biedna Bośnia czyli o samotności ginących

Z ZAPISKÓW ŚWIADKA (24.I. — 30.IV.1993)

I. Z pierwszej strony *International Herald Tribune* patrzy na mnie od kilku już miesięcy twarz serbskiego zdobywcy. Palił domy zamieszkałe przez bośniackich muzułmanów, a ich mieszkańców, bez różnicy płci i wieku, mordował. Wspomina dziesięcioletnią dziewczynkę, która w momencie rozstrzeliwania całej swojej licznej rodziny usiłowała schronić się przed kulami za swoją tęgą babcią. Nie uniknęła śmierci. Teraz jej morderca, oczekując na proces, opowiada o swoich wyczynach. Był dobrym żołnierzem. Wykonywał polecenia zwierzchników. Wykonywanie ich poleceń sprawiało mu przyjemność. Teraz także, mówiąc o swoim wkładzie w dzieło „etnicznego czyszczenia” terenów, które zawsze należały, należą i należeć będą do Wielkiej Serbii, nie odczuwa żadnej skruchy ani wyrzutów sumienia.

II. Kto pierwszy użył na Bałkanach określenia „czystka etniczna”? Kto podsunął szatański plan zagłady całego narodu, który zamieszkiwał Bośnię-Hercegowinę od stuleci? Odpowiedzi na to pytanie udziela serbska dysydentka (określenie „dysydent” akurat w tym przypadku jest w pełni uzasadnione), Svetlana Slapszak, w listopadowo-grudniowym numerze *Pulsu*. Przytaczam kilka fragmentów najbardziej charakterystycznych: „załamanie się komunizmu w Jugosławii stało się pretekstem do zniszczenia państwowego systemu tolerancji i wspólnego życia wszystkich narodów; (...) Widać

to dzisiaj wyraźnie w Bośni i Hercegowinie: zabija się ludzi, burzy miasta, dlatego, że ludzie *chcieli żyć* razem i dlatego, że *nie chcieli* przyjąć separatyzmu jako jedynej drogi wyjścia z zaistniałej sytuacji, nie chcieli rysować nowych map. (...) Bestialstwo tej wojny (...) opiera się na konkretnych tekstach; teksty te dostarczyli *intelektualiści*. Przede wszystkim, wymyślono nowych Czetników i Ustaszę, zanim jeszcze zmateriałowali się w paramilitarnych jednostkach. (...) Dokonała się najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić pisarzowi: ludzie giną z jego słowami na ustach”.

Svetlana Slapszak przytacza dowody na poparcie swej tezy: narodowy program został sformułowany przez intelektualistów skupionych wokół Serbskiej Akademii Nauki i Sztuki. W swoim tajnym, do tej pory zdaje się nie opublikowanym w całości memorandum, wytyczyli zarysy planu, zmierzającego od zajęcia nowych terenów w imię obrony Serbów poza Serbią. W ramach politycznej współpracy ze stronnictwem Miloszewicza niektórzy akademicy zostali posłami, doradcami, dygnitarzami państwowymi. Pisarz Radomir Smiljanić opublikował w latach 1989-90 „Mein Kampf” Hitlera i opatrzył go kuriozalnymi, „aktualizującymi” przypisami, by udowodnić, że Słowenicy są faszystami. Poeta Matija Bećković zajmuje się z kolei produkowaniem najbardziej potwornych nacjonalistycznych stereotypów, proponując wzniesić w Belgradzie pomnik w szkło i beton, w którym wyeksponowano by kości *wszystkich* zabitych Serbów. Znany również z polskich przekładów Dobrica Cosić, ulubieniec reżimu Tito, a obecnie premier rządu nowej Jugosławii głosi z kolei, że Serbowie wygrywają na wojnie, a tracą w czasie pokoju. Inny znany w świecie pisarz, Milorad Pavić, autor „Chazarskiego słownika”, twierdzi, że demokracja to „gówniany śwąd” i proponuje, by piękny, barokowy chorwacki Vukovar, w całości zburzony przez artylerię i lotnictwo, odbudować w „serbsko-bizantyjskim” stylu.

Oto niektóre przykłady wypisane z artykułu serbskiej dysydentki, która próbowała udzielić odpowiedzi na pytanie „Kto rozpętał wojnę w Jugosławii?”. Oto zatem miniportrety niektórych duchowych „ojców chrzestnych” owego serbskiego wojaka, który nie ma żadnych wątpliwości, że muzułmanów trzeba zabijać. Ale przecież nie oni wydają jawne i tajne polecenia i rozkazy. Oni jedynie oddali się w służbę „duchowi narodu”, bożkowi, którego Mesjaszami się mianowali.

III. Z ekranu telewizora patrzy na mnie uśmiechnięta, gładko wygolona twarz prezydenta Miloszewicza. I Karadžicia, przywódcy Serbów zamieszkałych w Bośni. Ten jest bardziej kanciasty, ponury. Ale tworzą zgrany duet. Ich ręce ściskają kolejni negocjatorzy w Genewie i gdzie indziej.

Pod koniec ubiegłego roku amerykański sekretarz stanu, Eagleburger, zaproponował utworzenie międzynarodowego trybunału, na wzór norymberskiego, przed którym sądzono by zbrodniarzy wojennych z byłej Jugosławii. Na ogłoszonej przez niego wstępnej, dziewięcioosobowej liście zbrodniarzy wojennych znalazło się również nazwisko Vojislava Szeszelja, przywódcy skrajnie nacjonalistycznej Radykalnej Partii Serbii, założyciela zbrodniczych oddziałów „Białych Orłów” i posła do Parlamentu nowej Jugosławii. Idea osądzenia winnych zbrodni ludobójstwa jest z pewnością słuszną — jak jednak twórcy koncepcji Trybunału Międzynarodowego wyobrażają sobie postawienie przed nim czołowego polityka suwerennego państwa? Wszak przywódców Trzeciej Rzeszy sądzono po rozbiciu ich maszyny państwowej i militarnej. Wcześniej żadną ludzką miarą nie było to możliwe. Jest takie powiedzenie, że zwycięzców się nie sądzi. A przywódcy wolnego świata nie zrobili do tej pory nic — piszę te słowa pod koniec lutego, a zatem niemal rok po rozpoczęciu inwazji na Bośnię-Hercegowinę — by Serbom owo poczucie tryumfu zakłócić.

IV. Wojny bałkańskie, które kończą nasze stulecie — a u jego progu stała, przypomnijmy, pierwsza wojna światowa, której początek dało zabójstwo austriackiego księcia Ferdynanda, dokonane w Sarajewie — rozpoczęły się 26 czerwca 1990 roku, dzień po ogłoszeniu przez Słowenię i Chorwację niepodległości. Wtedy to federalna armia Jugosławii, zdominowana przez Serbów, rozpoczęła zbrojną interwencję najpierw w Słowenii, potem w Chorwacji. Trwały walki, ginęli ludzie.

Wszystko to jednak mieściło się ciągle w ramach powszechnych wyobrażeń o wojnie, która zawsze niesie ze sobą śmierć i zniszczenie. Jeszcze wtedy można było dzielić odpowiedzialność za dziejące się zło między przywódców trzech zaangażowanych w konflikcie stron. Bo przecież władze Słowenii i Chorwacji też podgrzewały nacjonalistyczne nastroje we własnych krajach, czyniąc z narodowego szowinizmu oręż w politycznej walce z tymi, którzy byli zwolennikami zachowania dawnej Jugosławii jako konfederacji auto-

nomicznych państw, utworzonych w granicach byłych republik.

V. W marcu ubiegłego roku wojska serbskie weszły do Bośni-Hercegowiny. Rozpoczął się trzeci — czy ostatni? akt bałkańskich wojen. Latem prasa amerykańska opublikowała pierwsze relacje o obozach koncentracyjnych. Pojawia się określenie „czystka etniczna” dla świadomej i celowej metody *eksterminacji* bośniackich muzułmanów. Odkrycia te niewiele zmieniły w sposobie traktowania konfliktu na Bałkanach przez polityków wolnego świata. Nałożone we wrześniu 1991 roku embargo na broń dla terytorium całej byłej Jugosławii postawiło w uprzywilejowanej sytuacji bośniackich Serbów, dozbrajanych i wspieranych przez potężną armię byłej Jugosławii. Opanowali oni, w ciągu ponad roku już trwającej wojny, ogromną większość terytorium Bośni-Hercegowiny.

Sankcje, nałożone na Belgrad, pogarszały warunki życia ludności Serbii i Czarnogóry, ale nie powstrzymały fali narodowego, agresywnego szowinizmu. Najlepszy dowód — to zwycięstwo Miloszevicza w grudniowych, demokratycznych wyborach. Europa biernie się przygląda marszowi kolejnych batalionów śmierci.

VI. Nie pisz tego tekstu, szepcze mi mój Anioł Prawy. Nie trać czasu na sprawy, których biegu i tak nie możesz zmienić. Jeszcze jeden naród zostanie wymazany z mapy. Czy należy się tym tak bardzo przejmować? Ile to już było holocaustów w tym stuleciu? I tylko raz, po klęsce III Rzeszy, osądzono winnych zbrodni ludobójstwa przed Trybunałem Międzynarodowej Sprawiedliwości.

A kto dziś pamięta o niemal dwu milionach zamęczonych i utopionych w bagnach Ormian w 1915 roku? Czy ktoś próbował dostrzec w porę i zapobiec masowym zbrodniom dokonywanym w Biafrze i innych miejscach Afryki i Azji — ot, choćby ostatnio w Sudanie, gdzie do tej pory, być może, na pustyni vegetują ludzkie szkielety. Apele Papieża w tej sprawie nie zostały usłyszane. Czy wiedza o eksterminacji własnego narodu przez Czerwonych Khmerów w drugiej połowie lat siedemdziesiątych psuła komuś, poza Kambodżą, przyjemność trawienia i kontemplowania dzieł sztuki? Pol Pot, jeden z największych zbrodniarzy tego stulecia, żyje do tej pory spokojnie przez nikogo nie niepokoiony. A Stalin i zbrodnie komunizmu? Ile lat musiało minąć, nim postępowi intelektualiści europejscy i amerykańscy raczy-

li przyjąć do wiadomości, że Najjaśniejsze Słońce Ludzkości spaliło swymi promieniami kilkadziesiąt milionów ludzkich istnień? Przez całe lata Józef Czapski nie mógł znaleźć na Zachodzie wydawcy, który odważyłby się opublikować książkę, w której pokazano mechanizmy sowieckiego komunizmu.

A czy George Bush, mąż stanu, który powoływał się w polityce na zasady moralne, po wyzwoleniu Kuwejtu w 1991 roku uczynił cokolwiek, kilka miesięcy później, w obronie prześladowanych przez Hussejna Kurdów? Przecież dysponował, jako inicjator antyirackiej akcji, tym samym potencjałem i arsenałem zbrojnym. Świat oglądał na ekranach telewizorów exodus milionów bezbronnych ludzi. Owszem, zorganizowano humanitarną akcję pomocy dla tych, którzy przeżyli. Ale działa milczały.

Dziś — i wczoraj. Pięćdziesiąt lat temu huczały na pełną wydajność oświęcimskie piece. Przychodzi do mnie jeszcze jedna twarz, którą zapamiętałem z telewizyjnego okienka. Zapłakana twarz profesora Jana Karskiego, jednego z bohaterów filmu Lanzmana o zagładzie Żydów w czasie II wojny światowej. On był jednym z pierwszych i wiarygodnych świadków. Alarmował, informował, błagał... Żadna wpływowa osobistość ówczesna nie chciała mu wierzyć. Hitlerowcy konsekwentnie i precyzyjnie realizowali swoje obłąkańcze koncepcje.

VII. Jaka właściwie miarę przykładać do tak zwanej twórczości artystycznej czy intelektualnej w dobie — zawsze tak było, ale nie zawsze *tak blisko* — rozpętanych żywiołów szatańskich mocy? To, czego uczyliśmy się w szkołach o zbrodniach faszyzmu i hitleryzmu, co czytaliśmy (wtedy jeszcze nielegalnie) o sowieckich obozach koncentracyjnych, nagle pojawia się *obok nas* i udajemy, że nas to nie dotyczy. W raporcie Wysokiego Komisarza ONZ do spraw uchodźców, opublikowanym przez prasę amerykańską na początku sierpnia 1992 roku, pojawiły się pierwsze opisy utworzonych przez Serbów obozów, w których przetrzymywani byli Chorwaci i bośniaccy muzułmanie. Więźniowie trzymani są w metalowych klatkach, bez jakichkolwiek najbardziej nawet prymitywnych urządzeń sanitarnych. Obserwatorzy ONZ nie zostali na teren miejsca kaźni dopuszczeni. Dotarła do nich jednak wypowiedź jednego ze strażników: „Nie będziemy na nich marnować amunicji. Nie mają dachu nad głową, jest upalne słońce, są zimne noce i deszcze. Dwa razy dziennie są

bici. Nie dajemy im wody, ani jedzenia. Pozdychają z głodu jak bydło". To z obozu na terenie dawnej kopalni węgla w miejscowości Omarska. Wtedy też znane już były inne miejsca kaźni, również takie, gdzie nie żałowano amunicji i dokonywano masowych egzekucji, jak w okolicy miasta Brcko nad rzeką Sawą, gdzie zgładzono 1.350 osób. Informacje, które docierały później, były równie przerażające. I w większości potwierdzone przez raporty Tadeusza Mazowieckiego.

Masowe egzekucje, pozbawianie całej grupy etnicznej prawa nie tylko do posiadania czegokolwiek, ale do życia. Gwałt — rozumiany jako planowe zapładnianie „obcych etnicznie” kobiet. Ten pomysł jest chyba oryginalnym serbskim wynalazkiem, choć sięgali do niego i Turcy, gromadząc narybek do słynnych szkół Janczarów, i hitlerowscy naziści, selekcjonując najbardziej urodziwe kobiety, które miały być matkami przyszłych właścicieli świata. Ale po raz pierwszy zapewne gwałt zastosowany został planowo i na tak masową skalę, i to nie w celu pozyskania, na drodze bezwzględnej tresury (mówiąc innymi słowy „odpowiednich metod wychowawczych”) batalionów okrutnych i bezwzględnych gwardzistów, ale w celu poniżenia i upokorzenia „obcych narodowo” kobiet, a wraz z nimi ich ojców, mężów i braci. I to wszystko w ramach *zaplanowanego przedsięwzięcia*, nazwanego projektem „czyszczenia etnicznego”.

VIII. Dodajmy jeszcze, że owi muzułmanie też zostali, częściowo przynajmniej, „wymyśleni” przez serbskich nacjonalistów. Nie, nie chcę sugerować bynajmniej, że nie istnieli wcześniej. Tyle tylko, że ci dalecy potomkowie Turków — którzy podbili Bośnię, zamieszkałą przez plemiona słowiańskie w XV wieku i utrzymywali ją jako swoją prowincję do 1878 roku — przez ponad stuletnią przynależność do Monarchii Austro-Węgierskiej (formalna aneksja nastąpiła w 1908 roku), a potem do Jugosławii, przejęli europejski obyczaj i język (zdecydowana większość posługuje się serbochorwackim), często też odchodząc od Islamu, religii swoich przodków. Niezwykle charakterystyczny był obrazek, przytoczony w reportażu *Gazety Wyborczej* poświęconym przyjętej przez Polskę grupie kilkuset dzieci z Bośni latem ubiegłego roku. Przygotowano dla nich specjalną, kosztowną żywność. Młodzi muzułmanie bośniaccy nie chcieli jej jeść, domagali się „normalnego” pożywienia. Opowiadali też, że dowiedzieli się o tym, że są muzułmanami, dopiero wtedy, kiedy zaczęto wypędzać ich z domów, a sąsiedzi — Serbowie, z którymi

całe lata żyli w zgodzie, zaczęli rabować ich majątki. To też czynnik charakterystyczny w bałkańskiej wojnie — mamy tu do czynienia nie z konfliktem odmiennych religii, obyczajów, języków. Jedynym czynnikiem różnicującym antagonistów jest *pochodzenie*, narodowość. Odpada również element klasowy, detonator przeobrażeń rewolucyjnych. Bo przecież muzułmanie bośniaccy nie tworzyli klasy posiadaczy ciemniejących biednych Serbów. I odpada czynnik walki o władzę polityczną, bo muzułmanie nie pełnili w jugosłowiańskiej republice Bośni-Hercegowiny dyktatorskiej władzy w oparciu o podporządkowaną im armię i policję. Jeżeli już — to raczej Serbowie mogli czuć się w Bośni pewniej, mając silne oparcie w belgradzkiej centrali. Kiedy ta centrala — po śmierci Broz-Tito — zaczęła chwiać się i zanikać, aż do rozpadu Federacji Jugosłowiańskiej w czerwcu 1990 roku, i uleciało w kosmiczną przestrzeń ideologiczne spoivo „komunistycznej Jugosławii”, pozostał jedynie nacjonalizm. *Jak* rozpoznawano muzułmanów i do którego pokolenia śledzono ich genealogię w różnych częściach Bośni, tego się pewnie jeszcze dowiemy na zasadzie historycznej ciekawości. Tak jak z wypiekami na uszach czytamy dziś o Inkach i Majach albo Siuksach i Apaczach, wyróżnionych przez naszych przodków („naszych”, to znaczy europejskich).

Można jednak zapewne również przyjąć tezę, że muzułmaninem jest w Bośni-Hercegowinie ten, kogo za muzułmanina się uważa. Kogo za muzułmanina uzna człowiek uważający się za Serba.

IX. Zaraza się przenosi. Z miasta do miasta i z kraju do kraju. W Hesji, pięknej krainie w środku Niemiec Zachodnich, Republikanie w ciągu czterech lat uzyskują o prawie osiem procent większe poparcie w wyborach komunalnych. Wchodzą do władz miast i gmin. Zyskują tyle, ile tracą socjaldemokraci. Scena polityczna przesuwana prawo. W demokratycznych wyborach poprzedzonych aktami agresji i przemocy wobec obcokrajowców. Większość społeczeństwa je potępiała i dawała temu wyraz w „łańcuchach światła”, akcjach solidarności z prześladowanymi „obcymi”. Brały w nich udział setki tysięcy ludzi. Pięknie. Tyle, że tego typu pokojowe manifestacje nie zastąpią działania wymiaru sprawiedliwości, który w momencie, kiedy w Niemczech zaczęły się nacjonalistyczno-bojówkarskie hece, zapomniał o starej rzymskiej maksymie *dura lex, sed lex* i zaczął stosować wobec młodych bandytów „pedagogiczny wymiar kary”, który

w praktyce oznaczał bezkarność. Pod koniec ubiegłego roku sądy zaczęły traktować sprawców przestępstw wobec azylantów nieco surowiej, ale ciągle zdaje się wygląda to trochę tak, jakby obowiązywały tu dwie miary sprawiedliwości, inna dla sprawców zbrodni przeciwko obcokrajowcom i inna wobec pozostałych, ujmowanych w kodeksie karnym. Nie wynika to z litery przepisów, ale z podciągnięcia bandyckich napadów na azylantów pod jakoweś „szczególne okoliczności”, które sprawiają, że kary wymierzone ich sprawcom sięgają najniższych miar wymierzanych w kodeksie.

Pierwsze efekty „pobłażliwości” wobec młodocianych bandytów już widać. Na razie na polityczne salony weszli jedynie Republikanie, partia populistyczna bardziej niż ideologiczna. I tylko w Hesji. Za jej plecami stoją jednak partie jawnie neofaszystowskie. No i czekają nas za rok wybory w całych Niemczech.

Wyciągnąłem z kłębu, w którym tkwię ostatnio, nitkę niemiecką, choć przecież wzrost agresywnej nacjonalistycznej demagogii widać gołym okiem niemal wszędzie, i w „starej” Europie, i w „nowej”, odzyskanej po sowieckim Imperium. Również w Polsce, choć tutaj, na szczęście, zaplecze polityczne bojówkarzy-skinów nie jest zbyt poważne.

X. Wojna na Bałkanach toczy się w przerażającej ciszy. Ciszy paradoksalnej, bo przecież informuje się o niej w telewizji, w radiu, w prasie. Oglądając migawki z byłej Jugosławii, pokazywane w różnych stacjach telewizyjnych, widzimy albo kłęby dymów wznoszonych przez wybuchy pocisków ostrzeliwujących Sarajewo, ciała rannych lub zabitych, a najczęściej stojące kolumny samochodów transportowych i pancernych. Stoją na granicy z Bośnią, zatrzymane decyzją jakiegoś serbskiego oficera. Nowocześnie uzbrojone oddziały sił pokojowych ONZ czekają, aż jakiś celnik przybije pieczęć na odpowiednim dokumencie. Czekają dzień, dwa, trzy. Od czasu do czasu nadchodzi radosna wiadomość, że jakiś konwój z pomocą dokądś dotarł. Znacznie częściej jednak, i gęściej, padają serbskie pociski, wystrzeliwane z dział i wyrzutni, które łatwo można by zlokalizować i zlikwidować, używając tylko małej cząstki tych cudów techniki militarnej, które zademonstrowano podczas wojny z Irakiem w 1991 roku. Można by w ten sposób jeszcze raz uratować Sarajewo, Srebrenicę, Tuzłę. Słowa te piszę w połowie kwietnia. Kiedy tekst ten znajdzie się w druku, stracą aktualność. Każdy bowiem dzień tej wojny potwierdza rację serbskiej buty, gło-

szącej, że przemocą można uzyskać wszystko. Przeraża cisza, która towarzyszy tej wojnie. Wiedza o rozgrywającym się obok nas holokaucie nie powoduje żadnych większych reakcji społecznych, które mogłyby wyrzucić presję na polityków — skłonić ich do decyzji o utworzeniu antyserbskiej koalicji. Owszem, były manifestacje organizacji kobiecych w Niemczech, Stanach Zjednoczonych i innych krajach po ujawnieniu faktu masowych gwałtów. Były, formułowane przy różnych okazjach, apele o zakończenie bratobójczych walk. Ale tylko była premier Wielkiej Brytanii, pani Margaret Thatcher, z okazji przyznania jej doktoratu *honoris causa* na Uniwersytecie w Luizjanie, nawoływała rządy demokratycznych państw do czynnego przeciwstawienia się totalistycznej, faszystowskiej fali przemocy w byłej Jugosławii w imię wolności i sprawiedliwości. Ona pierwsza chyba z grona polityków zachodnich nazwała rzecz po imieniu. Było to 9 lutego. Ale był to głos polityka na emeryturze. Zupełnie jednoznaczna była też wymowa trzech raportów Tadeusza Mazowieckiego, specjalnego wysłannika Komisji Praw Człowieka ONZ do byłej Jugosławii. I one jednak nie spowodowały zwrotu w polityce społeczności międzynarodowej wobec Serbii.

Brakło natomiast innych głosów — myślę tu o wystąpieniach opiniotwórczych osób i środowisk — noblistów, laureatów innych ważnych nagród i wyróżnień, powszechnie znanych autorytetów, sumień ludzkości. Nikt z tego zacnego grona nie wystąpił z apelem do przywódców państw zachodnich czy społeczności międzynarodowej w sprawie czynnego przeciwstawienia się ludobójstwu w Bośni. Odnoszę wręcz wrażenie, może mylne, że tak zwany świat intelektualny Zachodu zareagował mocniej i bardziej zdecydowanie, kiedy w Polsce 13 grudnia 81 r. wprowadzono stan wojenny, niż obecnie, w obliczu zaplanowanej, masowej zbrodni. Rzecz jasna, że jestem wdzięczny wszystkim tym, którzy występowali, również w mojej i moich przyjaciół obronie, kiedyś siedzieli w więzieniach. To poparcie było bardzo potrzebne. Ale jakże porównywać ową „polską wojnę” do hekatomby bośniackich muzułmanów? A oni umierają osamotnieni.

Konrad W. TATAROWSKI

Upadek Imperium a stan jego nauki i techniki (dok.)

Moja współpraca z Rosjanami, prócz korzyści naukowych i wymiernych komercyjnych dla naszego instytutu, dała mi nieoceniony wgląd w mechanizmy upadku ZSSR. Zwróć więc uwagę na jeszcze kilka pęknięć, które musiały powalić kolosa na glinianych nogach.

Specyfika nauki i techniki sowieckiej obejmowała m.in. zaniedbanie prawa równomiernego postępu w różnych dziedzinach. W ustrojach samoregulujących się luka, np. produkcji jakiegoś przyrządu pomiarowego, zostaje szybko zapelniona przez prywatną prężną firmę. Takiej w socjalistycznym systemie nakazowo-rozdzielczym nie było. Co ciekawsze, taka firma, państwowa oczywiście, mogła gdzieś w ZSSR istnieć, ale nie można jej było odszukać. Katalogi produkcyjne były niemal drukami ścisłego zarachowania. Działaczom sowieckim nie mieściło się w głowach, że Zachód produkuje katalogi w nadmiarze, rozsyła je do potencjalnych klientów, a pozostałe oddaje na przemiał, bo to, co się rozeszło, spełniło już swą rolę. Gdy producentowi sowieckiemu udało się dotrzeć do potencjalnego podwykonawcy jakiegoś elementu, pozostawała kwestia jakości produkcji. Była ona z reguły rozpaczliwa, toteż „mój” zakład leningradzki robił prócz klistronów prawie wszystko sam. Dzięki temu dawał pracę trzem tysiącom ludzi, podczas gdy analogiczny zakład w USA do podobnej pracy zatrudnia tylko 300. Wszystko, co się da, kupuje od kooperantów, bo robią to taniej. Mamy od razu jedną z przyczyn obecnego załamania przemysłu rosyjskiego: instytut petersburski nie jest w stanie utrzymać 3000 ludzi przy takiej gospodarce.

Naruszenie prawa równowagi rozwoju widać też było w naszej współpracy. Otóż Rosjanie nie byli w stanie zmierzyć cech wiązek elektronowych, które produkowali; musieliśmy w tym celu wozić ciężki polski oscyloskop, który miał odpowiednią charakterystykę czasową (mikrosekundy). Nie mieli własnej produkcji, a na kradzież z Zachodu (embargo!) zabrakło czasu.

Moją współpracę wspomnę jeszcze raz, bo dotyka jeszcze jednego elementu upadku systemu. Do najdziwniejszych bowiem rzeczy doszło pod koniec realizacji zadania, jakie sobie postawiliśmy, gdy mianowicie przyszło do zapłaćcenia za wykonaną pracę. Formalność ta była w zasadzie w gestii dwóch potężnych organizacji handlowych — Metronexu po stronie polskiej i Technosnabeksportu po stronie sowieckiej. Obydwie stale wzruszały ramionami i księgowyły tylko drobiazgi, np. koszty podróży zespołów realizujących. Ponieważ Rosjanie nie umieli określić poniesionych kosztów, ustalili, że zażądają ceny „światowej”. Uznali to zresztą za okazję do wyrównania rachunków, np. z racji poczynionych „na gębę” zamówień przez ówczesnego szefa polskiej atomistyki, nigdy podobno nie zapłaconych. Machinacje te były zresztą argumentem „zdejmovania” (to rok 1968!) tego wielce zasłużonego działacza partyjnego przez nowo zasłużonych partyjnych. Gdyby przyjrzał się temu wszystkiemu prawdziwy menadżer, doznałby szoku. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, ile Rosjanie zażądali za akcelerator. A zresztą nawet gdybyśmy wiedzieli, to nigdy byśmy nie doszli do tego, ile faktycznie zapłaciliśmy, ponieważ równie nieznanne były sumy uzyskiwane za nasz eksport do ZSSR.

Warto też rzucić okiem na gigantyczne marnotrawstwo w nauce. Mnożenie instytutów naukowych, potrzebnych lub nie, było ważnym elementem ukrytego bezrobocia. W ramach *pieriestrojki* odkrywano co rusz instytuty-widma bez żadnych osiągnięć. W jednym ze znanych mi przypadków zajmowano się pseudo-ulepszeniem fabryk chemicznych, służących produkcji kwasu siarkowego, a dostarczanych przez Polskę „pod klucz”.

Dotykamy tu problemu praktycznego stosowania wyników badań. Najczęstszym argumentem przy kamienowaniu naukowców sowieckich, gdy wynikała potrzeba polityczna lub szukano „winnych” słabego postępu, był fakt, pozostawiali na uboczu prace, które miały być wdrożone do produkcji. Nic bardziej krzywdzącego naukowców ścisłych. To przemysł w państwie sowieckim nie był w stanie czegokolwiek wdrożyć, a

poza tym był jak pijane dziecko we mgle w braku rynku i w całkowitej niemożności rozeznania, co ile kosztuje naprawę, poczynając od surowców, poprzez koszty i wartość energii aż do robocizny. Ludziom wychowanym w systemie nakazowo-rozdzielczym niesłychanie trudno wy tłumaczyć, że uruchomienie nowoczesnej produkcji, jeśli nie ma zakończyć się bankructwem, jest niemożliwe bez pełnej jasności co do wymienionych wyżej parametrów. Podkreślam to też dlatego, że i w Polsce było to niemożliwe. Obecne gazety w RP dają czasem głos ulicy w postaci listów do redakcji. Jeden z nich doradzał zlikwidowanie inteligencji technicznej w Polsce, bo niczego nie zrobiła dla rozwoju przemysłu. To prawda, zrobiła mało, ale trzeba zrozumieć, że nie można było zrobić więcej w ustroju sowieckim. Na szczęście mamy dowody na to: stopy niezrealizowanych projektów, dobre patenty, zdolni ludzie, którzy zdołali pokazać się dopiero na emigracji. Nie ludźmy się, że to się szybko zmieni. Trzon przemysłu rosyjskiego i polskiego to niereformowalne zakłady pracy, niezdolne do innowacji bez zmian strukturalnych. A tymczasem ci, którym ciągle marzy się powrót do dobrych uporządkowanych czasów i którzy wierzą, że można w starym stylu ekonomii coś dobrego wyprodukować, powinni spakować skrzynie z technologiami i pojechać na Kubę lub do Korei Północnej. To już zapewne ostatnie okazje dla prób reanimacji komunizmu w zakresie współpracy nauki z przemysłem. Zresztą co tu wiele mówić. Sowietci postępowali zawsze dokładnie przeciwnie niż zalecał na podstawie swoich obserwacji zachodnich Karl Popper w swej „Die Logik der Forschung”.

I znów nie można powiedzieć, że system zaniedbał jakiś sposób unowocześnienia (na swój sposób) gospodarki. Próbowano wszystkiego. Żeby nie powiększać objętości artykułu, przypomnę ostatni wysiłek galwanizowania trupa, podjęty przez Jaruzelskiego. Zapomniany ten epizod, a szkoda, bo zabawny, polegał na wysłaniu do zakładów pracy — a także, może przede wszystkim, do instytutów badawczych — komisarzy wojskowych. Nieszczęśnicy ci, przysłani często z zabitych deskami zielonych garnizonów, gdzie ćwiczyli rekrutów oraz oddawali się studiowaniu regulaminów i zabijaniu nudy, teraz stanęli oko w oko z nie tak bardzo znowu zacofaną technologią. Skąd mieli o niej mieć pojęcie? Wojsko tradycyjnie przecież wychowywane jest w duchu rekwizycji, a nie produkcji. Nieliczni wojskowi, zwłaszcza ci po technicznych studiach wyższych, postanowili coś zrobić, jednak okazało się,

że powiększają tylko chaos. Około 90% komisarzy od razu pochowało się w przerażeniu w wyznaczonych im gabinetach, gdzie podpisywali dokumenty przygotowane przez fachowców. Przy okazji stanu wojennego zapoznaliśmy się z tą grupą *establishment*'u i większość moich rozmówców zgadzała się, że trudno o coś bardziej bezbarwnego i nieciekawego. A miała to być przecież elita intelektualna i organizacyjna.

Istniało szereg sposobów usprawnienia badań naukowych i technicznych, tylko że wdrożenie ich groziło zawaleniem się ustroju. Mam na myśli obsesję tajności z obawy przed truciznami ideologicznymi, która kazała hamować nowoczesne metody powielania informacji. Era przed-kseroksowa panowała w Polsce aż do roku 1990. Proszę sobie dziś wyobrazić choć jeden dzień pracy bez zrobienia kopii lub skorzystania z kopii otrzymanej. Jeżeli sobie to wyobraziliśmy, to przyjmijmy do wiadomości, że jeszcze dziś, w roku 1993, większość naukowców i inżynierów rosyjskich pracuje bez tego udogodnienia! Były w minionych latach w ZSSR wysiłki opracowania ich wersji kserografu. Otrzymałem kiedyś takie odbitki: albo były nieczytelne od początku, jak w dowcipie o tajnym liście: spalić przed przeczytaniem, albo znikwały po pewnym czasie, też spełniając marzenie rasowego sowieta. Nie będę już wymieniał dalszych braków pozornych drobiazgów, specyficznych dla laboratoriów chemicznych i biologicznych.

Kolosalnym marnotrawstwem na omawianym odcinku postępu naukowego i technicznego było utrzymanie w ruchu systemu RWPG, który zużywał i nasze polskie środki, nie dając nic w zamian. Jest rzeczą oczywistą, że pewne uzgodnienia, np. podział dostaw ropy naftowej i innych surowców, energii elektrycznej i innych kluczowych elementów na kraje imperium, były oczywiste i niezbędne. Natomiast niepotrzebną a olbrzymią dekoracją były posiedzenia na niższych szczeblach. Każdy instytut naukowy w Polsce musiał uczestniczyć w kilkudziesięciu komisjach i podobnych ciałach RWPG, które zbierały się co najmniej dwa razy do roku w innym kraju, nie wyłączając Kuby, Wietnamu i Mongolii oraz egzotycznych republik ZSSR. Przygotowywano stopy referatów z materiałami dawno opublikowanymi gdzie indziej, tyle że przetłumaczonymi na rosyjski. Była i makulatura niepublikowana, parę okazji zachowałem na pamiątkę. Tłumaczki i „panie od RWPG” to osobna grupa ukrytych bezrobotnych. Czasem przykro było patrzeć, jak osoby z natury uczciwe przejmują się tą robotą. Rezultaty były żadne. Na przykład nie potrzeba być fachowcem, żeby zauważyć, że ogromny Insty-

tut Normalizacji RWPG nie zdołał nigdy uzgodnić jednolitych wytyczek do domowych urządzeń elektrycznych we wszystkich krajach członkowskich. Zachód co prawda też tego na pełną skalę nie uzgodnił, ale nie poświęcił na to tyle czasu, a prężny przemysł prywatny wyprodukował komplety złącz, pokonujących wszelkie trudności z wtykaniem się do sieci w dowolnym kraju.

Organizacja RWPG, schron dla ukrytych bezrobotnych, tworzyła zajęcie dla innych ukrytych bezrobotnych. Linie lotnicze miały zapewnioną frekwencję, w hotelach nie można było znaleźć miejsca, bo większość pokoiów była zarezerwowana na prawach priorytetu dla „delegatów”...

Posiedzenia komisji RWPG stały się przedmiotem niezliczonych anegdot. Nierosyjscy Słowianie stwarzali swoją wersję rosyjskiego (tzw. sow-ruszczyna) która była od biedy zrozumiała dla Rosjan, natomiast była kompletną zagadką dla tłumaczków przywożonych przez Węgrów, Niemców i Rumunów (dopóki ci uczestniczyli jeszcze w RWPG). Ale bądźmy ludźmi, komisje erwupegowskie były w szarym życiu demokracji, niezobowiązującą do niczego rozrywką. Kluczowym punktem był bankiet i zakupy, połączone z problemami delegatów handlujących: np. jak wsadzić długie na 4 metry zrolowany dywan do samolotu? Takie zmartwienia mieli oczywiście tylko jawni i tajni naczelnicy wyprawy. Mówi się czasem, że więzi wewnątrz imperium pomiędzy różnymi narodowościami esbeków doprowadziły do powstania międzynarodowych gangów i mafii. Ciekawe, czy i rozpad RWPG nie zrodził czegoś podobnego? Tak czy owak, może warto by było trochę więcej hałasu nad trumną tej naprawdę komunistycznej organizacji, dla częściowego usprawiedliwienia naszych niezawinionych inżynierskich niemożności?

Ubocznym produktem kontaktów z ZSSR była dla mnie obserwacja zachowania się Rosjan w stosunku do nierosyjskich republik i krajów demokracji ludowej. W republikach dyrektorem instytutu naukowego musiał być zawsze Rosjanin. Tubylec mógł osiągnąć najwyżej stanowisko sekretarza naukowego. W instytutach „międzynarodowych” dyrektorem musiał być też Rosjanin, dopiero na stanowisku wicedyrektora następowała rotacja naukowców innego państwa. Była to więc sytuacja zupełnie inna niż w instytutach zachodnich, gdzie zmieniali się dyrektorzy, np. w CERNie. Stanowisko Rosjan nie przysparzało im popularności — nic dziwnego, że upadek imperium przywitano bez łez.

Osobny rozdział historii upadku komunizmu to stosunek

wyznawców tej wiary do komputerów. Na ten temat jest oczywiście trochę rozważań specjalistów z krajów rozwiniętych, ale oprę się na doświadczeniach i obserwacjach osobistych. Technika obliczeniowa naszego wschodniego sąsiada była stale zacofana w stosunku do świata bardziej cywilizowanego. Starsze pokolenie księgowych do dziś dobrze się czuje tylko przy wzruszających, archaicznych liczydłach. Nie można powiedzieć, że władza sowiecka nie doceniała usprawnienia liczenia: wcześniej zakupiono licencje różnych „kręciółków”, były one nawet przedmiotem szmuglu do Polski przez długie lata powojenne. Nie można powiedzieć, że nie odegrały żadnej roli — były podstawą dla obliczania największych konstrukcji swego czasu. Jeszcze mam w oczach znakomitego konstruktora mostów, profesora Szelągowskiego, jak kręci do późnych godzin nocnych. Inne narzędzie tej epoki — suwak logarytmiczny — było głównym instrumentem Fermiego w jego pracach nad konstrukcją pierwszego reaktora nuklearnego.

Na suwaku epoka urządzeń mechanicznych wreszcie się skończyła i zaczęła się era urządzeń elektronicznych. Z początku posługiwano się z konieczności niewygodnymi lampami próżniowymi. Jakkolwiek Rosjanie utrzymują, że w tym momencie jeszcze dotrzymywali kroku Zachodowi, konstruując coś w rodzaju ENIACA i podobnych szaf z tysiącami lamp, to jednak można im nie wierzyć, skoro szybko nastąpiła długa noc obliczeniowa. Różne mogły być tego przyczyny; niektórzy twierdzą, że sprawę złożono w ręce matematyków, w złudzeniu, że obliczanie to ich zajęcie. Nie był to oczywiście właściwy adres i chyba oderwaniu od życia charakteryzującemu uczonych matematyków przypisać należy, że nie skierowali oni wszystkich od razu do elektroników. Takie mechaniczne skojarzenia komunistów były często źródłem nieporozumień.

W zagadnieniach komputeryzacji dużą rolę odegrała zwyczajna ignorancja i prymitywny strach przed nieznanym. Strach przybrał na sile, gdy pojawiły się drukarki, które komunistom kojarzyły się nieuchronnie z niekontrolowaną drukarnią. Jeszcze do niedawna w Polsce woleliśmy stosować termin *printer*, by nie stawiać w stan czujności celników na półetatych w MSW.

Tak czy inaczej Rosjanie stracili mnóstwo bezcennego czasu w stosunku do reszty świata. Stracili go też w pozorowanie mało ważnej dziedzinie przygotowania młodzieży do ery komputerowej już w domu lub pierwszych latach szkolnych.

Wystarczy zobaczyć na uczelniach amerykańskich studenta pierwszego roku, jak się zabiera do pracy i porównać go z absolwentem z ZSSR, który siada przed terminalem i nie może ruszyć z miejsca, posadzając kapitalistyczne urządzenie o zaprogramowaną wrogość do wschodniego użytkownika. Można oczywiście skrócić czas osvajania się z komputerem, ale duża część starszego pokolenia naukowców rosyjskich w ogóle nie ma zamiaru przyzwyczać się do jego najprostszyc czynności, chociaż tak ułatwiają pracę twórczą.

Czy wczesne wciągnięcie komputerów do usprawnienia systemu nakazowo-rozdziałczego uratowałoby komunizm? Przez cały okres trwania tzw. socjalizmu kluczem postępu gospodarczego wydawała się gospodarka planowa. Można wprawdzie wyobrazić sobie układanie znakomitych programów, z których wypadałoby, ile należy wyprodukować papieru toaletowego, ale właśnie ten przykład dowodzi, że planowanie jest niemożliwe, bo wchodzi czynniki nieprzewidywalne. Wystarczy, że komuś przyjdzie do głowy użycie papieru toaletowego do pakowania eksportowych części zamiennych maszyn i katastrofa gotowa, ponieważ zaczyna braknąć papieru i w toaletach i w przemyśle maszynowym. Rzecz nie w komputerach, które nie mogą nadrobić braku wprowadzonych danych. Lekarstwem może być tylko system ekonomiczny samoregulujący się i szybko dostosowujący się do nowych warunków. Wprowadzenie komputeryzacji planowania najprawdopodobniej dobiłoby komunizm. Przykłady można mnożyć, opierając się na doświadczeniach zachodnich. Na przykład swego czasu wspomagane komputerowo przewidywania światowe podniosły alarm w sprawie srebra, którego produkcja przestała nadążać za zużyciem i przewidywano gwałtowny wzrost cen, a nawet konieczność uruchamiania prywatnych zasobów w postaci nakryć stołowych. Tymczasem rozwój kserografii i innych metod bezsrebrnych w dziedzinach do tej pory zużywających srebro tak zahamował zużycie, że alarm trzeba było odwołać, a zgromadzone zapasy ze stratą sprzedać. Żaden program komputerowy nie był w stanie tego przewidzieć.

Ten ostatni przykład pokazuje tylko trudności komputeryzowania zarządzania na odcinku prognoz, ale nie degraduje komputeryzacji w ogóle. Jest ona podstawą ogromnego obszaru twórczości człowieka i dlatego powolny rozwój tych dziedzin w ZSSR był dla nas widomą oznaką klęski. Studowanie bieżących publikacji rosyjskich dowodzi, że poprawa jest bardzo powolna. Nie może być inaczej, bo nie można

przeskakiwać pewnych etapów; okresy przejściowe można najwyżej trochę skracać. Oprócz „wielkiej” systemowej komputeryzacji niezwykle istotna jest komputeryzacja „mała” w postaci komputerów osobistych. Nie jest ona zresztą tak mała z powodu szybkiego wzrostu możliwości tych komputerów. Nie można przeczyć, że Sowietci doceniali te potrzeby, planując w ostatniej pięcioletce 1986–1990 wyprodukowanie 1,1 miliona komputerów. Jednocześnie nie mieli pewności, czy da się to wykonać, skoro w planie „Rok 2000” wyraźnie stawiano na pomoc KDL, które dobrze oceniano w dziedzinie komputeryzacji. Nie wiem, czy i jak zakończył się plan 5-letni ZSSR. Nie zauważyłem nawet nekrologu ani pogrzebu instytucji planowania! Ale patrząc od paru lat na kolejki samochodów z wschodnimi tablicami rejestracyjnymi stojące przed polskimi firmami komputerowymi, można zameldować (tylko komu?) że plan jest realizowany.

Kompresja materiału jaki nagromadziłem idzie bardzo opornie. Monitor komputera patrzy na mnie z wyrzutem, sygnalizując dwudziestą siódmą stronę. A przede mną jeszcze kilka stron chyba ważnych, bo o Akademii Nauk, z jakże licznymi implikacjami rzutującymi przecież i na Polską Akademię Nauk, stworzoną na obraz i podobieństwo. Na półce świetna monografia wymieniona na początku. Wyjaśnia wiele z tła nawet obecnej, Rosyjskiej Akademii Nauk. Nie potrzebuję tych materiałów by stwierdzić, że główną trudnością oceny jest niejednorodność tego ciała, mającego symbolizować i ucieleśniać całość nauki państwowej (bo innej w systemie totalitarnym nie ma). Poznałem czterech członków Akademii. Uroczego Florowa (1913–1991) chemika niezwykle zasłużonego dla nukleoniki sowieckiej. Dalej nie będę wymieniał nazwisk: jeden „uczony” dworski — za fotelem zawsze olbrzymi portret aktualnego genseka, drugi — kombinator, trzeci — przeciętniak, bardzo pracowity, wybrany do Akademii dopiero w trakcie rozpadu imperium, ale przedtem znajdujący się też na liście stale wyjeżdżających. Moja statystyka jest słaba i proszę jej nie brać za wiążącą, ale z tej czwórki tylko Florow mógłby zostać członkiem prawdziwej, niezależnej, nierządowej akademii nauk. Te szacowne, prawdziwe akademie, jak Polska Akademia Umiejętności, też popełniają błędy, ale nie takie jak rządowe akademie nauk z polską włącznie. Analizy nowomianowanych członków tej ostatniej często wykazywały, że połowa to pseudonaukowcy, organizatorzy, działacze partyjni. W tym szaleństwie też była

chyba metoda. Nic dziwnego, że wokół rządowych akademii postkomunistycznych panuje cmentarna cisza. Niech sobie spokojnie wymrą. Ale oceniając jakość nauki według Akademii Nauk ZSSR można powiedzieć, że była zła i też pociągnęła w dół imperium.

Nauka sowiecka była niewątpliwie przypadkiem patologii. Patologia zajmuje się chorobami, wobec czego pojawia się pytanie, czy była to choroba zakaźna. Wydaje mi się, że tak, w podobnym stopniu jak zakaźne były wszelkie przejawy sowietyzmu. Maccartyzm był zmutowanym, trochę groteskowym groźnym sowieckim wirusem, który w oryginalnej formie wywoływał polowania na czarownice, kończące się procesami pokazowymi i wyrokami śmierci. W naukach ścisłych zaraza tajności przeniosła się na utajnianie rzeczy niepotrzebnych, a także tych, które leżą koło tajnych. Rozumiem ochronę tajemnic produkcyjnych w zakładach przemysłowych: odwiedzając wytwórnię jak najbardziej cywilną, branży np. farmaceutycznej, jest się zawsze pod opieką przewodnika i wydaje się w każdej chwili, że ma on ochotę nałożyć gościowi opaskę na oczy. Ale, jakby w odpowiedzi na działania sowieckie okresu zimnej wojny, wprowadzono w USA kategorię zamkniętych dla „komunistów” instytutów badawczych. W ciągu dwudziestu lat byłem trzykrotnie zapraszany na kontrakty w Argonne Nationale Laboratory koło Chicago i trzykrotnie w ostatnim momencie procedurę przyjazdu przerywano, motywując, że KDL-e nie mają umów nuklearnych z USA. Krótkie wizyty były po spełnieniu warunków dopuszczalne. W roku 1975 pojawiłem się zgodnie z wcześniejszą rejestracją na konferencji w ANL, wjeżdżając po prostu autobusem wraz z nie trędotatymi uczestnikami z Europy Zachodniej. Nastąpiła konsternacja i zamieszanie wśród gospodarzy, którzy czekali w bramie z misją odebrania niebezpiecznego peerelowca! Zakaz dłuższego przebywania w ANL nie dotyczył Jugosłowian. Zręcznie wykorzystali nieformalną, ale działającą umowę Churchill-Stalin o 50/50 wpływach Wschód-Zachód w Jugosławii po wojnie. Blask uznania dla komunistów którzy zerwali z Moskwą dał nauce i technice Jugosławii bardzo dużo: nie tylko wstęp do ważnych instytutów, ale technologie dla przemysłu z ominięciem embargo. Niestety, soldateska serbska i strasznie pomieszane nacje zniszczyły wszystko.

Można by jeszcze więcej o zaraźliwości zła.

Mój pogodny z natury charakter kazał mi do tego miejsca

opisywać naukę sowiecką łagodnie i z konieczności tylko wspominać elementy niepokojące. Czas przejść do wręcz zbrodniczych. Spójrzmy na zagadnienia etyczne nauk ścisłych. Nie idę tu tropem większości pięknoduchów, którzy uważają, że uczeni nie powinni w ogóle niczego odkrywać, bo może to być wykorzystane dla zabijania. To oczywiście nonsens, bo wszystko co może być odkryte prędzej czy później będzie odkryte i ubrane w wynalazki i technologie. Normy etyczne należy przymierzać do sposobu, w jaki realizuje się wynalazki. Najlepiej widać to na trzech postaciach. Fritz Haber (1868–1934), chemik w Niemczech kajzerowskich, wynalazca wojny chemicznej, nie żaden dłubacz laboratoryjny, ale technolog śmierci, jeździł na front (też na ziemiach polskich) I wojny światowej, żeby zobaczyć jak giną ludzie zatruci jego gazami. Z racji swych niewątpliwych innych osiągnięć (noblista) ma instytut swego imienia w Niemczech i Izraelu, o gazach dyskretnie się zamilcza. A przecież gdyby obowiązywały definicje ludobójstwa obowiązujące po II wojnie światowej, to podpadałby pod coś w rodzaju procesu IG Farben! Drugi to Werner von Braun (1912–1977). Przy okazji rocznicy osiągnięć raketowych windowano go w Niemczech na piedestał w roku ubiegłym. Źle odczytano sprawę, wysuwając na pierwszy plan akt, że od jego raket ginęli ludzie. Ważniejsze z punktu widzenia moralnego było to, że wykorzystywał niewolniczą, morderczą pracę tysięcy niewinnych ludzi aż do ich śmierci i dobrze o tym wiedział. W tym jest zło większe od bombardowania Londynu jego bombami, o czym zdecydował ktoś inny. Mam nadzieję, że Niemcy odzyskają swój *Fingerspitzengefühl* i duch von Brauna nie będzie miał tam instytutu swojego imienia. Trzeci wreszcie naukowiec o niewątpliwych osiągnięciach to Igor Kurczatow (1903–1960), szef naukowy zbirów Berii, konstruujących broń nuklearne. W straszliwym wyścigu z czasem wyduszał z niedoświadczonych i nie poinformowanych o niebezpieczeństwie niewolników pracę w zabójczych dla zdrowia warunkach, często bez żadnej ochrony radiologicznej, po prostu gołymi rękami. „Były wypadki”, pisze jego biograf z nietajoną dumą, a do dziś nie wiemy dokładnie, ile było cierpień i szkód społecznych. Tezą biografii jest, że świeżo upieczony członek partii (1948) był bohaterem. A w całym tym szaleństwie nie tyle chodziło o doświadczenie Amerykanów, bo nie było żadnej *dead line*, typowej dla wojny gorącej. Jedynym terminem, który gonił, były siedemdziesiąte urodziny Stalina. Krocząc po trupach zdążył z wybuchem nawet trochę przed terminem.

Druga wojna światowa dała ludzkości świadomość, że za ludobójstwo można karać również niektórych fachowców od broni. Procesy przeciw IG Farben i innym, jakkolwiek niemrawe, jednak się odbyły. Po I wojnie światowej Haber nie był sądzony. Niemcy nie przegrały wtedy wojny do końca, a po drugie w ogóle nikomu to nawet na myśl nie przyszło. Fritz Haber po II wojnie byłby sądzony, bo jego czyny mogły być zakwalifikowane, jak w przypadku IG Farben, jako eksperymenty na ludziach, Werner von Braun kwalifikował się po sąd nie za pracę nad raketami, nie za śmierć cywilów w Anglii, ale za ludobójstwo w czasie opracowywania i produkcji nowej broni. Niestety umknął sprawiedliwości z powodu haniebnej polityki Amerykanów, roztaczających parasol nad fachowcami niemieckimi, nawet zbrodniarzami wojennymi. Dopiero niedawno Amerykanie mieli odwagę przyznać się do tego. Co do ewentualnego karania Kurczatowa; Rosjanie przegrali co prawda zimną wojnę, ale bez upokorzeń, jakie niesie przegrana prawdziwa wojna, zresztą stało się to długo po śmierci Kurczatowa. Współwina jego żyjących jeszcze młodszych współpracowników jest już mocno rozmyta, a w ogóle czterdzieści lat od przestępstwa to bardzo dużo, nawet gdy uznaje się zasady nieprzedawnienia. Nie chcę sugerować Rosjanom odbrązowienia Kurczatowa, choć na pewno ktoś to robi, gdy ujawnione będą straszne warunki, w jakich budowano przemysł nuklearny. Kurczatowa ma w Moskwie „swój” instytut, swój pierwiastek chemiczny, nie liczę pomników itd. Cokolwiek o nim się jeszcze napisze, w głębi serca większość Rosjan będzie go czciła, bo pokazał że Rosjanin potrafi i pozwolił złagodzić kompleks Ameryki. Świat nie zdaje sobie sprawy, jakie upokorzenie przyniósł Rosjanom *lend-lease* i inne formy pomocy czasu wojny i jeszcze grubo po niej.

Patrząc na ewolucję etyki w omawianych sprawach XX wieku można wyrazić ostrożny optymizm. Co do pośrednio z wojną związanych spraw: jeżeli dziś mówi się o karalności gwałtów wojennych, czyli czynów jeszcze w II wojnie światowej uznawanych za niekwestionowany przywilej żołnierza, to chyba coś jednak zmienia się na lepsze!

Z braku miejsca muszę przejść do najważniejszego, jak się wydaje, elementu upadku imperium z odpowiedzią od razu na dwa pytania: dlaczego imperium upadło i dlaczego nie walczyło do końca, jak walczył Hitler i jego otumaniony naród? Że u podstaw stał upadek nauki i techniki — to starałem się udowodnić. Przyczyny należy szukać dodatkowo, a

paradoksalnie, w osiągnięciach służb wywiadowczych, nadzwyczaj aktywnych w szpiegostwie naukowym, technologicznym i gospodarczym. Co inteligentniejsi w tych służbach musieli zauważyć, że im więcej technologii kradną, tym są dalej za Zachodem i Japonią. Musiało to być uczucie okropne, gdy po wspięciu się na kolejny szczyt widać następne, wyższe. Wróćmy do tego, od czego zaczęliśmy, do elektroniki wojсковej. Tutaj przewaga Zachodu była najbardziej oczywista. Nie mogło jej zwalczyć rozwijanie innych broni, na przykład chemicznych i bakteriologicznych. Bronie jądrowe były jeszcze ściślej związane ze środkami przenoszenia i tu najgorszym dla ZSSR ciosem okazała się SDI, niepotrzebnie i śmiesznie nazwana przez dziennikarzy wojnami gwiazdowymi. Ogłoszone projekty wprowadziły Sowietów w stan nieopisanego nerwowości. Jej miarą była wypowiedź wyjątkowo nieprzyjemnej postaci „nauki” sowieckiej, wiceprzewodniczącego Akademii Nauk ZSSR i przewodniczącego Komitetu Sowieckich Naukowców za Pokojem i Przeciw Wojnom Nuklearnym, Jewgienija Wielichowa. Oświadczył on w czerwcu 1984 w Radiu Moskiewskim, po angielsku (co pisała *Nature*), ni mniej ni więcej, że ogłoszenie przez Ronalda Reagana programu SDI jest typowym łysenkizmem! Nie wiadomo, co bardziej podziwiać: subtelność porównania czy stan ducha, w którym plecie się głupstwa ze zdenerwowania. Przerażenia Rosjan nie zdołały stłumić wątpliwości niektórych Amerykanów (wśród nich *fellow travellers* komunizmu). Istotnie, pomysły były zadziwiające, ale jak wiadomo, realizacja najbardziej zwariowanego pomysłu, jeżeli tylko nie przeczy prawom natury, jest tylko kwestią pieniędzy. Tu Rosjanie nie mieli wątpliwości, Amerykę zawsze oceniali przesadnie, zawsze mieli nawet kompleks Ameryki. Gdyby SDI została zaproponowana przez Anglików albo Niemców, to zapewne by się tak nie wystraszyli. W jękach wściekłości żalili się, że SDI przekreśla zasady równowagi sił nuklearnych, która według nich była gwarantem pokoju. Oczywiście duszy widzieli już każdą ich raketę z głowicą nuklearną unicestwioną grubo przed osiągnięciem celu, a święte imperium sowieckie otwarte na rakietę amerykańskie.

Mało poświęciłem miejsca nauce tajnej, bo ciągle ukazują się nowe materiały. Ale możemy już teraz powiedzieć, że pion tajny, pracujący dla maszyny wojennej, był niewiele mniej zacofany w stosunku do Zachodu niż pion jawny. Rozwój techniki światowej szedł nie tyle w kierunku doprowadzania do wielkich bitew materiałowych, ile w kierunku cy-

zelowania precyzji uderzeń, które zademonstrowano w wojnie w Zatoce. Polscy komentatorzy wojskowi na gorąco oglądający zdjęcia w telewizji gubili się chwilami w tym wszystkim. Sypali rusycyzmami, prawidłowe wymówienie angielskich terminów nastęrczało im trudności. Widmo tej wojny przekonało chyba Rosjan, że muszą skapitulować. Użycie takich masowych broni jak nuklearna dawno już wykreślono z repertuaru. Broń nuklearna niszczyła przecież grubo za dużo (*overkill*) i taktycznego znaczenia nia miała. O wielkich bitwach czołgów też trzeba było zapomnieć, bo już wojny izraelskie wykazały, że w najbardziej decydującym momencie okazuje się, że braknie paliwa.

Oprócz niewątpliwie przesadnego przerażenia potęgą USA, skatalizował kapitulację brak wiary w komunizm. Wiara ta po 70-ciu latach komunizmu nie była zresztą przesadna, a wyznawcy byli zwyczajnymi oportunistami korzystającymi z przywilejów klanowych. Nie było widoków na nowe bronie, które trzymały Niemców, przynajmniej niektórych, w walce do końca. Tu też trzeba powiedzieć, że Amerykanie umiejętnie podsuwali Rosjanom fałszywki o swych broniach (tajemniczy agent Topaz działający na szczytach NATO, kupiony przez Rosjan, ale dziwnie nigdy nie ujawniony; po prostu rozplynął się w ogólnym zamieszaniu pobitewnym). Kto wie też, czy znakomite książki Toma Clancy'ego nie były szybciotko tłumaczone na rosyjski i rozprowadzane jako obowiązkowa lektura od pułkownika Armii Czerwonej wżwyż?

Nie chciałbym zanudzać Czytelnika szczegółowymi tabelami, więc tylko opisowo przytoczę ocenę wyników wyścigu USA-ZSSR w podstawowych technologiach pióra Erica Stubbsa z Uniwersytetu Harvarda. Ocena dotyczy roku 1988, a więc imperium jeszcze jako-takiego, na krótko przed załamaniem się. Na dwadzieścia wybranych najważniejszych technologii autor ten nie przyznaje wyższości ZSSR w żadnej. W sześciu przypadkach uznaje potencjał ZSSR za równoważny USA, jakkolwiek muszę powiedzieć, że jest to ocena dla ZSSR nie zawsze zasłużona. W pozostałych czternastu wyższość USA jest zdecydowana, niekiedy miazdżąca.

Żadnego z moich artykułów nie kończę bez zwrócenia uwagi na aspekty polskie. Nie jest to tak trudne, bo chcąc nie chcąc byliśmy częścią walącego się gmachu. Dlatego na upadek imperium nie możemy patrzeć jak na przedstawienie. Od Stalingradu byliśmy już w pełni wciągani w system totalitarnego komunizmu, obejmującego wszystko, a więc i naukę

i technikę. Oszczędzono nam ogromnego pionu nauki tajnej. Były co prawda kancelarie tajne w instytutach, były kasy pancerne pełne tajnych „publikacji naukowych”, były tajne stopnie naukowe, np. tajne habilitacje, ale te które znam były humorystyczne i służyły do ukrycia miałkości osiągnięcia naukowego. Imperium ciągnęło nas w dół swym odcięciem od świata i od postępu naukowego. Opisany przypadek (*case history*) pozytywnej roli współpracy z pionem jawnym w ZSSR, częściowo sprzęgniętym z wojskowym, jest tylko wyjątkiem. Pozorna współpraca, jaką reprezentowało RWPG, przyczyniała się tylko do kosztów, a nie do postępu.

Nawiązując do mojej obsesji z Powstania Warszawskiego: dziś czuję się, mimo że zbliżam się do emerytury, jak ten chłopczek z 1 sierpnia 1944 stojący z dwoma granaticami przed niemiecką maszyną wojenną. Bo jak inaczej może naukowiec nazwać kontynuację komunistycznego stanu niedoinwestowanej nauki i techniki? Ułamek procenta dochodu narodowego przeznaczony na naukę, liczba studentów w Polsce, która nie sięga sumy studentów kilku (z dwóch tysięcy) uczelni amerykańskich. Ważne decyzje techniczne, dotyczące energetyki wodnej i nuklearnej, narzucane przez ulicę. Rządy zamawiające urządzenia zdrowotne dla siebie u radiestetów. Pogarda dla inteligencji technicznej. Czy to wystarczy, by widzieć przyszłość Polski tragicznie?

Jeżeli kogoś zaszokowałem poglądami mojego anglosaskiego przyjaciela na niechęć Zachodu do Słowiańszczyzny, to niech zechce przyjąć do wiadomości, że dziś (marzec 1993) musiałem złożyć wniosek o zezwolenie zakupu pewnego oscylografu, znajdującego się na liście embarga, kontrolowanej przez osławiony COCOM. Nie wystarczy dziś mieć pieniądze na zakup czegoś nowoczesnego, trzeba mieć zezwolenie, jak za najlepszych czasów zimnej wojny! Może mi ktoś powie, że chodzi o utrzymanie pracy dla rzesz urzędników, którzy będą obracali w rękę nasze podanie — ja w to nie wierzę. Będę wierzył natomiast w teorię mojego, świeć Panie nad jego duszą, przyjaciela, WASPa.

Zbigniew P. ZAGÓRSKI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 18 marca 1993

W moim opowiadaniu *Księżę Niezłomny* (1956) przytoczony jest następujący epizod: „Kiedy admirał Cagni wrócił z Bieguna Północnego, urządzono na jego cześć w Turynie uroczysty bankiet i pośrodku stołu ustawiono trofeum z lodu. — Jeżeli tego natychmiast nie zabierzecie — powiedział po przybyciu Cagni, — nie tknę ani jednej potrawy. Przez cały okrągły rok nie robiłem nic innego tylko patrzyłem na lód i walczyłem z lodem. Dosyć”.

Ostatnio mówiam nie raz pokusę sparafrazowania admirała w taki mniej więcej sposób: „Jeśli nie przestaniecie wciągać mnie w rozmowy i dyskusje o komunizmie, ucieknę natychmiast i zatrzasnę za sobą drzwi. Przez pół przeszło wieku patrzyłem na komunizm i walczyłem z nim jak umiałem. Dosyć”.

Potem przychodzi chwila refleksji, a raczej opamiętania. Został pokonany, leży w gruzach, ale czy pora na „uroczysty bankiet” (triumfalny), czy wolno wypalić go gorącym żelazem z pamięci i myśli? Wiem dobrze, że nie. Skonał niby, a przecież daje znaki życia, jak Stalin z ponurej anegdoty, którego chciano już ubrać w paradny mundur do trumny, gdy nagle otworzył jedno oko i groźnie nim łypnął. Komunizm jest czymś więcej niż ustrojem-smokiem, przebitym nareszcie włócznią Świętego Jerzego. Jest po jakimś nieśmiertelny, jest smokiem (żeby pozostać przy tym porównaniu), któremu wciąż odrasta odrąbany ogon.

Redaktor krakowskiego *Znaku* Jarosław Gowin zaprosił mnie do udziału w ankiecie, tak formułując jej przedmiot:

„Chcielibyśmy powrócić do problemu komunizmu, ale nie z perspektywy historycznej, politologicznej czy socjologicznej; chcemy spojrzeć na komunizm jako na doświadczenie rzutu-jące (to ze znakiem zapytania) światło na fenomen człowieka; innymi słowy, chodzi nam o refleksję na temat tego, co komunizm wnosi do wiedzy o człowieku”.

Ten „znak zapytania” przy „komunizmie jako doświadczeniu rzutującym światło na fenomen człowieka” jest w pełni uzasadniony. Komunizm (i w ogóle totalitaryzm) wydobył tylko na powierzchnię z sekretnych, głęboko ukrytych zakamarków człowieka to wszystko, co w szczególnych okolicznościach może go uczynić podłym i okrutnym; „wnosi więc do naszej wiedzy o człowieku” tylko świadomość, że taka sfera istnieje i że zdruzgotanie wszelkich hamulców moralnych jest wyobraźalne, gdy zaczajone w duszy ludzkiej siły zła dochodzą do głosu w „ideologicznej” aureoli nowych „praw”. Znamienne, że o „innym człowieku” najczęściej nas uczą kataklizmy. Defoe opisał zdegradowane społeczeństwo dzumy londyńskiej z 1665 roku; Camus posłużył się dżumą jako metaforą ludzkiego upadku, z którym usiłują walczyć dwie świętości: chrześcijańska i laicka; ja, pisząc opowiadanie *Dżuma w Neapolu*, miałem przed oczami nie odległy rok 1656, lecz stan wojenny w Polsce. Komunizm jest owocem i wyrazem społecznej, politycznej i duchowej dzumy.

W roku 1920 Bertrand Russell pojechał do Rosji na miesiąc zaledwie, a jego mała książeczka, napisana zaraz po powrocie, *The Practice and Theory of Bolshevism*, wznawiana jest do dzisiaj bez skreślenia czy dodania choćby jednego słowa. Co w ciągu miesiąca zauważył, w przeciwieństwie do rosnącej wciąż sfery „entuzjastów”, którzy na wyścigi pielgrzymowali do „ojczyzny rewolucji i proletariatu światowego?” Zauważył wcześniej i szybko istotę rzeczy. „Zło bolszewizmu polega na tym, że jego źródła tkwią w nieszczęściu ludzkim”. Tylu mamy od roku 1917 przemądrzałych „sowie-tologów”, ale żaden z nich nie zdobyłby się na wykrztuszenie tego „banalnego zdania” aż do momentu, w którym opisany przez nich „naukowo” system (także imperialny) zaczął się nagle rozpadać zgodnie z proroctwem Russella o nieuchronnej „klęsce eksperymentu komunistycznego”.

Co jeszcze „komunizm wnosi do naszej wiedzy o człowieku”? Smutną, bardzo smutną, choć nie odkrywczą bynajmniej prawdę, że nikogo nie można być pewnym; że nieodgadniona jest zarówno dzielność, jak nikczemność człowieka; co więcej, że niekiedy towarzyszą sobie jak nierozłączna para:

Postkomunistyczna „lewica” chępli się zazwyczaj dwoma komunistycznymi przywódcami, na dowód że komunizm bywa czasem „reformowalny” i „otwarty”. Ci przywódcy to Aleksander Dubczek i Imre Nagy. Dubczeka nigdy nie lubiłem, wydawał mi się skrzyżowaniem chytrej poczciwości i tchórzostwa. Moim bohaterem tragicznym był Nagy, z tą swoją zacną twarzą, z miłymi oczami za staroświeckimi binoklami, z pogodnym uśmiechem, z wąsatą dobrocią. Wyszły ostatnio na jaw dokumenty straszne (ich prawdziwość potwierdził Gorbaczow). W roku 1930 Nagy podpisał w Moskwie zobowiązanie współpracy z policją sowiecką. W roku 1933 otrzymał od swoich zwierzchników pochwałę za wzorową i wydajną służbę. Był agentem i donosicielem przez jedenaście lat, spowodował „likwidację” wielu osób, komunistycznych emigrantów węgierskich i obywateli sowieckich. Kriuczków z KGB nazywa go *dziś* „zatwardziałym stalinistą”. Nikt nie uwierzyłby w ujawnione świeżo dokumenty w roku 1956, zresztą określenie „stalinista” nie mogło wtedy być oskarżeniem w ustach najeźdźców sowieckich. Obecni postkomuniści węgierscy (Grosz i towarzysze) znali przeszłość bohatera rewolty z 1956 roku; milczeli, obawiając się „zburzenia narodowego pomnika w sercach Węgrów”.

22 marca

Największą zbrodnią komunizmu wobec człowieka jest pozbawienie go godności. Ścisłej, zmuszenie go, by sam wyzbył się godności w drodze podwójnej operacji: pseudo-religijnego zaczadzenia i przebiegłego poniżenia.

Z rogu obfitości archiwów sowieckich wypadł ostatni list Bucharina do Stalina, napisany 10 grudnia 1937, tuż przed procesem. Zaczyna się od jedynej prawdziwej konstatacji: „Znajdując się na skraju przepaści, bez możliwości odwrotu, daję ci przed śmiercią słowo honoru: nie popełniłem ani jednego z przestępstw, potwierdzonych przeze mnie podpisem w śledztwie”. Następuje pseudo-religijne zaczadzenie, zbliżające trochę Bucharina do postaci Rubaszowa z powieści Koestlera. Przyszło mi do głowy, drogi Koba, że jesteś wykonawcą „gigantycznej i odważnej idei czystki powszechnej”. Ta czystka uderzy w winnych, podejrzanych i potencjalnych winowajców. Uprzytomniłem sobie, że należę do potencjalnych winowajców. A jeśli tak, to byłoby rzeczą małostkową stawiać własną osobę i własny los ponad „global-

nymi zadaniami historycznymi”. Boję się jednak, drogi Koba, że ty *wwierzysz* naprawdę w moje rzekome zbrodnie. A popełniłem tylko jedną: w roku 1928, zapewniwszy cię słowem honoru (charakterystyczne jak często Bucharin odwołuje się do „słowa honoru”), że jestem niezdolny do intryg, w kilka dni później pobiegłem do Kamieniewa. „Nie jestem chrześcijaninem..., lecz ten fakt mógłby być moim judejskim grzechem pierworodnym”. Ach, Koba! „Gdybyś posiadał instrument pozwalający zajrzeć do mojej duszy, umęczonej i broczącej krwią, ujrzałbyś wówczas jak bardzo cię Kocham. No ale to jest psychologia, wybac. Nie ma anioła, który potrafiłby powstrzymać wiszący nad moją głową miecz Abrahama”.

A teraz do rzeczy, nie wstydz się poniżenia, prosić, błagać, byle w sposób przebiegły. Błagam cię, Koba, jeżeli mam być skazany na śmierć, niech otrucie zastąpi rozstrzelanie; najlepiej dajcie mi kielich morfiny. Pozwólcie mi zobaczyć *przed* procesem moich bliskich. Zależy mi na widzeniu *przed*, bo *po* procesie mogliby uwierzyć w moje zeznania i odebrać sobie życie; muszę ich więc przygotować. A jeśli, jakimś cudem, zostanie mi darowane życie, chciałbym pojechać do Ameryki: tam będę twoim wiernym sługą, Koba, zajmę się z entuzjazmem zwalczaniem trockizmu; jestem nawet zdolny „rozbić Trockiemu mordę”. Dla pewności przydzielcie mi czekistę, a żonę z dzieckiem zatrzymajcie na jakiś czas w ZSSR. Jeśli zaś skazacie mnie na dwadzieścia pięć lat Peczory lub Kołymy, obiecuję założyć w tych łagrach kurs uniwersytecki, muzeum, galerię sztuki, dziennik lub czasopismo. Jednym słowem, obiecuję żyć tam z rodziną i pracować owocnie do końca moich dni.

Leninowski „ulubieniec partii” w roli żalosnej szmaty. Nie otrzymał naturalnie żadnej odpowiedzi na ten list (dopisał w nagłówku: „Bez zezwolenia J.W. Stalina, nikomu nie wolno czytać”). Zawiedziony, spróbował podczas procesu w 1938 roku podnieść odrobinę bodaj głowę do góry.

23 marca

Po tym co się stało pouczająca może być ponowna lektura *The God That Failed — Six Studies in Communism*, książki która ukazała się w roku 1950 i wywołała (jak pamiętam z Londynu) ogromne zainteresowanie. Spowiedź sześciu „eksów” — Koestlera, Silonego, Gide’a, Wrighta, Fischera i

Spendera — miała być dla czytelnika lekcją pogładową, dla czego luminarze literatury (dobrani w konfesjonale przez labourzystowskiego posła Crossmana) wstępowali w szeregi komunistów i dlaczego je porzucali. Przeszło czterdzieści lat temu czytałem *Falszywego Boga* jako antologię „zdrady klerków”, kładąc większy nacisk na wspólny mianownik szczęściu „eksów”, niż na dzielące ich różnice. Z perspektywy niemal półwiecza różnice stają się jaskrawsze. Jeśli pobudki akcesu do komunizmu trudno w pełni zindywidualizować, to w każdym razie szóstka da się od biedy podzielić na trzy-cztery kategorie.

Do pierwszej należą Koestler i Fischer. Koestler nazwał kiedyś (imitując Picassa) swój akces do komunizmu przytknięciem spieczonych warg do źródła świeżej i czystej wody. Ten poetycki obraz jest wyjaśnieniem na wyrost. Koestler i Fischer zbliżyli się do partii z dwóch bardziej prozaicznych przyczyn: logiczny i zwarty wydał im się marksizm; nie wierzyli w zdolność i chęć oporu „burżuazyjnych demokracji” wobec rosnącego niebezpieczeństwa faszyzmu i hitleryzmu. Koestler odnosił się z obojętnością i nieuwagą do doli „prostych ludzi”, łatwo to dostrzec w jego późniejszych pamiętnikach, gdzie opisuje swój roczny pobyt w ZSSR. Pociągała go przede wszystkim, podobnie jak Fischera, „żelazna doktryna antyfaszystowska”. Obaj zerwali z partią na wiadomość o pakcie Mołotow-Ribbentrop.

Sądziłem niegdyś, że Silonego i Gide'a łączył w akcesie do komunizmu impuls religijny. Silone był na pewno komunistą chrześcijańskim. „Warunki życia ludzkiego w moich rodzinnych Abruzzach były zawsze bardzo ciężkie; cierpienie przyjmowano tam jako jedno z głównych praw natury, czcząc i witając w nim radośnie symbol Krzyża. Franciszkanizm i anarchizm były jedynymi formami buntu. Popiół sceptycyzmu nie zasypał nigdy w sercach tych, którzy cierpieli najwięcej, prastarej nadziei Królestwa Bożego na ziemi i oczekiwania że miłosierdzie zajmie w końcu miejsce prawa”. Chłopięca edukacja w abruzzyskiej rodzinie chłopskiej doprowadziła Silonego do partii. Po zerwaniu, opisanym pięknie w *Wyborze towarzyszy*, pozostała mu słynna formuła, którą tak lubię: „Jestem chrześcijaninem bez Kościoła i socjalistą bez partii”. A Gide? Mogło się wydawać, że i on, nie rozstając się od dzieciństwa z Pismem Świętym, wypominający Claudelowi że katolicy nie znają Ewangelii, odkrył nową religię świecką i kto wie, czy nie zapragnął zostać jej arcykapłanem na Zachodzie (za zgodą Moskwy). Po *Powrocie z ZSSR*

rozstał się z myślą o komunistycznym kapłaństwie do tego stopnia, że inwazję hitlerowską w czerwcu 1941 pokwitował w dzienniku zapisem o „uroku kwiatów, drzew i młodych ciał”.

Silonemu był raczej bliski pisarz murzyński Wright, wychowanek slumsów w Chicago, szukający ucieczki od dyskryminacji rasowej w cieniu „komunistycznego Boga wszystkich ludzi, niezależnie od koloru ich skóry”. A przecież właśnie Wright, przyjąwszy komunizm jak dziecko pierwszą komunię — w sposób naturalny i naiwnie szczery, — wypułł go natychmiast z obrzydzeniem, gdy poczuł na języku gorzki smak duchowej niewoli.

Ostatniego z szóstki „eksów”, Spendera, zaliczyłbym do tej specyficznej pepiniery Oxfordu i Cambridge, która intelektualny snobizm „ludowy”, liberalny przesyty, połączyła z kultem „wschodzącej siły i potęgi sowieckiej”; i która, między innymi, obdarzyła świat angielską galerią agentów sowieckich w osobach Kima Philby, Macleana i Burgessa, Sir Anthony Blunta.

Wydana właśnie książka amerykańskiego profesora Tony Judta *French Intellectuals 1944-1956* odślania francuską gnójówkę „intelektualną” na lewicy. Dla po-gidowskiej formacji Sartre i Spółka komunistyczny Bóg okazał się nie tyle fałszywy, co po prostu nudny. Porzucili go bez potrzeby jakichkolwiek wyjaśnień.

24 marca

Dzięki uprzejmości wydawcy włoskiego czytam polski maszynopis nowej książki Ryszarda Kapuścińskiego *Imperium*. Dojechałem do połowy, już widać że długie włóczęgi sowieckie Kapuścińskiego obrodziły książką świetną. Jak głębinowy nurek, opuścił się w pobliże dna Imperium, tego dna na którym (jak powiada) „zaczyna ożywać wulkan”. Podoba mi się porównanie Imperium do jeziora: „Na spokojnej, gładkiej powierzchni pojawiają się bąble. Z czasem jest ich coraz więcej. Tu i tam woda zaczyna wrzeć. W głębi słychać stłumione pomruki”.

Kapuściński cytuje książkę historyka Ejdelmana *Odgórna rewolucja w Rosji*. Zdaniem Ejdelmana wszystko — zwroty, rewolucje, wstrząsy, przełomy — było w dziejach Rosji odgórne; energia narodu rosyjskiego wyładowywała się zawsze nie w oddolnych, samodzielnych inicjatywach, lecz w wypeł-

nianiu woli rządzących. Nigdzie jak w Imperium nie jest tak ostry — i tak zdawałoby się nieodwracalny — podział społeczeństwa na rządzących i rządzonych.

Gazety w tych dniach pełne są depesz i artykułów o „wyzwaniu Jelcyna”. Postawi na swoim, czy rozpęta wojnę domową? Jest to pytanie powierzchowne. Należy zapytać (i tu czuję zgodność moich poglądów z wielkim reportażem analitycznym Kapuścińskiego), czy powolny proces dojrzewania, dorastania rządzonych nie zostanie gwałtownie przerwany przez rządzących w imię powrotu do dawnego, „bezpiecznego” podziału. Jeśli Jelcyn to rozumie, jeżeli popełniając nawet takie czy inne błędy, potrafi obronić proces dojrzewania rządzonych, to będzie po jego stronie, jak jest po jego stronie, choćby z licznymi zastrzeżeniami, Sołżenicyn. Dziś Rosja jest zagrożona przez aparatczyków o zakutych łbach, zwykłych żulików z dawnej nomenklatury i efekciarskich linoskoczków „leninowskich” w rodzaju Gorbaczowa. Jelcyn zdaje się być ulepiony z innej gliny. I wyczuwam w nim (może błędnie) tak dziś ważne — nie tylko zresztą w Rosji, także w byłych „demoludach” — docenianie czynnika cierpliwości i stopniowości w otrząsaniu się rządzonych z niewolniczej akceptacji odgórnego zawsze trybu funkcjonowania społeczeństwa.

25 marca

Jerzy Pomianowski przysłał mi wiersz Leonida Martynowa *Łańcuch*. Przełożył go po mistrzowsku. Warto było potrudzić się, Martynow napisał najpiękniejszy i najmądrzejszy chyba wiersz epoki *piestrojki*. Napisał go w roku 1986, krótko przed śmiercią. Był wieloletnim więźniem Gułagu, wrócił do Moskwy na fali „odwilży” Chruszczowa.

*Z kłamstw, niedomówień i wykrętów
niełatwo będzie się wyleczyć.*

*Tęgie spleliśmy sobie pęta,
łańcuch za nami wciąż się wlecze.*

*Na rękach człowiek go nie czuje
i nie ma go na podporędku.*

*Języków ludzkich nie krępuje,
ale w języku dźwięczy wszędzie.*

*Na nogach znikły ślady oków
i myśli człowiek, że to przeszłość,
lecz zgrzyta coś na każdym kroku*

*i skrzypi, chrzęści pod podeszwą.
Pono to rzecz nieważka zgoła,
a jednak twarde te ogniwa
w pył zapomnienia zetrzeć zdoła
rdza sama jedna, rdza cierpliwa.*

Łańcuch jest dokładną ilustracją tego, co zapisałem w dzienniku wczoraj. Mógłby się nazywać *Rdza*, bo to ona właśnie, ta „rdza cierpliwa”, jest synonimem *prawdziwej* przemiany w pokomunistycznym Imperium, rdza która latami, jeśli nie pokoleniami, przeżerać będzie łańcuchy, oplatające w *stranie gospod*, w *stranie rabow* państwo, społeczeństwo i człowieka; łączące rządzących i rządzonych w jednym układzie poddaństwa, a nie swobodnego życia zrzeszonego. A gdy, przeżarte rdzą, pękną wreszcie te łańcuchy? Odzywają się ostrzegawcze pogroźki: ślepe wybuchy rewolucyjne, morze krwi, kolejny „wilczy wiek” mandelsztamowski. Nie wierzę w te pogroźki. Upiory rewolucji zostały wyegzorcyzmowane, jest trochę tak jak w Hiszpanii, gdzie wojna domowa z milionem ofiar powstrzymywała niebezpieczeństwo repetycji. Wierzę raczej w okres bezkrwawej lub mało krwawej stosunkowo *smuty*, która dzieło „cierpliwej rdzy” naznaczy drgawkami anarchii.

Słyszę w wierszu Martynowa poważny, głęboki głos w duchu Norwida. Dlaczego nie usłyszałem go w żadnym współczesnym wierszu polskim? Nie mówię, rzecz jasna, o dalekiej już „sorealistycznej” epoce poezji lokajskiej i „konstruktywnej”.

28 marca

Tak, książka Kapuścińskiego *Imperium* jest świetna. Powinna być włączona do obowiązkowych lektur szkolnych, bo zapatrzeni jak sroka w kość w Zachód, skłonni jesteśmy wciąż zapominać, że nasza przyszłość związana jest z rosyjskimi resztkami Imperium, z Ukrainą, z Białorusią, z krajami bałtyckimi (bardziej nawet, niż z „trójkątem wyszehradzkim”). Jest w Polsce kilku autorów, piszących ze znanstwem przedmiotu o „domenie wschodniej” (Przebinda, Zajączkowski, Kowalczyk, Romanowski, Drawicz, Podgórzec), za mało jednak by powstała konieczna orientacja kulturalna i polityczna, która zastąpi dawne urzędowe „towarzystwa przyjaźni” autentycznymi, żywymi stosunkami. *Imperium* Kapuścińskiego

mogłoby tu odegrać dużą rolę. Mam nadzieję, że zostanie szybko przełożone na rosyjski.

Nie zawiera, na szczęście, żadnych „rewelacji”, tak modnych wśród reporterów zachodnich, zaczytujących się w komunałach Gorbaczowa, ogłaszanych regularnie (lukratywny kontrakt!) w turyńskiej *Stampie* i przedrukowywanych na całym świecie. Na większą skalę jest w tonie *Sachalinem* Czechowa, spokojną, rzeczową, mądrą relacją, której uczciwość polega (jak u Czechowa właśnie) na bezustannym ilustrowaniu ryzykownych zawsze uogólnień i „syntez” konkretnymi przypadkami „z dołu” (niektóre są załączkami nowel). Podobnie jak w *Sachalinie*, przewijają się nieustannie w *Imperium* ludzkie losy i ludzkie twarze. Kapuściński posiada też czechowowski dar melancholijnej mądrości, przyzwoitości i prostolinijności, który we współczesnej Rosji był jedną z głównych zalet Sacharowa. Solżenicyn to inna parafia; potrafi zachłystywać się Rosją carską jako „bogatym i kwitnącym” krajem, czego nigdy nie zrobił Czechow (ileż było gorczy w jego sztukach, nowelach i listach!) i czego nie zrobiłby nigdy Sacharow.

Kapuściński pisze słusznie o walce sił integracji i dezintegracji, o konflikcie chrześcijaństwa i islamu, o postępującym w społeczeństwie sowieckim zróżnicowaniu materialnych warunków życia (bogaci coraz bogatsi, biedni coraz biedniejsi, jak w Polsce, gdzie kapitalizm żarłoczny, bezwzględny, agresywny jest głównym atrybutem „wściekły prawicy”), o trzech plagach: nacjonalizmu, rasizmu i religijnego fundamentalizmu, o zawrotnym rozwoju mafii kryminalnych (tu brak mi analizy mafijności sowieckiego życia politycznego, zarówno wczoraj jak dzisiaj), o powrocie „przeklętych” problemów i dylematów na gruzach sowytyzmu. Książka, obok akcentu optymistycznego („wielkie społeczeństwa mają wielką siłę wewnętrzną”), kończy się tołstojowską odmianą gogolowskiej trójki: „jedziemy Bóg wie dokąd i Bóg wie co się z nami dzieje!”. Mam ochotę powiedzieć: kończy się oczywiście. Gdyż nikt, poza zawodowymi „sowietologami”, nie odważy się zgodnie z sumieniem i z wielokształtną rzeczywistością nakreślić w zarysach choćby „postimperialne jutro” siedemdziesięcioletnich rządów „utopii u władzy”.

1 kwietnia

Jan Józef Szczepański: „Dla mnie prawdziwym skandalem i kpina ze sprawiedliwości jest to, że prokuratorzy i sę-

dziowie, którzy skazywali zasłużonych, bohaterskich ludzi na śmierć, a także oprawcy, którzy ich torturowali, żyją sobie spokojnie i pobierają specjalnie podwyższone emerytury. Ta sprawa musi wreszcie zostać załatwiona”.

Podpisuję się pod każdym słowem wypowiedzi Szczepańskiego z końca marca. Jak solidaryzowałem się z każdym słowem Listu Dwudziestu Dziewięciu O *sprawiedliwość i prawdę* z końca stycznia. Na ten List odpowiedział Stefan Bratkowski dwoma artykułami, O *mądrość narodową Polaków* i *Zemsta jest rozkoszą bogów, a nie mądrością narodów*. Tytuł pierwszego artykułu zmieniłbym na O *głupotę narodową Polaków*, bo jest nawoływaniem do głupoty stawianie „miłosierdzia”, „przebaczenia” ponad działaniem prawa i wymiaru sprawiedliwości. Jest próbą wpędzenia Polaków w ślepą uliczkę bezprawia, dezynwoltury wobec elementarnych zasad normalnego życia społecznego i narodowego. Po co oklepanym frazesem piętnować „zemstę jako (nie)ludzką rozkosz bogów”, gdy chodzi nie o zemstę a o przekonanie Polaków, że żyją nareszcie pod rządami prawa? Skąd się wzięła ta moda na „miłosierdzie” i „przebaczenie” w cudzym imieniu ofiar przemocy i prześladowań (jak kiedyś istniała moda na bicie się za własne grzechy w cudze piersi)?

W jednym z poprzednich zapisów przytoczyłem wspomnienie Silonego o tym, jak w jego stronach rodzinnych za dawnych czasów „popiół sceptycyzmu nie zasypał nigdy w sercach tych, którzy cierpieli najwięcej, prastarej nadziei Królestwa Bożego na ziemi i oczekiwania że miłosierdzie zajmie w końcu miejsce prawa”. Piękna to nadzieja, lecz dopóki nie zapanuje Królestwo Boże na ziemi, lepiej i mądrzej jest ufać prawu i bronić jego miejsca w naszym życiu. Anielscy orędownicy „mądrości narodowej Polaków” powinni o tym pamiętać.

8 kwietnia

Co jakiś czas oczekuję, że przetrząsane gorliwie archiwa sowieckie potwierdzą moją czysto hipotetyczną opowieść kryminalną *Siedem śmierci Maksyma Gorkiego*. Nie zanosi się na to, przynajmniej chwilowo. *Literaturnaja Gazieta* ogłosiła rozmowę z kierownikiem archiwum Gorkiego przy Instytucie Literatury Światowej. Rozmowę o tyle wymijającą a nawet lekko komiczną, że otwierają ją spekulacje na temat „tajemni-

czej walizki” baronowej Mury Budberg. W czym rzecz? Mura była sekretarką i kochanką pisarza. Książka o niej *Żelazna kobieta*, napisana przez Ninę Berberową, ustala „skrupulatnie”, że wiosną 1934 roku w Sorrento, w przeddzień powrotu Gorkiego na stałe do ZSSR, powstał problem losów jego bogatego archiwum. Część została już wysłana do Moskwy, część bardziej poufna a nawet „niebezpieczna” powinna być zdaniem pisarza i jego dworu pozostać za granicą. Baronowa Budberg, zamieszkała wtedy w Londynie, zaproponowała że zabierze wyłączoną część w dużej walizie do Anglii. Gorki zgodził się na to, ale (jak pisze Berberowa) postawił warunek: jeżeli ktoś z Moskwy, nawet on sam, poprosi o przesłanie jakichś dokumentów lub listów z walizy, Mura ma kategorycznie odmówić. Ale po dwóch latach pobytu w Moskwie pisarz poczuł zbliżającą się śmierć i zapragnął raz jeszcze uściskać swoją Murę. Stalin zgodził się na wydanie jej wizy, jeśli przywiezie drogocenną walizę. Rozumiem z książki Berberowej, że życzenie dyktatora zostało spełnione. Trudno się powstrzymać od uśmiechu.

W dość mętnej, plotkarskiej i literacko nieudanej książce Berberowej jeden akapit jest wiarygodnym i skromnym kluczykiem do zagadkowej postaci baronowej Budberg: „W Moskwie uważano Murę za tajnego agenta angielskiego, w Estonii za szpiega sowieckiego. We Francji emigranci rosyjscy sądzili, że jest na usługach Niemiec. W Anglii uchodziła za agenta sowieckiego. Peters mówił o niej, że jest szpiegiem niemieckim w Cze-Ka. Nie wiadomo jak oceniała Murę policja Mussoliniego”. Prawdopodobnie baronowa była wszechstronna w obu dziedzinach: szpiegowskiej i erotycznej. W każdym razie trzeba mieć w głowie nie wszystkie klepki w porządku, aby uciekać desperacko przed prawdą o Gorkim, aby przypuszczać, że baronowa Budberg przywiozła „tajną walizę” do Moskwy dopiero podczas swojej wizyty pożegnalnej u Gorkiego. Jestem pewien, że oddała ją komu należy natychmiast po przyjeździe do Londynu w roku 1934. Stalin miał więc dostatecznie dużo czasu na przeczytanie niezbyt pochlebnych o sobie wypowiedzi Gorkiego, wyłączonych do „tajemniczej walizy” z archiwum pisarza. Co prawda w ciągu ostatnich dwóch lat życia Gorkiego w Moskwie oswoił go i wytresował odpowiednio, zrobił pieska pokojowego z wilczura, utyłł go w błocie wizyty na Sołówkach i pisarskiej „inspekcji Bielomorkanału”, ale nagle powarkiwanie Gorkiego w roku 1936 skłoniło zapewne Wodza do zaaranżowania „siódmej śmierci” ulubieńca narodu sowieckiego, świętego bar-

da postępowej inteligencji sowieckiej, „ukochanego przez nas wszystkich Aleksieja Maksimowicza”.

15 kwietnia

Przeoglądam wspaniały katalog wystawy Brunona Schulza w Muzeum Literatury im. Mickiewicza, przysłany mi przez dyrektora Janusza Odrowąża-Pieniążka. I czytam co o Schulzu napisał Francesco Cataluccio, prelegent na wieczorze schulzowskim w rzymskim Instytucie Kultury Polskiej (nie mogłem na ten wieczór pojechać, poprosiłem więc mojego włoskiego przyjaciela o tekst jego odczytu). Szkic Cataluccia jest bardzo dobry, sugestywnie zatytułowany *Niema samotność w lustrze, mit i metamorfoza w twórczości Schulza*. Mam mglistą potrzebę posunięcia się o krok dalej, poza „mit i metamorfozę”. Uderza mnie motto do serii autotypretów w katalogu, zdanie z *Samotności* Schulza o „naszych spojrzeniach które przestają się spotykać”, o spojrzeniach Schulza przed lustrem i Schulza odbitego w lustrze. To właśnie owa „niema samotność w lustrze” z tytułu szkicu Francesca. I czuję, że moja mglista potrzeba posunięcia się o krok dalej w spojrzeniu na drohobyckiego artystę staje się trochę mniej mglista.

W wielkiej i genialnej literaturze zdarzają się wielkie i genialne porażki; pragnienia tak ambitne, że muszą pozostać w sferze nienasycenia. To był wypadek Leśmiana. Pisałem o nim przed wielu laty (1948): „Świat rozbity na czyste kryształy barw, kształtów i uczuć zaczyna się rozchwiewać i zacieierać w swych zarysach, zaludnia się cieniami i zjawami. Leśmian traci stopniowo poczucie realności i materialności, porusza się wśród swych widm niepewnie i po omacku. Miejsce bujności i zachłanności *Łąki* zajmuje w *Napoju cieni* stym znikliwość i nijakość. Poza «krawędziami bytu» rozpościera się bezludna i wymarła pustynia. Kwiaty, którym odebrano «zielń samą w sobie», więdną. Jakież tragiczne widowisko! Jakiż smutny koniec wielkiej podróży poetyckiej! Nasycony i napojony życiem ponad miarę, leży oto «topielec zieleni», «widemko niemrawe», uczeń czarnoksiężski który wyzwolił urodę świata i przekonał się, że poza granicami czasu i przestrzeni to ona, ona właśnie, jest martwością i śmiercią”.

Schulz uwielbiał Leśmiana, *Łąkę* znał na pamięć. Myślę, że w tych dwóch poetach, w dwóch duszach bliźniaczych,

rozgrywał się pokrewny dramat sztuki sięgającej za wysoko, tam gdzie artysta przestaje być tylko artystą, przeobraża się na mgnienie oka w Demiurga, pragnie zobaczyć „rzeczy same w sobie”, proces „stawania się”, sekret kreacji przyrody, ludzi, ich metamorfoz i mitów, realności i nieziemskości w nieustannym *statu nascendi*. I ponosi porażkę. Ale zanim do tej porażki dochodzi, udaje mu się w sposób olśniewający stworzyć i utrwalić tajemniczą sferę „pomiędzy”, sferę w której przestaną w końcu spotykać się spojrzenia twórcy i jego odbicia w dziele sztuki. W której miejsce widzialnych lub wyobrażonych zjawisk zajmą widma.

20 kwietnia

Wers poety greckiego Archilocha: „Lis wie wiele rzeczy, ale jeź jedną niemałą”. Isaiah Berlin w eseju *Jeź i lis* (przekład polski zawdzięczamy wydawnictwu Pavo) posługuje się wersem Archilocha, aby pisarzy i myślicieli podzielić na dwie kategorie: istnieje ogromna przepaść między przedstawicielami jednej centralnej wizji, jednego spójnego systemu, jednej powszechnej zasady (jeże) i rzecznikami błędzenia na wielu poziomach, chwytania istoty rozmaitych doświadczeń i rzeczy (lisy). Dante jest jeżem, Szekspir lisem. Jeżami są Dostojewski, Hegel, Proust, lisami Montaigne, Balzac, Joyce. A Tołstoj? Esej Berlina analizuje jego poglądy na historię i dochodzi do wniosku, że z natury był lisem, uważał się jednak za jeża. Nicola Chiaromonte, który swój szkic *Tołstoj i paradoks historii* oparł w dużym stopniu na książeczce Berlina, stawia kropkę nad i. Kiedy Tołstoj odwiedził w roku 1861 Proudhona w Brukseli, myśliciel francuski pracował nad książką *La guerre et la paix*. Tołstoj zapożyczył od niego tytuł swego arcydzieła i (prawdopodobnie) „jeżowatą” formę „boskości” jako siły inspirującej historię. Ale był lisem w spojrzeniu na rzeczywistość. Berlin: „Tołstoj postrzegał rzeczywistość w całej jej różnorodności jako zbiór oddzielnych, realnie istniejących rzeczy i widział wszystko, co jest wokół i wewnątrz nich tak jasno i z taką wnikliwością jak chyba nikomu i nigdy to się nie udało — lecz wierzył w jedną wielką, jednolitą całość”. Była to „jednolita całość” w sensie niewidzialnej siły czuwającej z wysoka nad wypadkami, których nie jesteśmy w stanie zobaczyć inaczej, niż jako wypadki chaotyczne i niezależne od „przyczyn sprawczych”. „Boskość” Proudhona nie miała posmaku religijnego, była może

tym, co lis nad lisami Szekspir widział jako ukryty mechanizm suwerennych z pozoru działań ludzkich.

W roku 1901, w rozmowie z Paulem Boyer, Tołstoj wyznał, że wszystkiego, co wie o wojnie, nauczył się z opisu bitwy pod Waterloo w *Pustelni Parmeńskiej*, kiedy to Fabrycy del Dongo wędruje po polu bitwy „nic nie rozumiejąc”. Tę koncepcję — wojny „bez *panache*” i „upiększeń” — zweryfikował później na własny rachunek w wojnie krymskiej. Wtrącę tu weryfikację osobistą: od stendhalowskiego opisu zacząłem wspomnienie bitwy pod Monte Cassino, w jej ćwierćwiecze; do dziś, a więc po półwieczu, trzymam się mądrości *Pustelni Parmeńskiej*, kładę nacisk w urywkowych i bezładnych reminiscencjach na słowa Fabrycego „nic nie rozumiem” (nie dotyczy to tylko prostych żołnierzy, jak ja — w nocy przed zwycięstwem Anders nie wiedział czy bitwa została wygrana czy przegrana).

Ale dzisiaj pytanie jest inne. Miałem — podobnie jak Stendhal i Tołstoj — poczucie nadrzędnej całości, swoistej, niedostrzegalnej w tle „boskości” wśród płataniny zdarzeń i ludzi? Tak, miałem je. Miał je francuski bonapartysta Stendhal, miał je denigrator Napoleona i gloryfikator Kutuzowa, wielki Tołstoj. Otóż według mnie to się w naszej bieżącej epoce kończy. Jeź zdycha, lis kołuje oszalają z pianą na pysku. „Boskość” historii, nawet w areligijnym znaczeniu Proudhona i Tołstoja, staje się szyderczym, wydrążonym z jakiegokolwiek treści, upiorem.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Pierwsze reakcje po klęsce

Wykonany na zlecenie KC PZPR i traktowany jako „tajny” sondaż opinii dotyczący wyborów z 4 czerwca 1989 r. przyniósł wyniki niepokojące dla „strony koalicyjno-rządowej”, ale w kierownictwie partyjnym liczono na „ostatni zryw” oraz na zdobycie znacznej części głosów niezdecydowanych. Choć w miarę zbliżania się dnia wyborów nastroje w elicie pezetpeerowskiej stawały się coraz bardziej minorowe, nikt nie spodziewał się takiego wyniku, jaki przyniosła I tura, który (szacunkowo) znany był już w godzinach przedpołudniowych w poniedziałek 5 czerwca. Zebrało się wówczas 25-osobowe grono, w którym chyba nie zabrakło żadnej z osób odgrywających istotną rolę w sterowaniu — rozpadającym się właśnie — PRL: 10 członków Sekretariatu KC, 8 warszawskich członków Biura Politycznego, którzy nie wchodzili w skład Sekretariatu (w tym premier, ministrowie spraw wewnętrznych i obrony narodowej, przewodniczący OPZZ), 3 kierowników wydziałów KC PZPR, rzecznik prasowy KC oraz 3 innych członków Rady Ministrów (w tym prezes Komitetu ds. Radia i TV). Trudno o bardziej reprezentatywny zespół i lepszy przykład pojęcia partia-państwo.

Publikowany poniżej protokół z tego zebrania nie wymaga komentarza ani interpretacji. Warto być może zwrócić uwagę na kilka spraw:

1. W zasadzie nie rozpatrywano możliwości podważenia wyników wyborów czy ich unieważnienia, a skoncentrowano się na ratowaniu tego co się da w II turze. Decydującą rolę w tej

1. W skrócie: deklarowano chęć głosowania na listy koalicyjne (PZPR, ZSL, SD, grupy katolickie) — 15 %, na listy Komitetu Obywatelskiego — 40 %, niezdecydowani stanowili największą grupę — 45 %, frekwencję szacowano na 80 %. Sondaż wykonało ok. 20 maja rządowe Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS).

akcji ratowania przyznawano *de facto* Kościołowi oraz Wałęsie i liderom listy Komitetu Obywatelskiego.

2. Nie negując własnych błędów, kilku mówców (w tym gen. Jaruzelski) główną winą obarczyło Kościół.

3. W paru wypowiedziach znalazły się — tradycyjnie niejako — propozycje „postraszenia” społeczeństwa czy to przykładem chińskim (Baka) czy „wstrząsami w całym obozie” (Rakowski).

4. Pojawiły się głosy (Czarzasty) proponujące zmianę nazwy PZPR i jej statutu.

5. Kłótnie o to, kto ma w imieniu PZPR publicznie przyznać się do klęski (Urban proponował Kiszczaka, Kiszczak zaś Urbana) mogą być świadectwem atmosfery panującej na zebraniu.

Tekst protokołu oraz załącznik („Pilne decyzje”) publikujemy *in extenso*, ale z usunięciem błędów maszynowych.

Tajne

PROTOKÓŁ Nr 64

z rozszerzonego posiedzenia Sekretariatu KC PZPR
5.06.1989 r.

Obecni: Tow. tow. W. Jaruzelski, J. Czyrek, W. Baka, St. Ciosek, Z. Michałek, M. Orzechowski, Z. Czarzasty, L. Miller, M. Stępień, B. Kołodziejczak.

Nieobecni: tow. K. Cypryński.

Zaproszeni: Tow. F.M. Rakowski — czł. BP, prezes Rady Ministrów; K. Barcikowski — czł. BP, z-ca przewodniczącego RP; Cz. Kiszczak — czł. BP, minister spraw wewnętrznych; A. Miodowicz — czł. BP, przewodniczący OPZZ; J. Reykowski — czł. BP; F. Siwicki — czł. BP, minister obrony narodowej; J. Kubasiewicz — z-ca czł. BP, I sekretarz Kom. Warszawskiego; Z. Sobotka — z-ca czł. BP; I. Sekuła — wiceprezes Rady Ministrów; A. Gdula — kierownik Wydziału, sekretarz Komisji Prawa i Praworządności; M. Lubczyński — kierownik Wydziału, sekretarz Komisji Pracy Partyjnej; E. Szymański — kierownik Wydziału, sekretarz Komisji Organów Przedstawicielskich; A. Kwaśniewski — minister, przewodniczący Komitetu Społeczno-Politycznego RM; J. Urban — minister, prezes Komitetu d/s Radia; J. Bisztyga — rzecznik prasowy KC PZPR.

Porządek obrad

Wymiana poglądów na temat przebiegu pierwszej tury wyborów do Sejmu i Senatu.

Tow. W. Jaruzelski — na wstępie stwierdził, że wyniki wyborów dla koalicji są bardzo złe. Co należy robić od zaraz w najbliższych dniach?

— w dniu dzisiejszym w Dzienniku Telewizyjnym oświadczenie wyprzedzające oficjalne wyniki wyborów — ustalić kto wystąpi,

— w dniu dzisiejszym spotkanie z sojusznikami,

— w dniu 6.06. odbyć posiedzenie Biura Politycznego oraz naradę z I sekretarzami KW,

— rozważyć wariantowe terminy plenarnego posiedzenia KC (w trybie nadzwyczajnym, przed 18.06¹, po 18.06), decyzję podjąć na BP, ustalić termin konsultacji z członkami KC,

— nawiązać kontakt i przeprowadzić rozmowy z hierarchią kościelną, rozważyć spotkanie z prymasem J. Glempem. Kościół jest głównym sprawcą zaistniałej sytuacji,

— odbyć spotkania informacyjne z ambasadorami akredytowanymi w Warszawie,

— rozważyć celowość odbycia lub odłożenia w czasie planowanych wizyt Przewodniczącego Rady Państwa w Londynie i w Brukseli oraz wizyty w Polsce prezydenta Mitterranda.

Tow. Z. Czarzasty — poinformował, iż ze wstępnej analizy przebiegu wyborów wynika, iż miały one charakter plebiscytu, referendum, czego nie zakładaliśmy. Dotychczas brak pełnych danych o wynikach głosowania na listę krajową. Komitety Wojewódzkie sygnalizują, że kler, szczególnie w dniu wyborów, nawoływał do głosowania na „S”. Bardzo słaby w wyborach był udział młodzieży.

Tow. J. Czyrek — ocenił, że nie udało się zrealizować założeń wyborczych. Formuła personalna okazała się nieskuteczna. Wynik został rozstrzygnięty w I turze. Opozycja II turą wyborów nie jest zainteresowana. Nietrafne były też prognozy frekwencji wyborczej. Strona koalicyjna, sama partia wykazała nieskuteczność agitacyjno-propagandową. Większość

1. Jest to termin II tury wyborów.

wyborców dużo wcześniej była zdecydowana na kogo głosować. Obecnie najważniejszą sprawą jest opanowanie nastrojów w partii i w całej koalicji. Sojusznicy są zaniepokojeni, „S” okazała już poparcie niektórym ich kandydatom i może to zrobić jeszcze w II turze. Pilnie nawiązać kontakt z Kościołem, ale także z kierownictwem opozycji (ustalić formę i szczebel). Odbyć pilnie posiedzenie Komisji Porozumiewawczej². Wizyty w Londynie i w Belgii zrealizować, natomiast wizytę Mitterranda u nas odłożyć.

Tow. St. Ciosek — w telewizji powinien dziś wystąpić ktoś z kierownictwa, lub. tow. Urban. Sygnalizuje nastrój przygnębienia wśród angażujących się dziennikarzy.

Tow. Cz. Kiszcak — przeciwnik ostro walczył od początku do końca, posługując się różnymi środkami. My działaliśmy w „białych rękawiczkach”, nie wykorzystując nawet ewidentnych okazji. Wyniki wyborów przeszły oczekiwania opozycji. Zaszokowały, nie wie jak się zachować. Wybory do senatu to nasza całkowita klęska. Generał [Jaruzelski] przestrzegaliśmy o tym, że 65% mandatów w Sejmie dla koalicji nie stanowi zabezpieczenia³, bo wiadomo, że za niektórymi kandydatami naszej strony stoi „S” (np. Fiszbach w Gdańsku). Dotyczy to zresztą nie tylko członków partii, także członków SD i ZSL. To trzeba brać pod uwagę.

Tow. Kiszcak uznał, że planowane wcześniej wizyty należy zrealizować.

Tow. F. Siwicki — wyjaśnił, że we wszystkich obwodach zamkniętych wojskowi (nie kadra) średnio od 52-62% głosowało za listą krajową. *Tow. Cz. Kiszcak* uzupełnił, że podobne wskaźniki, nawet wyższe, do 70-72%, dotyczą jednostek nadwiślańskich, WOP i ZOMO.

Tow. J. Urban — uznał, że w DTV powinno być wystąpienie typu komentarz, a nie komunikat z posiedzenia Sekretariatu, który może być zamieszczony niezależnie. W wystąpieniu podkreślić, że niezależnie od wyników jesteśmy za porozumieniem, szeroką koalicją reformatorską, że groźne byłyby wszelkie próby ekstremalne. Geremek na konferencji prasowej stwierdził, że ich nie interesuje koalicja w obecnym systemie rządzenia.

2. Parytetowa komisja powołana w wyniku umowy Okrągłego Stołu.

3. Chodzi o tzw. większość kwalifikowaną niezbędną dla zmian w konstytucji lub uchwalenia nowej.

Tow. J. Czyrek — wystąpienie telewizyjne powinno być uzgodnione z sojusznikami i w imieniu koalicji. Podzielił ten pogląd *tow. Reykowski*. Uznał, że w wystąpieniu należy zaakcentować, że: wybory były demokratyczne w przygotowaniu i realizacji. Nasz elektorat wynosi ok. 30%⁴, co świadczy, że nie jesteśmy zupełnie izolowani. Przestrzec opozycję przed możliwością prób destabilizacji pod wpływem sukcesu.

Tow. W. Baka — zaproponował, by w wystąpieniu podkreślić, że braliśmy pod uwagę niekorzystny wynik. Jesteśmy konsekwentni, nie mamy innej alternatywy. Przestrzec przed próbami destabilizacji, wskazując na sytuację w Chinach⁵. XIII Plenum KC odbyć na przełomie czerwca i lipca, przedstawić na nim strategię partii.

Tow. Jaruzelski — pilnie ustalić, kto dziś wystąpi w TV. Może rzecznicy PZPR, ZSL i SD. Może *tow. Urban*, lub *tow. Reykowski*.

Tow. Kwaśniewski — podkreślił, że sprawą ogromnie ważną po ogłoszeniu wyników wyborów jest nie dopuścić do spontanicznych demonstracji, nad którymi nie zdoła zapanować żadna ze stron. Tego obawia się także opozycja. Porozumieć się z „S”, by wystąpienia miały spokojny ton, bez triumfalizmu.

Tow. J. Urban — zaproponował, by w TV wystąpił *tow. Kiszczak* jako gospodarz „os”⁶. *Tow. Kiszczak* uznał, że może wystąpić *tow. Urban*, że trzeba w tej sprawie porozumieć się z Onyszkiewiczem.

Tow. F.M. Rakowski — mógłby też wystąpić *tow. Kwaśniewski* jako przewodniczący Komitetu Społeczno-Politycznego RM, lub rzecznik prasowy KC PZPR *tow. J. Bisztyga*.

Tow. A. Gdula — wystarczy gdy wystąpi *tow. Bisztyga*. Poinformował, że Kuroń w rozmowie telefonicznej wyraził niepokój o listę centralną. Wspomniał, że wskazane jest pilne zwołanie Komisji Porozumiewawczej. Podkreślił konieczność zapewnienia spokoju.

4. Wg szacunków w I turze na listy PZPR głosowało ok. 25-27% uprawnionych, a 53,1% biorących udział w wyborach do Sejmu („Wybory '91 a polska scena polityczna”, red. S. Gebethner i J. Raciborski, Warszawa 1992, s. 8-9).

5. Mowa o masakrze pokojowej manifestacji studentów na placu Thien Anmen, która miała miejsce w dniu polskich wyborów.

6. „os” — Okrągły Stół.

Tow. W. Jaruzelski — nie wiemy jak się zachowa baza „S”. Rozważyć wystąpienie równoczesne rzeczników PZPR, ZSL i SD.

Tow. K. Barcikowski — uważa, że ze strony „S” będą występować wyżsi rangą, dlatego proponuje z naszej strony *tow. Kwaśniewskiego* lub *Urban*.

Tow. J. Bisztyga — można zaproponować Onyszkiewiczowi, by wystąpił wraz ze mną, bądź przy udziale rzeczników ZSL i SD.

Tow. Cz. Kiszczak — przedstawić im trzy warianty: *tow. Kwaśniewski*, *tow. Urban*, bądź *tow. Bisztyga* z kolegami z koalicji.

Tow. A. Kwaśniewski — uznał, że jeśli ze strony „S” wystąpi Onyszkiewicz, to z naszej strony powinien wystąpić *T. Bisztyga*. Najważniejszą i bardzo pilną sprawą są rozmowy z „S” o wspólne wysiłki, by nie dopuścić do rozhuśtania nastrojów, których żadna ze stron nie opanuje. Nie lekceważyć nastrojów w małych ośrodkach, w bardzo nowoczesnych zakładach. Uznał, że należy pilnie odbyć spotkanie premiera z szefem „Solidarności”.

Tow. Z. Sobotka — za wystąpieniem w TV *tow. Kwaśniewskiego*.

Tow. J. Bisztyga — grupy młodzieży mogą się zachować jak po zwycięskim meczu. Euforii nie wyciszy żadne wystąpienie. Dobrze by było gdyby wystąpił *tow. Kwaśniewski*.

Tow. St. Ciosek — najlepsze byłoby jednoczesne wystąpienie *Bisztygi* i *Onyszkiewicza*. Poinformować o tym sojuszników i uzyskać ich upoważnienie.

Tow. F.M. Rakowski — uznał, że plenum należy zwołać pilnie, jeszcze w tym tygodniu. Wyniki wyborów, a zwłaszcza wyniki głosowania na listę krajową, bardzo silnie uderzają w partię. Zastanowić się jak zareagujemy na przegraną czołówki partii i państwa. Jakie mogą być konsekwencje tej porażki? Rozmowy z opozycją są konieczne. Do rozważenia moje spotkanie z *Wałęsą*. *Geremek* mówi o zmianie systemu sprawowania władzy.

Tow. J. Reykowski — koniecznie odbyć rozmowę kierownictwa partii z OPZZ. *Geremek* wspominał w rozmowie, że gotowi byłiby wejść do Rady Prezydenckiej z osobami z listy krajowej (tak mówił przed wyborami). Jeśli jest to możli-

we z prawnego punktu widzenia, wynegocjować z opozycją zwrócenie się do Sądu Najwyższego o wprowadzenie do ordynacji poprawki umożliwiającej udział w II turze wyborów kandydatom z listy krajowej.

Tow. J. Kubasiewicz — przeprowadzić rozmowy z opozycją w sprawie listy krajowej. Liczyć się z tym, że w drugiej turze wyborów opozycja może wesprzeć niektórych kandydatów z naszych mandatów.

Tow. J. Czyrek — rozważano z Kuroniem sposób wyjścia z sytuacji, jeśli kandydaci z listy krajowej nie zostaną wybrani. Wtedy na mocy aktu prawnego ponowne przystąpienie tych 35 w ramach 65% puli⁷ do wyborów.

Tow. K. Barcikowski — główny argument, to polityczna umowa o podziale mandatów. Nie ma możliwości powtórzenia w drugiej turze listy państwowej, bo jeśli znów nie przejdzie, to będzie to całkowity blamaż.

Tow. A. Kwaśniewski — powtórzenie listy krajowej w drugiej turze nie do przyjęcia. Była kreślona także przez naszych. Nie ma gwarancji, że przejdzie. Trzeba uzgodnić z opozycją, że w ramach puli 65% przeniesiemy po 1 mandacie do okręgów. To jedyna szansa. Lista krajowa była błędem i nie można go powtarzać. Sprawą ważną jest dokonanie analizy kim są i jakimi motywami kierowali się ci, którzy nie uczestniczyli w wyborach. Czy to bierny opór? Wiadomo, że także członkowie partii skreślali naszych kandydatów. Plenum zwołać szybko. Zastanowić się nad zjazdem partii.

Tow. Cz. Kiszczak — sprawą ważną i pilną jest zabezpieczenie frekwencji w drugiej turze wyborów. Plenum robić później.

Tow. J. Kubasiewicz — w pierwszej kolejności odbyć konsultacje z członkami KC, a następnie plenum.

Tow. A. Gdula — szybko odbyć konsultacje z członkami KC, plenum pod koniec miesiąca. Przedstawić na nim wnikliwą ocenę sytuacji politycznej i wnioski do pracy partii.

Z listą krajową niewiele możemy zrobić. Unieważnić wyborów nie można. Jest możliwe przyjęcie przez nowy Sejm poprawki do ordynacji i nowe wybory, bądź oświadczenie, że Sejm liczy 425 posłów. Z badać też, czy nie można

7. Była to ilość miejsc, na które wybierani byli kandydaci PZPR, ZSL, SD i prądowych grupowań katolickich.

dokonać nowego podziału mandatów na mocy porozumienia stron.

Tow. L. Miller — wyraził zaniepokojenie stanem partii. Jej część nie poparła własnych kandydatów. W drugiej turze może nie dopisać frekwencja. Nie poparły nas też nasze związki i organizacje społeczne. Liczyć się z tym, że w miarę jak będzie wzrastał triumfalizm opozycji wzrastać też będzie frustracja w partii. Wysilek, jaki włożyliśmy w kampanię jest nieproporcjonalny do wyników wyborów.

Tow. J. Urban — listy krajowej nie ponawiać, gdyż ośmieszymy się przed własną bazą. Wynegocjować z opozycją wybory uzupełniające i określony w Konstytucji skład Sejmu. Opozycja powinna tę propozycję przyjąć. Do rozmów w tej sprawie przystąpić natychmiast. Przykładem, że część aparatu (partyjnego, państwowego) głosowała na „S” są wyniki głosowania w Ulan-Bator, w Phenianie i w Tiranie. Uznał, że potrzebne są w szybkim czasie spotkania członków kierownictwa w środowiskach wojska, aparatu bezpieczeństwa i środków masowego przekazu dla uspokojenia nastrojów, przedstawienia dalszych perspektyw.

Plenum KC należy odbyć szybko, mimo ryzyka. Odkładanie go będzie świadczyło o paraliżu struktur partii, o kryzysie. Wyniki wyborów świadczą, że w obecnym kształcie partia się przeżyła. Potrzebna jej nowatorska koncepcja polityczna, ideologiczna, organizacyjna, bez tego nastąpi w partii rozpad.

Tow. Cz. Kiszczak — przed nami batalia o wybór prezydenta. Rozważyć, czy plenum KC może nam w tym pomóc, czy zaszkodzi. Warto się nad tym zastanowić, to bardzo ważne.

Tow. Z. Michalek — wynik wyborów, to wyraz kryzysu zaufania do nas. Podjąć rozmowy z opozycją o uratowanie nazwisk na liście krajowej. Konsultacje z członkami KC odbyć szybko. Plenum odłożyć. Określić zadania dla członków partii w drugiej turze wyborów. Dokonać oceny skuteczności pracy aparatu terenowego na podstawie kampanii wyborczej.

Tow. M. Stępień — dyskusję o przyczynach zaistniałej sytuacji odłożyć na inny czas. Dziś najważniejszą sprawą jest opanowanie nastrojów w partii przez bezpośrednie kontakty członków kierownictwa. Zapropował, by Biuro Polityczne zwró-

ciło się do wszystkich członków partii z listem zapowiadającym plenum i zjazd.

Tow. E. Szymański — wynegocjować z opozycją procedurę prawną umożliwiającą kandydatom z listy krajowej przystąpienie do II tury wyborów.

Tow. I. Sekuła — wyniki wyborów świadczą, że społeczeństwo chce zmian. Partia zaczęła proces zmian, ale przeprowadza je bardzo wolno, mało radykalnie. Nie spełniłszy oczekiwań, dlatego „S” zwyciężyła.

Tow. Z. Czarzasty — trzeba doprowadzić do ponownego głosowania na listę krajową, z innymi nazwiskami, przez dekret Rady Państwa. Na plenum powiedzieć o zjeździe (pod koniec roku lub marzec 1990 r.), rozpocząć dyskusję nad programem, statutem, nazwą partii, wizją zmian.

Tow. A. Kwaśniewski — plenum w szybkim czasie jest konieczne. Przegranie listy krajowej stawia w dramatycznej sytuacji kierownictwo partii. Pilnie podjąć z opozycją negocjacje w sprawie listy krajowej, prezydenta, rządu. W tych sprawach przeprowadzić rozmowy z Kościołem. Dopiero po wynegocjowaniu stanowiska o tych głównych sprawach ustalić termin plenum, mówić o zjeździe.

Tow. B. Kołodziejczak — nie można zwoływać plenum nie mając stanowiska w sprawie prezydenta, rządu, oceny sytuacji. Jeśli plenum będzie przygotowane tak jak kampania wyborcza, to jego wynik jest do przewidzenia. Musimy wyciągnąć wnioski z popełnionych przez nas błędów, przedstawić członkom KC głębszą analizę przyczyn zaistniałej sytuacji. Rozmowy z opozycją w sprawie prezydenta muszą być prowadzone solidnie.

Tow. F. Siwicki — plenum wtedy, gdy będzie głęboka analiza przyczyn i koncepcja funkcjonowania państwa w nowym układzie sił politycznych. Pilnie podjąć konsultacje z opozycją w sprawie wybrania listy krajowej zwykłą większością głosów. Przystąpić do oceny sytuacji w podstawowych ogniwach partii. Rozliczyć organizacje młodzieży z udziału w kampanii wyborczej, z wyciągnięciem wniosków. Sprawa najpilniejsza to konsultacje z opozycją w sprawie listy krajowej, rządu, prezydenta.

Tow. J. Reykowski — partia okazała się słaba. To co się stało, to rezultat wspólnego błędu w ocenie sytuacji. Teraz sprawą najważniejszą bezpieczeństwo państwa, prezydent.

Tow. Z. Sobotka — bardzo pilnie zwrócić się do członków partii. Triumfowanie „S” już się zaczęło. Wkrótce rozpocznie się nacisk na usuwanie partii z zakładów. Na porozumienie się z opozycją za bardzo nie liczyć. Oni już swoje zdobyli i drugą turą wyborów nie są zainteresowani. Plenum bez przygotowania nie robić, ostatnio nie odwoływaliśmy się do nich z ważnymi decyzjami. Pilnie odbyć konsultacje z członkami KC, plenum w terminie późniejszym.

Tow. St. Ciosek — nie rozumiem przyczyn porażki. Partia musi za nią zapłacić, nie poszła za nami. To gorzka lekcja. Odpowiedzialni będą musieli ponieść konsekwencje. Obecnie sprawą najważniejszą wybór prezydenta, do czego potrzeba 35 mandatów, które przepadły. O tym rozmawiać już z opozycją, bo prezydent, to zabezpieczenie całego systemu, to nie tylko nasza wewnętrzna sprawa, to sprawa całej socjalistycznej wspólnoty, nawet Europy. W tej sprawie pilnie odbyć rozmowy z opozycją (Komisja Porozumiewawcza) i z Kościołem. Wina jest po naszej stronie. My Kościołowi zaufaliśmy, a oni okazali się jezuitami. Przacenili nasze możliwości, a my okazaliśmy się pozbawieni bazy. Trzeba liczyć się z tym, że w szybkim czasie lawinowo będą narastały różne żądania i naciski — np. na środki masowego przekazu. W partii muszą nastąpić radykalne zmiany.

Tow. Z. Michalek — co to znaczy radykalne zmiany w partii?

Tow. F.M. Rakowski — mieliśmy fałszywą ocenę sytuacji. I sekretarze KW oceniali nasze szanse lepiej. Z tego wniosek, że rozeznanie nastrojów, tego co ludzie myślą jest słabe, że aktywnie partia nie są związane z masami. Nie można posługiwać się tezą, że partia nas nie poparła. To fałszywe. Faktem jest, że partia nie okazała się siłą mobilną. Brak było świadomości, że skreślanie swoich spowoduje samozniszczenie. Istnieje obawa, że mogą zacząć się strajki, naciski płacowe, demonstracje, które jeszcze bardziej skomplikują sytuację gospodarczą.

Można zgodzić się z poglądem, że plenum nie należy zwoływać już teraz. Trzeba jednak mieć świadomość, że partia w obecnych strukturach nie jest w stanie sprostać dzisiejszym wyzwaniom. Na X Plenum KC⁸ zaproponowaliśmy inny model partii, ale tego nie zauważono. A trzeba iść jeszcze dalej.

8. Odbyło się w dniach 20-21 XII 1988 i 16-18 I 1989.

Rozmowy z opozycją konieczne. Okazała się wiarołomna. Cały czas wzywała do kreślenia listy krajowej. To co się stało w Polsce będzie miało ogromny wpływ na zewnątrz (ZSSR, Węgry, inne kraje). Mogą nastąpić wstrząsy w całym obozie, to musi być doprowadzone do społecznej świadomości. Trzeba z zaistniałej sytuacji wyciągnąć wszystkie wnioski, z tego, że spora część społeczeństwa powiedziała „nie”.

Tow. K. Barcikowski — w analizach wskazać na przyczyny stosunkowo małej frekwencji wyborczej. Kim są ci, którzy nie głosowali, czym się kierowali. Po części byli to też członkowie partii. Jedną z przyczyn była personalna formuła wyborów.

Czy mamy dziś prawo obrażać się na partię? Od 10 lat nią kierujemy. Do kogo więc kierować pretensje? To samo dotyczy organizacji młodzieży i organizacji społecznych. Tę sprawę zbadać spokojnie, wyciągnąć wnioski, zastanowić się co i jak zrobić, by odzyskać zaufanie. Czego teraz oczekiwać od opozycji? Będzie przypuszczała szturm — na rady narodowe, na samorząd terytorialny. Pilnie podjąć rozmowy w sprawie 35 mandatów, prezydenta i rządu. Oni też się boją by władza nie padła.

Tow. W. Jaruzelski — wnioskował przyjąć następujące ustalenia:

— w dniu 6 bm. odbyć posiedzenie Biura Politycznego, a po południu naradę z I sekretarzami KW i kierownikami Wydziałów KC wspólnie z Biurem Politycznym,

— pilnie nawiązać rozmowy z kierownictwem opozycji, w tym odbyć spotkanie premiera z Wałęsą,

— pilnie doprowadzić do posiedzenia Komisji Porozumiewawczej „okrągłego stołu”,

— odbyć rozmowy z Kościołem (*modo privato*), ew. spotkanie z prymasem Glempem,

— w konsultacji z I sekretarzami KW ustalić termin XIII Plenum,

— przedstawić do decyzji Biura Politycznego i konsultacji z I sekretarzami KW odbycie wizyt w Belgii i w Anglii oraz prezydenta Mitterranda w Polsce,

— skierować do wszystkich członków partii list Biura Politycznego (przedstawić projekt I sekretarzom KW).

Nasza partia w 50% jest dziś partią różnego rodzaju kierowników i emerytów. Dlatego musi bardzo niepokoić, że właśnie taka partia (urzędnicza) nie wykazała instynktu samo-

zachowawczego w wyborach. Ten problem trzeba szczególnie rozpracować, wyciągnąć wnioski. Znaczna jest w partii administracja państwowa, pracownicy wymiaru sprawiedliwości — jak do nich dotrzeć (obsadzić szybko wakuujące miejsca w Sądzie Najwyższym — tow. Gdula). Zastanowić się co zrobić, by ludzi zaangażowanych po naszej stronie, pracujących w środkach masowego przekazu podnieść na duchu, przekonać, że nie są przegrani. Odbyć spotkania z tym środowiskiem na szczeblu centralnym (W. Jaruzelski, M. Rakowski) i w terenie.

Tow. Tow.: Reykowski, Stępień, Czarzasty, Tabkowski przygotowują na jutro projekt listu BP do członków partii.

Protokołowała: Bożena Łopatniuk.

Tajne

Pilne decyzje Sekretariatu KC PZPR z dnia 5 czerwca 1989 r.

— Opracować formułę wyprzedzającą ogłoszenie oficjalnych wyników wyborów do Sejmu i Senatu, np. poprzez zaprezentowanie w dzisiejszym dzienniku telewizyjnym sygnału — wstępnego komentarza politycznego nt. przewidywanych wyników pierwszej tury wyborów. Odpowiedzialni: J. Urban, J. Bisztyga.

— Kalendarz najbliższych przedsięwzięć i inicjatyw politycznych:

5.06 — posiedzenie roboczego Sekretariatu CKW;

6.06 — posiedzenie Biura Politycznego (godz. 10.00);

* opracować projekt listu do partii — odpowiedzialni: J. Reykowski, Z. Czarzasty, M. Stępień, S. Tabkowski, A. Barcikowski;

* narada z I Sekretarzami KW (godz. 15.00);

* spotkanie Premiera z L. Wałęsą;

* posiedzenie Centralnej Komisji Współdziałania PZPR, ZSL i SD (możliwie szybko);

* plenum KC PZPR (termin do decyzji po posiedzeniu BP i naradzie z I Sekretarzami KW), poprzedzone ewentualnym spotkaniem informacyjno-konsultacyjnym z członkami KC PZPR;

* robocze kontakty z przedstawicielami Kościoła (skorelowane ze spotkaniem tow. Generała z J. Glempem);

* stosowne „kontakty” poprzedzające ew. posiedzenie Ko-

misji Porozumiewawczej „okrągłego stołu” (między innymi dla wynegocjowania — określenia sposobu wyborów uzupełniających, w drugiej turze głosowania, 35 posłów koalicyjnych, jako odpowiednika „listy krajowej”);

* informacja/informacje dla ambasadorów państw — akredytowanych w Warszawie;

* przeanalizować wszystkie aspekty planowanych wizyt tow. Generała w Belgii i Wielkiej Brytanii oraz wizyty F. Mitterranda;

— pilnie zaproponować wybór sędziów Sądu Najwyższego (na wakujące stanowiska), odpowiedzialny: A. Gdula.

— *Do rozważenia:* jakie przedsięwzięcia podjąć dla dowartościowania i utrzymania kondycji pracowników frontu informacyjno-propagandowego (prasa, radio, tv) — odpowiedzialni: M.F. Rakowski, S. Ciosek, S. Tabkowski, J. Urban, I Sekretarze KW.

Andrzej PACZKOWSKI (opr.)

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Wiersze

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

KROPLA I KAMIENI

Kropla, gdy skałę przeniknie na wylot,
jest jeszcze kroplą? — I kroplą jedynie?
We wnętrzu skały kierunki się mylą,
niejedna kropla nigdy nie wypłynie.
(Stąd każdy kamień kryje w sobie topliel:
niemy, zastygły świat zbłąkanych kropel.)
Kiedy pokona kamienne opory,
zmęczona kropla wypływa z kamienia.
Posiadła mądrość. I posiadała gorycz.
Już nie ugasi twojego pragnienia.

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

Jerzy S. FELIKSIAK

PALENIE LISTÓW

Pałę stare papiery,
listy z prowincji i metropolii,
zwierzenia trochę intymne,
różne relacje i komentarze.
Ogień spopielił to wszystko,
co już nie cieszy, ani nie boli:

przepis na szybką karierę,
 ślad intryg i taśmy zdarzeń.
 Nie zmienia mi nurtu wspomnień
 kolorowe karty z Paryża,
 widokówki z polskich plenerów
 i cały balast drobiazgów.
 Po elektrycznych koszmarach,
 procesie, jak z powieści Kafki,
 wystarczy mi do rozmyślań
 ojcowski list z Buchenwaldu.

1987

Jerzy S. FELIKSIAK

Miroslawa KRUSZEWSKA

ROZMOWA Z PIOTREM

czy mnie miłujesz naprawdę —
 zapytał Jezus raz Piotra
 czy naprawdę miłujesz mnie Piotrze
 zapytał go jeszcze raz
 o tak, o tak Panie mój
 z radością zawołał Piotr
 więc paś moje owce Piotrze
 paś moje owce — rzekł Pan.

czy mnie miłujesz naprawdę —
 Jezus zapytał Piotra
 czy naprawdę miłujesz mnie Piotrze
 zapytał go drugi raz
 Panie, przecież wiesz, że Cię miłuję
 przecież wiesz
 więc paś baranki moje
 paś moje baranki — rzekł Pan.

Czy miłujesz mnie Piotrze naprawdę —
 zapytał go po raz trzeci
 czy naprawdę miłujesz mnie Piotrze

o tak, Panie, o tak, miłuję Cię naprawdę
 powiedział z mocą Piotr
 więc prowadź moją trzodę
 poprowadź lud mój Piotrze —
 ze smutkiem rzekł mu Pan.

(Houston, 1992)

Miroslawa KRUSZEWSKA

Artur SZLOSAREK

CHOMIK

zgodnij proszę, jaka też
 może być metafizyka
 twojego chomika?
 chomik w budce się chowa,
 gdzie pyszczkiem obmacuje
 żywności górę, jaką mu
 wrzuciłaś w postaci plastra
 ogórka zielonego — pewnie
 słodka wilgoć, jaką z niego
 metodycznie czerpie
 jest radością udręczonej
 na wiele sposobów
 istoty —

muszę ci powiedzieć,
 że nie rozmawiałem z nim
 nigdy: zawsze przede mną
 uciekał, a chciałem się
 zapytać o kolor jego nieba —
 ja, gdybym widział zza drutów
 klatki tak oślepiającą biel,
 jaką dla niego musi być
 plama sufitu, z pewnością
 umarłbym z przerażenia —

albo w nocy: neonowe
 iluminacje ulicy i szepty

kochających się w domu
potworów byłyby dla mnie
obłądu bezpośrednią przyczyną,
a on? obwąchuje powietrze
może wbrew woli, ale wierny
tej niezupelnej ciemności,
która dyktuje mu prawa

Listopad 1992

Artur SZLOSAREK

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Kraj

Przed sezonem myśliwskim

1. 27 kwietnia, a więc jeszcze przed majowymi strajkami, ukazał się w *Gazecie Wyborczej* artykuł, który pod frapującym tytułem „Społeczeństwo po szoku” dowodził, że „nasze społeczeństwo — rozumiane jako całość — nie ma żadnych wspólnych interesów, w imię których mogłoby wywołać bunt (...) Przyjęcie przez większą część grup społecznych reguł nowego porządku gospodarczego jest faktem. Jest to jeden z największych sukcesów rządów «solidarnościowych»».

„Czy społeczeństwo się zbuntuje?” — to pytanie, ważne w pierwszym okresie reform, traci swą aktualność. Społeczeństwo jako całość nie zbuntuje się przeciwko nowemu porządkowi, ponieważ różne grupy realizują w nim zbyt wiele odrębnych, ważnych interesów. Natomiast możliwe jest, że niektóre z tych grup będą próbowały walkę o swoje interesy ubierać w kostium masowego protestu „całego społeczeństwa”. Zabieg ten stosują obecnie ugrupowania radykalne lub rewindykacyjne — zapewne jego użyteczność będzie jednak spadać [...] strategię polityczną nastawioną na „całe społeczeństwo” muszą trafić w próżnię. Sukces natomiast odniosą ci, którzy będą skuteczni w reprezentowaniu poszczególnych grup. Wyborcy są zainteresowani załatwianiem konkretnych spraw, a nie rozgrywką za lub przeciw rządowi. Pryncypialna twardość przyniesie politykom mniej korzyści niż zdolność do prowadzenia nowoczesnej polityki doraźnych sojuszy dla osiągnięcia konkretnych celów [...]”.

Autorami tekstu są socjologowie Krzysztof Nowak, l. 37, doktor, i Paweł Ciacek, l. 24, bez tytułu, współpracownicy agencji badań rynku i opinii publicznej SMG/KRC Poland; pierwszy był doradcą Balcerowicza przez cały okres jego wicepremierowania. Swoje tezy wyprowadzają z porówna-

nia rezultatów dwóch badań („metodą dyskusji grupowych”): w lutym i marcu 1990 dla Balcerowicza w URM oraz w lutym br. dla Lewandowskiego w Ministerstwie Przekształceń Własnościowych.

Przywołany tekst wydał mi się z paru względów pouczający. Jego struktura intelektualna odzwierciedla wiernie zasadnicze pragnienia naszych reformatorów u władzy: reformy biegną śmiało, ale zarazem „nowy porządek” jest zaakceptowany, utrwalony, stabilny. Rząd nie ma się czego bać, społeczeństwo jest zmęczone, jak to po szoku, a właściwie społeczeństwa już w ogóle nie ma. Proszę zauważyć, jaka to w gruncie rzeczy śmiała konstrukcja: ktokolwiek mówi za całe społeczeństwo, ten kłamie, chyba że jest socjologiem z SMG/KRC Poland i jego zleceniodawcą z rządu. Wywód ilustrowany jest różnymi cytatami, zapewne z wypowiedzi badanych. Kogo? Ilu? W jakiej dyskusji? Nie wiadomo. Musimy wierzyć autorom, że są to wypowiedzi właściwie reprezentujące stan świadomości społecznej. Sprowadzają się one do dwóch konstatacji: że wypowiadający się przyjęli pewne elementy liberalnej wizji świata (antyegalitaryzm, pochwałę bezrobocia, priorytet zrównoważonego budżetu) oraz że *nolens volens* układają się jakoś w istniejącej rzeczywistości. „Stoimy na gruncie istniejącej rzeczywistości”, ta nieodmienna formułka z opinii kadrowych w PRL, oczywiście tych pozytywnych, przypomina się nieodparcie przy lekturze artykułu Nowaka i Ciacka. Ale biura kadr w PRL nie nadały jednak „rzeczywistości” rangi „porządku”, ten jak wiadomo, jako socjalizm, był dopiero i zawsze w budowie. Otóż Nowak i Ciacek rozmywiają, być może nieświadomie, różnicę znaczeniową pomiędzy porządkiem jako stabilnym stanem docelowym, ustrojem w rozumieniu starych dyskusji, a porządkiem jako zbiorem odczytywalnych z doświadczenia reguł gry, zachowań ekonomicznych, jako zatem pewną etologią. Takie rozmycie pozwala twierdzić, że ludzie akceptują wartości, podczas gdy oni zazwyczaj przyjmują tylko do wiadomości, jak wypada postępować, żeby przeżyć.

W kilka dni po zapoznaniu się z cytowanym tekstem, uczestniczyłem w sesji Polskiego Towarzystwa Socjologicznego na temat bezrobocia. Zapytałem kilku z obecnych specjalistów, co sądzą o artykule Nowaka i Ciacka. Wzruszenie ramion. Tylko jedna pani docent parsknęła: — A słyszał pan kiedyś, że byt określa świadomość? W socjologii o zarobki i pozycję u władzy należy pytać nie tylko respondentów, również badaczy...

Przypomniała mi się niedawna — która to już z rzędu? — jeremiada intelektualna o upadku etosu polskiego inteligenta i nawet zaniku samej kategorii inteligencji. Różne tam padały argumenty, ale o najbrutalniejszym wcale nie było słychać. Otóż nowa klasa polityczna zdążyła już obrosnąć w całe grona wyższych urzędników, doradców, ekspertów, dziennikarzy, którzy jako pierwsi w nowym stanie społecznym uświadomili sobie swój... interes grupowy (by użyć terminu z cytowanego artykułu). Stwierdzenie, iż gotowi są go bronić, nie jest, oczywiście, żadną dyskwalifikacją moralną. Ale warto pamiętać, że jeśli dziś społeczna rola inteligencji stoi pod znakiem zapytania, to podstawową tego przyczyną jest rozczłonkowanie tej warstwy zgodnie ze strukturami, które wyłania „nowy porządek”. A najważniejszą z nich — jak mówiono na wspomnianej sesji o bezrobociu — jest Hemingway’owska struktura „mieć i nie mieć”, *have and have not*, witajcie, brodacze...

Socjolog na katedrze zarabia dziś mniej więcej jedną piątą tego, co socjolog w agencji. Trzeba pewnego wysiłku intelektualnego i moralnego, by przezwyciężyć takie uwarunkowanie dla dobra, na przykład naukowej prawdy i ostrożności.

2. Z pozoru najbardziej oczywista w wywodach takich jak przytoczone wydaje się kategoria interesu grupowego. W istocie jest ona dosyć problematyczna.

Przede wszystkim, przynależności grupowe w aktywnej, zwłaszcza młodszej części społeczeństwa, zmieniają się teraz dość szybko, interesy się różnicują. Nie tylko inteligencja rozczłonkuje się, podobne procesy rozbijają spistość innych dużych grup społecznych. Trudno jest o postulaty, które by jednoczyły tak wielkie zbiorowości jak np. kiedyś na wsi żądanie zniesienia dostaw obowiązkowych czy, potem, parytetu dochodów miasta i wsi. Takie zróżnicowanie zdaje się istotnie sprzyjać władzy, gdyż nie grozi jej jednolicie skierowany bunt społeczny. Ale, wbrew socjologii radosnej, niewielka stąd pociecha, gdyż tym bardziej prawdopodobne staje się zanarchizowanie konfliktów społecznych, wysoka gorączka bez żadnego (przynajmniej na początku) ukierunkowania. Zręcznemu rządowi pozwoliłoby to wprowadzić lawirować, dla organizmu gospodarczego i państwowego byłoby nie mniej niszczycielskie niż atak frontalny.

Po drugie, problematyczność kategorii interesu grupowego nie sprowadza się tylko do zmienności, dekompozycji i

rekompozycji struktur społecznych. Bodajże ważniejszą i głębszą przyczyną jest fakt, że wbrew rzecznikom władzy kierunek rozwoju nie został przesądzony — pisałem o tym w poprzedniej *Kulturze* cytując opinie innego socjologa — ale oczywiście, jest to temat nader rozległy. Tak np. możliwe są bardzo różne strategie i scenariusze rekonstrukcji gospodarki, co dziś przyznają już na ogół nie tylko teoretycy, ale nawet praktycy*. Rezultatem wyboru będą bardzo różne kształty polskiej gospodarki rynkowej i bardzo różne układy wygrywających i przegrywających (w sensie klas, regionów, branż, zawodów). Innymi słowy, nie podobna na ogół przesądzić dzisiaj, jak będzie się przedstawiał za 5 czy 10 lat „interes grupowy”, do którego jednostka skłonna jest się przyznawać.

Wizja polityki jako reguł arbitrażu najrozmaitszych interesów grupowych — *à la limite*, jako jakiejś odmiany państwa korporatywnego — wcale nie zdaje sprawy z tej sytuacji. Ale nie ulega kwestii, że wizja ta jest dość wiarygodna, gdy idzie o przesłonięcie potrzeby wyraźnych programów politycznych: w ten sposób w każdym konflikcie społecznym chodzi tylko o pieniądze, kto ile wyszarpie, i jedynie rząd na swym Olimpie powściąga nadmierne apetyty, reprezentuje interes ogółu i racje stanu. Ma z założenia szlachetną rolę i moralną rację, niezależnie poniekąd od tego, jaką prowadzi politykę i jak udolnie, byle by umiał „doprowadzić do kompromisu”. Polemizuję tu, w istocie rzeczy, nie z poglądem, iż interesy grupowe odgrywają dziś istotną i nieraz dominującą rolę w określaniu zachowań obywatelskich Polaków, ale z poglądem, iż gra tych interesów jest rodzajem partii toczącej się na dobrze wytyczonym polu i wedle dobrze ustalonych reguł. Innymi słowy, z poglądem, że polityka i takie jej instytucje jak rząd czy parlament są niejako poza i ponad grą społeczną.

Od klarowności programów politycznych, od rezultatów ich rywalizacji zależy w dużej mierze, jakie będą owe „interesy grupowe”, które ponoć determinują teraz zachowania obywateli. Wszystko jest jeszcze w Polsce w politycznym tygłu. I politycy nie mogą po prostu zarządzać. Powinni mieć program: wizję jak kraj zagospodarować, jaka to ma

* Interesujący dwugłos na ten temat zamieściło *Życie Gospodarcze* w nr 19: Amit Bhaduri i Kazimierz Łaski z Wiedeńskiego Instytutu Studiów Ekonomicznych przedstawili „Aktualność myśli Michała Kaleckiego” (i Johna H. Keynesa), natomiast Stefan Małecki-Tepicht bronił strategii „recesji oczyszczającej” w art. „Transformacja i recesja”.

być Polska, wyobraźnię i odwagę, by własnemu programowi sprostać.

W połowie maja, kiedy już rząd Hanny Suchockiej przypominał krzywą wieżę w Pizie, a rozmaici politycy, od Wałęsy poczynając, obliczali szanse zamiennej kombinacji gabinetowej, trudno byłoby twierdzić, że polityka polska zbliżyła się wyraźnie do takiej klaryfikacji programowej. Przeciwnie, zdawało się raczej, że polityczny świątek znów coś tam mota i kombinuje, co obywateli niewiele obchodzi. Byłby to jednak osąd zbyt pochlebny. Sądzę raczej, że nawet wbrew woli polityków walka polityczna w Polsce przybierała jednak bardziej programowy charakter i że w związku z tym przyszele starania wyborcze mają szanse zmobilizować więcej obywatelskiego zaangażowania.

Przede wszystkim stawało się coraz bardziej oczywiste, że potencjał reformatorski polityki nastawionej na zapobieganie inflacji wedle dotychczasowych receptur został wyczerpany. Niemożliwe stało się projektowanie i realizowanie jakichkolwiek restrukturalizacji, branżowych czy regionalnych, jakichkolwiek reform systemowych, oświaty, opieki zdrowotnej czy ubezpieczeń społecznych. Rząd, jak się okazało, wybrażał sobie, że sfinansuje przynajmniej początek takich reform z dalszej redukcji realnego funduszu płac (tzn. płacy realnej i zatrudnienia) jak w oświacie, z dodatkowego obciążenia budżetów rodzinnych jak w opiece zdrowotnej i mieszkalnictwie, czy też dzięki napływowi kapitałów inwestycyjnych zza granicy do restrukturalizowanych dziedzin. Tymczasem już w kwietniu-maju stało się oczywiste, że wytrzymałość pracowników i budżetów rodzinnych jest u kresu; inwestorzy zaś zagraniczni na pewno nie będą restrukturalizować ani branż najbardziej zagrożonych ani regionów o szczególnej koncentracji takich gałęzi. Inwestycje zagraniczne mogą tu czy ówdzie stworzyć dodatkowe miejsca pracy, ale generalnie są one nakierowane raczej na wykup istniejącego potencjału i racjonalizację zatrudnienia, nie zaś na otwieranie nowych miejsc pracy (w 1990-1992 ubytek netto miejsc pracy wyniósł w Polsce 1,6 miliona). Innymi słowy, właśnie postulat kontynuowania reform, na który koalicja u władzy się zaklina, stawia pod znakiem zapytania całą politykę koniunkturalną rządu, tym bardziej że zapowiadane ożywienie wydaje się statystykom coraz wątpliwsze**. Trzeba zatem przemyśleć całą poli-

** Wskaźniki produkcji sprzedanej, niegdyś chwalone, ponieważ eliminowały z rachunku produkcję nietrafioną, teraz służą źle, ponieważ w

tykę interwencyjną, podatki i ulgi podatkowe proinwestycyjne, ochronę rynku krajowego i bardziej zdecydowane promowanie eksportu, którego nadwyżka szybko maleje. To z kolei sprawia, że bezwarunkowy priorytet EWG w naszej polityce handlowej nie da się utrzymać, nawet jeśli Wspólnota trochę obniży protekcjonistyczną gardę. Rzecznicy koalicji potwierdzają różnymi gestami, że ich dotychczasowe dogmaty wymagają rewizji. Tak np. zarzekają się, że tegorocznego budżetu już naruszyć nie mogą (choć wszystko wskazuje, że śladem 1992 będą musieli), deklarują gotowość całym innej konstrukcji budżetu na 1994. Podobnie koalicja gotowa była zapłacić wyższymi cenami minimalnymi zbóż za pozostanie Porozumienia Ludowego w rządzie, co oznacza, że niepodobna już odtąd pozorować wielkiej pryncypialności ekonomicznej w tej dziedzinie. Coraz też częściej mowa w kołach rządowych o dewaluacji złotego. To nowe poniekąd uwrażliwienie na tezy traktowane dotychczas jako przynależne opozycji i demagogiczne znalazło m.in. wyraz w programie Unii Demokratycznej zredagowanym ostatecznie w maju przez nową Radę Naczelną, na podstawie uchwał II zjazdu (24-25 kwietnia), choć w formie dość zawołowanej.

Innymi słowy, u progu lata wydaje się, że wiele dogmatów, które nadawały kształt naszej scenie politycznej (i to nie tylko w sensie polityki ekonomicznej), dogmatów, nazwijmy to tak, balcerowizmu, zostało osłabionych. Stąd do nowych ujęć programowych i ewentualnych nowych sojuszy jest jeszcze daleko. Ale czas programowego zastoju dobiega kresu. Kończy się okres ochronny dla bezmyślności. Być może więc zbliżający się sezon myśliwski w naszej polityce nie będzie całkiem jałowy.

Warszawa, 12 maja 1993

Krzysztof WOLICKI

toka racjonalizacji przedsiębiorstwa zwiększają kooperację rezygnując z zaopatrzenia własnego, co automatycznie zwiększa wskaźnik, mimo że produkcja finalna wcale nie rośnie.

Od komunizmu do coca-colizmu

Skrzyżowanie Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej mogłoby być scenerią do widowiska *Sound and Light*. Pałac Kultury — symbol przyjaźni polsko-sowieckiej — od pewnego czasu był już tylko kłopotliwym podarunkiem Stalina. Imię fundatora przykryto neonem już dawno. Ale dopiero ostatnio u zwieńczenia iglicy powieszono reklamę komputerów Digital. A przecież jeszcze niedawno stała tu trybuna honorowa przyjmująca 1-szomajowe pochody. Z barokowym socrealizmem sąsiaduje gierkowska ściana wschodnia, niegdyś sprawiająca wrażenie rozmachu, teraz posuniętej w latach staruszki bez przekonania kokietującej niegdysiejszymi wdziękami. Jest tu też labirynt dworca centralnego, w którym jest coś lepszego i śliskiego, gdzie handel żyje w symbiozie z pokątnym biznesem, a tłok prawdziwy łatwo pomieszać ze sztucznym, zrobionym przez kieszonkowców. Nad tą galerią stylów budownictwa, stylów życia i zachowania unosi się nowoczesny punktowiec Marriotta — gdzie w marmurowych posadzkach i licznych lustrach oglądają swoje wizerunki panie i panowie ubrani w modne kreacje Hugo Bossa, Cartiera. Marriott zapewnia obsługę zagranicznych i krajowych businessmenów, dyskrecję i anonimowość, ale może również stworzyć błędne wyobrażenie, że Polska nie różni się aż tak bardzo od Manhattanu. Takiemu wrażeniu uległo wielu przedstawicieli „brygady Marriotta”, zachodnich konsultantów i doradców finansowanych przez rządy zachodnie z funduszy na pomoc dla krajów Europy wschodniej. To o nich powiedział z przekąsem premier Czech Vaclav Klaus, że dostarczyli stertę papierów w zamian za wypłaconą im stertę pieniędzy. Dziś ambitniejszym terenem dla ich doradztwa jest Rosja.

Skrzyżowanie Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej to miejsce kontrastów architektury i ludzi. Monumentalizm socrealizmu sąsiaduje z sierniężnym komunizmem Gomułki, na Chmielnej i Brackiej kołaczę się jeszcze duch przedwojnia, modernizm Gierka ociera się o kolorowy świat reklam i pokusy hedonistycznego kapitalizmu, nuworyszostwo miesza się z nędzą, a Polska aspirująca do Europy robi interesy z zachodnimi republikami dawnego ZSSR, wybijającymi się na ba-

zarowy kapitalizm. W przejściu łączącym Dworzec Centralny z Marriottem, gdy nieopatrznie skręci się w niewłaściwy tunel można jednak znaleźć się w innym świecie — ludzi pozostawionych samym sobie, biednych, którzy nie wsiedli na grzbiet majakovskiej „kobyły historii” — dziś nazywanej „systemową transformacją”. Tu jak feniks z popiołów odradza się usuwany z ulic handel walizkowy. Tu któregoś wieczoru spotkałem staruszkę daremnie namawiającą jakąś zabłąkaną parę do kupna konwalii. Innym razem widziałem tu żebraka przy wtórze akordeonu wykrzykującego Marsz Polonii przypadkowym przechodniom.

Gdyby dowódcy powstania warszawskiego wiedzieli, jaki będzie jego skutek dla architektury Warszawy, jej substancji mieszkaniowej i urbanizacji, czy zdecydowałiby się mimo wszystko na jego wywołanie? Zburzonych dzielnic nie odbudowano, ślady po kulach wystrzelonych pięćdziesiąt lat temu widać wciąż na pamiętliwych murach Warszawy, a reszty dopełniły socjalistyczne blokowiska — miejskie kołchozy, przepisy dotyczące norm zasiedlenia, brak systematycznej konserwacji. Komunizm pozostawił po sobie trwałą hipotekę w postaci odczłowieczonej architektury, która wraz z oplakany stanem miejskiej infrastruktury jest trwałym elementem miejskiego pejzażu. Wszak dzięki mieszkaniu w bloku, wódce i telewizji, realsocjalizm ucieleśnił ideał parobka.

Jestem na osiedlu wybudowanym przez spółdzielnię mieszkaniową przy ulicy Sobieskiego. Na drzwiach oświadczenia zarządu, odcinające się od grupy malkontentów, którzy wysuwają oskarżenia o to, że jakiś budynek został sprzedany poniżej ceny ambasady RFN z przeznaczeniem na szkołę. Jest tam też wiadomość o podaniu się do dymisji prezesa. Obok ulotka, że na terenie osiedla wolno wieszać tylko ulotki zaaprobowane przez zarząd. Wojna na dole wrze w najlepsze. Co jednak, jeśli amunicją w niej stanie się dekomunizacja? Dziś zapewne łatwiej zmienić rząd niż wyposażać Warszawę w nowoczesną oczyszczalnię ścieków. Miasto Warszawa straszy kikutami drzew, które „umarły stojąc”, pustymi placami, które równie dobrze uchodzą mogą za plac budowy, wysypisko śmieci albo park, niską kulturą ruchu kołowego, dziurami w jezdni, krzywo ułożonymi chodnikami, stanem miejskich urządzeń sanitarnych. W okresie schyłkowego Gomułki — czasie mojego dzieciństwa — powietrze było zdrowsze, woda czystsza, drzew więcej, a wielkiej płyty

nie uważano za panaceum na rozwiązanie kryzysu mieszkaniowego. Upadły system sztucznie przedłużał swój żywot kosztem przyszłych pokoleń.

Gdzie szukać duszy Warszawy, jakie w niej grają tony? Businessmeni, którzy stali się solą społecznej gleby, tworzą między sobą krąg wtajemniczenia, porozumiewają się ze sobą nowomową, a gdy świadkiem rozmowy jest jakiś *outsider* mrugają do siebie ukradkiem. Choć w ich języku słowo „firma” odmienia się na wiele sposobów, język ten jest lepki. Jakby mieli coś do ukrycia — cinkciarskie początki, kogoś w rodzinie z nomenklatury, albo swoje faktyczne obroty. Dawniej Polską rządziły wódczono-mączasto-kartoflane twarze aparatczyków ubranych w garnitury, z których wylewała się tusza. Teraz oznak elegancji jest coraz więcej, czasem aż do przesady. Jeden z businessmenów, z którym rozmawiałem, na rękawie garnituru dumnie nosił metkę Hugo Bossa, nie widząc potrzeby jej odprucia i uważając ją najwyraźniej za umundurowanie człowieka interesu.

Sytuacja ekonomiczna wygląda lepiej niż można by wnioskować z analizy sytuacji politycznej. Wciąż jednak handel oplaca się bardziej niż produkcja, a import niż eksport. Nie wiadomo, jak oceniać niektóre wskaźniki, skoro oparte są one na sprzecznych ze sobą danych. Główny Urząd Statystyczny ogłosił np., że w ubiegłym roku Polska miała dodatnie saldo w handlu zagranicznym, zaś Główny Urząd Celnym, że ujemne. Wciąż pokaźna szara strefa gospodarki wymyka się kontroli urzędów podatkowych, banków. Według inspektora Marka Ochockiego — szefa wydziału ścigania przestępstw gospodarczych policji — do 30% ogółu transakcji handlowych zawieranych w Polsce to transakcje szarej strefy. „Gdybym miał dużo pieniędzy zarobionych na narkotykach — powiedział Günter Arzt, kryminolog ze Szwajcarii — to Polska byłaby dla mnie bardzo atrakcyjnym miejscem do ich wyprania”. Według niego do Polski trafiają pieniądze uzyskane na zachodzie ze sprzedaży narkotyków pochodzenia tureckiego, a także zapewne pieniądze podejranych pieniędzy są w Polsce kradzione samochody i produkcja amfetaminy. Uprane pieniądze polskim bankom nie śmierdzą, bo mają mały kapitał własny i dużo nieściągalnych pożyczek.

W restauracji sejmowej dowiaduję się na przykładzie od-

działu Polmosu w Białymstoku, jak handluje się ze Wscho-dem. Wódka sprzedana tam hurtem wróciła na miejscowy targ rozmnożona w setkach butelek, przemycana w plecakach i sprzedana z powrotem Polakom, tyle tylko, że za wyższą cenę. Trudno ustalić, które towary i usługi są z lady, a które spod lady.

Pamiętam Warszawę, w której opary absurdu były gęstsze niż opary masowej motoryzacji. Występował w niej podział na „stołecznych warszawiaków” i ludzi z prowincji. Ci ostatni dzielili się na ludzi z awansu społecznego i na krótkoterminowych przybyszów odwiedzających krewnych albo dokonujących zakupów w lepiej zaopatrzonych stołecznych sklepach, a następnie chyłkiem spieszących do podmiejskich PKSów. Dusza ówczesnej Warszawy była ludowa — ton nadawały jej podwórka, kościoły, dworce PKS, saturatory z wodą sodową, ogródki działkowe. W atmosferze gomułkowskiej Warszawy, twórczość intelektualna i prywatna działalność gospodarcza, zduszone u fasady, rozkwitały na tyłach. Książka lub nawet artykuł w „tołstych żurnalach”, w których autor przemycił między wierszami jakieś aluzje, czytało się z wypiekami. Wznowione ostatnio, niedostępne wówczas tytuły zalegają księgarnie, a popyt na nie spada. Dawną kawiarnianą elegancję zastąpiły piwiarnie, puby i restauracje. Miejsce drobnomieszczańskiej dumy z futer i srebrnych zastaw stołowych zajęło ostentacyjne okazywanie drogich zachodnich samochodów. Mój sąsiad myjąc co rano swego mercedesa pieścił go z namiętnością kochanka. Podział na warszawską inteligencję i przybyszów z awansu ustąpił pola podziałowi na biednych i bogatych, zaś treścią życia jednych i drugich stało się dorabianie na boku. Poczuciu bezpieczeństwa zagrażały dawniej policje „tajne, widne i dwupłciowe”, teraz bardziej zagraża mu pospolity rzezimieszek. Widziałem panie, które z zaparkowanego samochodu wyjmowały radio i niosły je ze sobą w drodze na zakupy. Specjalnością warszawskich złodziei stały się kradzieże miedzianych kabli telefonicznych sprzedawanych następnie na złom.

Zacieraniu dawnych podziałów społecznych i powstawaniu nowych sprzyja redystrybucja majątku, która odbywa się w powstających jak grzyby po deszczu lombardach. W jednym z nich byłem świadkiem rozmowy pomiędzy klientką, która o dzień za późno zgłosiła się po odbiór oddanej pod zastaw złotej obrączki. Tłumaczyła, że była w szpitalu w Prusz-

kowie skąd do Warszawy nie sposób się dodzwonić i że to pamiątka po rodzicach. Lombardzista zdążył jednak obrączkę upłynnić, wskutek czego klientka kupiła inną, podobną, ale za wyższą cenę. Lombardy znajdują swoje odgałęzienia w sklepach z antykami, których spora liczba wywołuje zdziwienie i świadczy o wyprzedawaniu się z pamiątek rodzinnych, starych mebli, kolekcjonowanych latami zbiorów. Sklepom z antykami wtórują też liczne skupy złota i srebra. Sądząc po asortymencie towarów w sklepach z antykami, na budowie nowego systemu traci głównie inteligencja, o której nadprodukcji mówiło się już w czasach Gomułki. Być może na bazie lombardów powstanie silny kapitał, który z czasem przeniesie się do produkcji. Na razie jednak bardziej od produkcji opłaca się handel, a od eksportu import.

Najwyraźniej opłaca się handel nostalgią. Tak jakby marsz ku przyszłości polegał na odkrywaniu przeszłości. „Jeśli dziadka nie sprzedam to znaczy, że powstania w getcie nie było” — powiedział handlarz starzyzną na bazarze na Kole w Warszawie. „Dziadkiem” była oprawiona za szkłem litografia przedstawiająca żydowskiego kupca siedzącego w swoim kantorku. W przededniu obchodów 50-tej rocznicy powstania na pytanie „co się teraz nosi w Warszawie” padała odpowiedź „Żydów na rękach”.

Roman Polański pierwszy film nakręcił o dwóch ludziach z szafą. W warszawskim klubie Pegaz przy ulicy Elektoralnej, gdzie odbywają się rozmaite giełdy kolekcjonerskie, spotkałem starszego pana z obrazem. Skromnie, ale schludnie ubrany, mógł być nauczycielem na emeryturze. „Panie, to namalował żydowski malarz, jego nazwisko jest w encyklopedii” — zachęcał mnie do swego towaru. „Jaka cena?” — zagadnął jakiś przechodzień. Oddam za półtora miliona — odpowiedział z nadzieją w głosie sprzedawca. „To podejrzanie tanio jak na dobry obraz” — wtrącił się ktoś inny. „Za te pieniądze to można kupić najwyżej dobrą kolację dla dwu osób. To pewnie jakiś kicz”. Ciekawe jaka byłaby reakcja niedoszłych nabywców, gdyby staruszek zażądał kilkakrotnie wyższej ceny. Czy spojrzeliby na obraz innymi oczyma? Jednak nie zażądał, przyznał, że choć istotnie w encyklopedii figuruje nazwisko żydowskiego malarza podpisanego pod obrazem, jego imię jest inne.

W jednym ze sklepów Desy widziałem obraz dziewczki z podwiniętą kiecką, która na chwilę oderwała się od prania bielizny w strumieniu, by wyzywająco spojrzeć na przejeżdżają-

cych konno ułanów. Kossaki mają wzięcie. Handlarzom nie idzie tylko o to, by sprzedać towar, ale także o to, by go docenić. „Właśnie kupił pan ostatnią monetę ze zbiorów Zakrzewskiego” — powiedział mojemu znajomemu handlarzomizmatami. „Czy aby rzeczywiście?” odparł znajomy udając, że wie o którego z Zakrzewskich chodzi.

Muskuły handlu coraz mocniej napinają hurtownie. Zalegają z płatnościami, nie rozliczają się z otrzymanego towaru, powszechnie narzekają na nie wydawnictwa, ale nie tylko. Mimo popularności z jaką spotkał się film „Psy”, jego aktorzy nic nie zarobili. Dystrybutor nie może bowiem sprawdzić ile seansów odbyło się na prowincji, ile sprzedano biletów i czy na seansach nie pokazywano przypadkiem pirackich kopii filmu. Pośrednicy wkraczają też w handel ze wschodem, a na stadionie X-ciolecia towarami wwiezionymi ze Wschodu handlują Polacy. W dziwnym handlu pośredniczą byli funkcjonariusze SB. W mieszkaniu jednego z nich w trójmieście funkcjonariusze UOP w poszukiwaniu uranu wykryli teczkę na dawną przedsolidarnościową opozycję demokratyczną.

Dzisiejszej Warszawy nie można opisać nie posługując się dwoma słowami — kantor i video. Kantor to wewnętrzna wymienialność złotego, a więc obok paszportu w szufladzie gwarancja swobody podróżowania, a więc wolności. Jest to jednak także pokraczna forma operacji bankowych świadczących o słabości tego sektora. Businessmen udający się w podróz zagraniczną na zakupy wychodzi z kantoru z walizką pełną grubej gotówki. Czeka jeszcze się nie upowszechniły, używa się ich na ogół do podejmowania gotówki w banku, rzadziej do innych transakcji. Video to nowy narkotyk. W jednej z podhalańskich wsi naliczyłem tuzin wypożyczalni. W samej Warszawie wysokośćowce upstrzone są satelitarnymi talerzami. Ich właścicielom nierzadko brak porządnej łazienki, innych rozsądnych rzeczy do gospodarstwa, ale za to na dachu lub balkonie mają talerz. Dziwiłem się temu videopędowi — jego podłożem jest zapewne rozczarowanie rodzimą telewizją. W starciu z video i telewizją Hamlet jest bez szans. Poszedłem na film pod tym tytułem do kina Iluzjon, ale seans został odwołany z braku widzów. Tak oto pogłębia się podział na kulturę masową i elitarną, przy czym ta pierwsza schodzi coraz głębiej w dół, a ta druga usuwa się coraz bardziej na bok. Videoprodukcja jest drapieżna i piracka. Najwięcej na niej tracą Amerykanie grożąc nawet Polsce sankcjami.

Skończył się okres, gdy najbardziej dynamicznie rosła liczba partii politycznych, prześcignęła je liczba prywatnych stacji radiowych i telewizyjnych. Wszystkie niemal powstały metodą faktów dokonanych, bez oglądania się na brak podstawy prawnej. Przyświeca im nadzieja zarobienia na reklamach, ale w warunkach zaostrej się konkurencji, nowego podatku VATu i wzrastających kosztów, wielu z nich nie uda się utrzymać na rynku. Póki co jednak próbują, tak jak na przykład próbuje były rzecznik MSW pułkownik Garstka, obecnie businessmen z prywatnej stacji telewizyjnej Top Canal, który prowadził program z chłopięcym chórem kościelnym śpiewającym piosenki przeciw aborcji.

Stare twarze w nowych maskach spotyka się często. Czerwone krawaty — niegdyś składnik umundurowania komunistycznych karierowiczów — zastąpiły sportowe garnitury, czasem z fajką w kieszeni wystająca niby od niechcenia, ale jednak podkreślającą status. Byli komunistyczni ideolodzy, np. profesor Adam Łopatka, wyrażają zaniepokojenie losem praw człowieka. Myśli „marcowego docenta” Wiesława Myśłka na temat groźby wprowadzenia w Polsce państwa wyznaniowego można przeczytać na łamach marksistowskich piśemek kolportowanych na bazarach i do złudzenia przypominających solidarnościową bibułę. Dobrze samopoczucie lewicy wydaje się nie znać granic. W rękach byłych komunistów są banki. Postowie SLD po zawarciu „mądrego sojuszu” z mniejszościowym rządem, który przepchnął przez Sejm ustawę o narodowych funduszach inwestycyjnych, znają swą wartość. Jeden z nich zwierzył mi się, że w konkursie na najpopularniejszą postać regionu, zorganizowanym przez miejscową gazetę, idzie łeb w łeb z biskupem. „Nie wiem — powiedział — czy dla mojej kariery lepiej byłoby gdybym wygrał, czy gdybym przegrał”. Aleksandra Kwaśniewskiego bardziej od perspektywy przedterminowych wyborów przeraża perspektywa zwycięstwa w nich. Kto wówczas zająłby się pilnowaniem sklepiku? Póki trwa „mądry sojusz” siódemki z SLD, o losach majątku PZPR zapewne się nie dowiemy. Prawica, która wciąż liże rany po „lewym czerwonym” wietrzy w tym podstęp, jeśli nie zdradę. Niektórzy czekają na drugą, „prawdziwą” rewolucję.

W polityce dużo gazu, udającego, że ma jakiś smak. Trudno tym ugasić pragnienie. W wywalczaniu wolności Polacy raz jeszcze okazują się lepsi niż w jej zagospodarowy-

waniu. Większe sukcesy odnosimy w nazywaniu różnic, które ich dzielą, aniżeli w wypracowywaniu consensusu. Politycy i ośrodki władzy głęboko się na siebie poobrażały. Na inauguracyjne posiedzenie Rady d/s Radiofonii i Telewizji nie przyszedł nikt z rządu, bo rząd uważa, że powinien kontrasygnować nominacje prezydenta. Na specjalną sesję Sejmu z okazji 500-lecia parlamentaryzmu nie przyszedli ani przedstawiciele Belwederu, ani rządu. Na szefa URM-u Jana Marię Rokitę obraziła się jego własna partia UD, nie wybierając go do prezydium. Powodem jego przegranej miała być konsekwentna obrona idei ponadpartyjnej administracji, która pokrzyżowała plany niektórym jego partyjnym kolegom — aspirantom do stanowisk. Do prezydium wszedł natomiast Andrzej Celiński, który ostatnio trzymał się na uboczu działalności partyjnej, a na zjeździe UD wygłosił cukierkowane przemówienie o tym, jaka Unia jest pyszna.

Lech Wałęsa umacnia swoją pozycję, ale nie stabilizuje demokracji. Politykę życzliwej neutralności w stosunku do rządu Hanny Suchockiej miał porzucić po tym, jak Zbigniew Brzeziński powiedział w telewizji, że w przyszłych wyborach prezydenckich widziałby kandydatury Wałęsy i Suchockiej. Wpatrzony w Jelcyna, Wałęsa chciałby mieć rząd sobie podległy i parlament zneutralizowany. Próba podporządkowania Belwederowi ministerstwa obrony poprzez obsadzenie tego resortu Jerzym Milewskim i przesunięcie obecnego ministra Onyszkiewicza do MSZ nie udało się i została zapewne odłożona na później. Rozwiązywanie krzyżówek i wymiana zde rzaków to nadal zajęcie absorbujące Belweder. To, o co Wałęsa przed rokiem grał Pawlakiem, teraz zdaje się grać Łopuszańskim, który wystąpił ostatnio z nowym pomysłem na rządową układankę.

Prezydenta otacza atmosfera dworu, którą sam umacnia swoimi posunięciami, jak na przykład wyjazdem na piknik do Watykanu 18 kwietnia na uroczystości beatyfikacyjne nowych polskich świętych. Analiza składu osobowego 86-osobowej delegacji daje wgląd na to, kto m.in. należy do dworu. Z ciekawszych nazwisk warto odnotować prezesa NBP Hannę Gronkiewicz-Waltz, która do Stolicy Apostolskiej udała się z mężem i córką, prezesa TVP Janusza Zaorskiego również z żoną i córką, szefa MSW Andrzeja Milczanowskiego z żoną, szefa Sztabu Generalnego WP gen. Tadeusza Wileckiego z żoną i swoim zastępcą, szefa UOP Jerzego Koniecznego, szefa Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych admirała Marka Toczka, Komendanta Głównego Policji Zenona Smolarka. Listę

zamyka 15 osób „obsługi medycznej”. Samolot wystartował z Warszawy do Watykanu *via* Gdańsk, gdzie wsiadł prezydent, zaś po wiecznym mieście delegacja poruszała się 13-toma samochodami i dwoma autokarami. Do wytworzenia atmosfery dworu wokół Wałęsy przyczynia się też telewizja, pokazując na przykład migawkę z mszy w belwederskiej kaplicy z udziałem szefa NBP Hanny Gronkiewicz-Waltz. O Wałęsie jako prezydencie lepsze na ogół zdanie mają intelektualiści niż robotnicy.

Spotkanie w warszawskim klubie PPP: dla znacznej części centro-prawicy czas zatrzymał się 4 czerwca z chwilą upadku rządu Jana Olszewskiego. Prawica liże stare rany, które odniosła w wyniku eksplozji granatu lustracji, który trzymała w ręku, i obiecuje sobie powtórkę z rewolucji. Jej przedstawiciele z pieczołowitością heraldyków grzebią się w cudzych życiorysach. Pamiętają kto dla kogo nie powinien był pracować trzydzieści kilka lat temu. Zmiany poglądów ani intelektualnego flirtu z rewizjonizmem nie wybaczą nawet Kołakowskiemu, o Geremku już nie wspominając. Od dziennikarzy żądają wyraźnego opowiedzenia się, po której są stronie. Biorą na wiarę, że Lech Wałęsa i Bolek to jedna i ta sama postać. Ostatnio dystansuje się od nich nawet Jan Olszewski, który po ogłoszeniu orzeczenia komisji sejmowej w sprawie rzekomych przygotowań do zamachu stanu 4 czerwca 1992 pojednawczo powiedział pod adresem Wałęsy, że był on źle poinformowany.

W debacie publicznej brak wątków zasadniczych dla przyszłości kraju. Nie znalazłem dyskusji na temat roli przemysłu państwowego, miejsca rolnictwa, jego modelu po zamierzonej integracji z EWG, zakresu interwencjonizmu państwowego w gospodarkę, losów majątku PZPR, modelu administracji itd. *Media*, które w końcu w sprawie tematów debaty publicznej mają najwięcej do powiedzenia, nie mogą wyzbyć się demaskatorskiego stylu działania, ulegają modzie, albo nie chcą się narazić. Wytrawni publicyści zasilili szeregi dyplomatów, senatorów, a ich miejsce zajęli nieupierzeni nowicjusze, którzy produkują informacyjną siećkę.

W Warszawie przejścia od komunizmu do coca-colizmu nic chyba lepiej nie obrazuje jak karuzele „Cricoland” ustawione u stóp Pałacu Kultury i Nauki. Jeszcze niedawno był to gigantyczny bazar, który usiłowano stłamsić stemplując na

murach napisy „Niet stojanki i torgowli”, teraz miejsca straganów do handlowania, wdzięcznie zwanych „szczekami”, zajęły karuzele. Cololand ogłasza się jako przegląd karuzel Europy. W której z nich znajdzie się Polska i czy pasażerowie tej karuzeli nie doznają zawrotu głowy? Socjalizm patrząc wstecz na ten okres raz jeszcze okazuje się najdłuższą drogą od kapitalizmu do kapitalizmu. Nie byłoby to jeszcze nieszczęściem, gdyby przynajmniej co do jednego można było się dogadać — komu przypadnie rola Mojżesza?

Andrzej ŚWIDLICKI

Z ukosa

Jak obraz marnie zawieszony nad łóżkiem, zupełnie niespodziewanie spadła mi na głowę ciężka myśl, że swoimi tekstami robię złą robotę dla Polski, Ojczyzny mojej, bo *Kulturę* czyta głównie nasze wychodźstwo, czyli ludzie, którzy z ojczyzny wyszli, ale ten co wyszedł może kiedyś przecież wrócić. Od dawna krzyczę, że nieszczęście, jakim była dla nas emigracja, dzisiaj może stać się dobrodziejstwem. Bo to są rodacy często znakomicie funkcjonujący w świecie zachodniej cywilizacji. Jeśli wrócą do Polski na stałe, lub choćby wrócą zawodowo na czas jakiś — będzie to dla kraju wielka sprawa. A nasz główny problem dzisiaj — okazało się nagle, że nikt nic nie umie. Nie boję się tych słów, ale je uściśłem — prawie nikt prawie niczego nie umie. Tak, tak, zdolni jesteśmy, ale nasze liczne talenta zgniły w komunizmie.

Wracając do moich tekstów i emigracji: czyli swoją depresyjno-histeryczną wizją zniechęcam do powrotów, czyli do zastrzyków cywilizacji. Oczywiście, nasza emigracja zawiera w sobie liczną grupę palantów wszelkiej maści, od palantów narodowo-ojczyźnianych do palantów, którzy noszą po kilka garbów z wodą; są też na emigracji osobnicy zdawałoby się zupełnie pozbawieni skóry, nawet podmuch wiatru ich kaleczy. Ale to jeden biegun emigracji naszej, a na drugim tłoczy się spora grupa świetnych ludzi, aż serce rośnie. Najazd powrotny emigracyjnych palantów na łono ojczyzny byłby prawdziwym nieszczęściem, bo liczba palantostwa krajo-

wego jest też wielka, i po takim wzmocnieniu palantami emigracyjnymi nie dałoby się już tam zupełnie żyć. Ale prawdziwy palant emigracyjny do kraju nie wróci. On w gruncie rzeczy swój pobyt w lepszym świecie ogromnie sobie ceni, to często jedyny prawdziwy kapitał, jakim dysponuje i którym zaświeci w oczy biednemu krajowcowi.

Więc na użytek emigracji naszej należy pisać optymistycznie. Inna sprawa z krajem, tam ludzie mają oczy na miejscu, więc w optymizm i tak nikt nie uwierzy. Mają oczy, ale są za blisko rzeczywistości, więc pewnie nie widzą, że zmierza ku dobremu. Więc ja postanowiłem na zasadzie samogwałtu wykrzesać optymizm, choćby z małych rzeczy. Cała umiejętność życia to cieszenie się i celebrowanie małego, a wielkie kłopoty puszcza się bokiem jak zręczny torreador puszcza rozjuszonego byka. Światło rodzi światło, czyli optymistyczne widzenie tworzy pozytywne fakty, niestety tak samo działa samospełniająca się przepowiednia w widzeniu ciemnym. Badania naszej opinii publicznej dają zastraszające wyniki, może więc dobrze, że nikt u nas nie wierzy w statystyki.

Oto pyszny smalec o nazwie bodajże „Jak u babci”, jest do kupienia w polskich sklepach nowego czasu. Kto by kiedyś myślał o gustach zwykłego Polaka, o jego podniebieniu i podświadomości. A domowy smalec ze skwarkami działa nie tylko na świadomość, ale i na podświadomość polskiego podniebienia, przenosi w świat rozkoszy dzieciństwa. Więc taki produkt musi mieć powodzenie, z pożytkiem dla wytwórcy i podniebień. To znak nowego czasu.

Obszary brudu i brzydoty są nadal dominujące, ale nawet gdyby to gdzieś można było spychaczem na bok, nie starczyłoby tego boku, brzydota i brud tak długo gromadzone w rytm pięciolatek muszą wsiąkać w czas, nie ma innej rady. A przecież są oazy, nagle jakiś nowy porządek dom, niezła architektura, a w nim inny świat, oczywiście od razu odgradzony możliwie wysoką zaporą. Te oazy jeszcze nie mogą sobie nawet podać rąk, ale kiedyś kto wie? Przynajmniej powstają wzorce, kiedyś ich nie było.

Wielkim dramatem jest to, co wychodzi z psów po jedzeniu. Warszawa posiada wielką ilość psów, a większość z tych psów je. Trawniki więc praktycznie składają się głównie z odchodów, a również chodnik nie jest miejscem bezpiecznym. I tak należy podziwiać ziemię matkę naszą, że to wszystko jakoś wchłania i nie zadławia się, przecież warstwami to nie leży, a mogłoby. Pamiętam moje oburzenie na

kapitalizm, gdy odwiedzając dawno temu Zachód, byłem odprowadzany do metra przez znajomą niewiastę z psem. Była to bardzo poważna osoba, czego nie można powiedzieć o jej psie, który do tego zrobił nagle swoje. Kobieta wyjęła czarną plastikową torebkę, chwyciła w nią co pies uczynił ruchem wytrenowanym, ale delikatnie, jakby ta rzecz była z porcelany, związała torebkę i udając, że nic się nie stało, ruszyliśmy przed siebie, by w najbliższym koszu na śmieci, zdobnym w psi wizerunek, złożyć mu w darze to znalezisko. Przyznam, że wszystko było uczynione wprawnie i godnie, ale jednak miałem wrażenie, że moja towarzyszka została upokorzona, a ja byłem upokorzony jej upokorzeniem. Dowiedziałem się potem, że taki zabieg jest w tym kraju obywatelskim obowiązkiem wspartym przez prawo. Pomyślałem wtedy z oburzeniem o szaleństwach wyrafinowanego kapitalizmu, i że u nas mimo licznych okropieństw przynajmniej takich upokorzeń nie ma. Nie wiedziałem, jak jestem niehigieniczny i prowincjonalny w tym myśleniu, urodzony wśród psich odchodów nie zwracałem uwagi na to, co zdawało mi się być stanem przypisanym przez naturę. Ale teraz już wiem, wiem i cierpię, lawirując na warszawskich chodnikach, a każde zboczenie na trawnik kojarzy mi się z wypadnięciem za burtę.

Ale jest wiadomość! U nas też. W Warszawie też trzeba będzie do torebek, inaczej surowa kara, a więc Europa! Nie wiadomo jeszcze, kto będzie łapał złoczyńców, czy pies też zostanie ukarany i jak nazwać to przestępstwo. Jako, że wprowadza się funkcję agenta prowokatora, to w tej dziedzinie będą wielkie możliwości. A Warszawa stanie się czysta jak niemowlę po przewinięciu.

Nawet gdy jest u nas zamach na Prezydenta, to jest on w zarodku odkryty. (Polacy jak popełniają zamachy to przed wojną lub w Afryce). Szczegóły są trzymane w tajemnicy, zanim cokolwiek postanowiono, zanim cokolwiek przygotowano, UOP złapał ich nawet nie za rękę, a za samą myśl. Nasz Prezydent „zamach” zlekceważył, bo jak oświadczył jego rzecznik „On boi się tylko Boga”.

A pomyśleć ilu prezydentów sprzątnięto w ojczyźnie demokracji. Obejrzałem niedawno w satelitarnej telewizji film o Hooverze. Kilka lat temu byłbym pewien, że to propagandowa robota KGB, ale to był program amerykański, dobrze udokumentowany. Wynika z niego niezbitcie, co już od jakiegoś czasu podejrzewano, że ojciec amerykańskiej policji i bez-

pieki był na usługach mafii. Miał słabość do hazardu, tym go kupili, miał słabość do mężczyzn. Pewna dama, której mąż też miał takie upodobania, wspomina jak weszła do pokoju hotelowego, a tam przywitała się z nią brzydka kobieta w bardzo krótkiej spódniczce. Z jednodniowym zarostem, uderzająco podobna do Hoovera. Mieli go więc jak się zdaje w saku, dlatego chronił mafię, co wiemy z upartego życia tej organizacji, długo i skutecznie. Potem Hoover szantażował Johna Kennedy'ego, jego babami rzecz jasna, zresztą śmierć tego prezydenta jest więcej niż podejrzana. Właściwie coś okropnego. I nagle wiadomość, że wieloletni premier Włoch, Andreotti, współpracował z mafią. A u nas... u nas nawet rodzimej porządnej mafii nie ma, jak jest to głównie rosyjska. Nikt w polityce nikogo nie zabił, bo szczęśliwie ślina i gadanie nie zabijają. Więc co my narzekamy na naszą politykę? Zachodni politycy, ich polityczne struktury były i są przeżarte do kości, a ważne, że tam działała ekonomia nie oglądając się na polityków. U nas też gospodarka zaczyna się nie oglądać. Ta gospodarka narodziła się na skutek literówki, ale pasuje ów neologizm do naszej sytuacji, więc ośmielam się go utrwalić.

Już tyle razy słyszałem, jak mądrzy ludzie po lekturze moich tekstów z intelektualnym błyskiem w oku mówili, że przecież u nas ludzie się nie mordują! A kiedy ktoś chce mnie dobić, to mówi „Bośnia i Hercegowina”. Jestem wtedy doprawdy zupełnie załatwiony. Więc jak teraz użyć tej broni w walce o własny optymizm? A jednak rosyjski program telewizji, który w jakiś zdumiewający sposób wymościł sobie miejsce wśród kilkunastu satelitarnych programów w moim ekranie, to jednak jest pociecha, zgadzam się, że brzydka. Na tle zachodniego świata ten program jest jak surowe kawały mięsa, nawet ludzie mają oblicza bardziej mięsne. Uderza, że komunizm tam zapadł się, ale nie w ziemię tylko w ludzi. Oni to noszą, jak nie w gębach, to na piersiach w postaci dawnych medali. Jak nie tam to w oczach, ów smutek zrodzony przez bezradność i brak perspektyw. Czekoladki „Mars” i „Mercedesy” reklamowane są już po rosyjsku, ale język tak nie przylega do tych towarów, że te towary się śmieją podczas reklamy. A głosy lektorów, głosy przemawiających polityków, jakże często nieświadomie imitują głosy dawnej epoki, gdy nawet prawda była kłamstwem. Wystrój publicznych spotkań, akademii rocznicowych prawie identyczny jak kiedyś — czyli już nie potrafią inaczej. Za długo to

trwało. Zachowali nie tylko dawne medale, zachowali tytuły, frazy, miny i gesty. U nas są skrawki dawnego, ale ogólny wyraz jest jednak już inny.

Pewien cudzoziemiec trącił mnie łokciem, gdy na warszawskiej ulicy mijały nas błyszczące limuzyny. „Nie masz wrażenia, że w każdym siedzi gangster, że żaden z właścicieli nie zarobił uczciwie?”. Miałem takie wrażenie. „Ale u nas jest niewiele inaczej — ciągnął — a kiedyś było to regułą. Ich dzieci będą inne, tak było wszędzie i zawsze”. Zgodziłem się skwapliwie.

Podobnie jest z uczeniem się, na to trzeba czasu. Jest u nas rzesza osób, których świadomości bez trepanacji czaszki nie zmieni się. I jest u nas rzesza fachowców, którzy tak pilnie strzegą swojej niekompetencji, że nie przemkną się nawet mysz. Na specjalistów z Zachodu patrzą krzywo — co nas będą pouczać. Polak ścierpi wiele, ale pouczenia nie. Znajomy Brytyjczyk, który prowadzi w Polsce kursy w pewnej bardzo specjalistycznej dziedzinie, opowiada mi, że na początku szło to niezwykle opornie. Polscy fachowcy byli czujni i nadęci, wydawało się, że byle co doprowadzi do wybuchu, ale gdy zauważyli, że nikt ich nie poucza, atmosfera zaczęła się polepszać. Teraz on już wie, „z Polakami trzeba sposobem, należy tak wyklądać, by im się zdawało, że od początku wszystko wiedzieli”. O tak, nasza prowincja wpada w szal, gdy jej się udowodni, że jest prowincją. Nie ma wtedy rozmowy. A kiedy zauważą, że traktuje się ich po pańsku, otwierają się, a nawet szybko uczą. Kompletna kłeska komunikacyjna kolejnych polskich rządów opiera się na braku partnerskiej rozmowy i skłonności do pouczeń.

W „Kronikach” Prusa odnalazłem niespodzianie jere-miady na temat naszej moralności i rozwiązłości uprawianej zwłaszcza przez naszych artystów. Czyli już otwartogłowy Prus, który potrafił napisać zdanie „... na mazowieckich piaskach naszej umysłowości”, nawet on biadolilił nad naszym upadkiem seksualnym, a minęło prawie sto lat i jeśli zepsuliśmy się, czy raczej podgniliśmy, to naprawdę w zupełnie innych miejscach.

Mój syn opowiada mi, na jak żenującym poziomie są próby mówienia o seksie w jego szkole, jak płonią się nauczyciele, kiedy mają coś na ten temat powiedzieć, a uczniowie widząc to skręcają się ze śmiechu. Mają poczucie, że powinna nastąpić zamiana miejsc. Nauczyciele winni usiąść w ławkach,

a uczniowie zacząć ich uświadamiać, bo nie tylko wiedzą na ten temat więcej, ale też o wiele łatwiej jest im mówić.

I jest dobra wiadomość dla Kościoła i ZChN — aborcja wyjechała poza Polskę. Wszystkie nasze granice są już obstawione po drugiej stronie w aborcyjne gabinety, nawet drogowskazy wyjaśniają kierunek i cel. Czyli nieostrożne i niemoralne kobiety jakoś sobie radzą, a przy tym rozwija się turystyka, zaś Kościół i ZChN mają czyste sumienie, bo zbrodnia dzieje się poza granicami Polski. Księża owszem czasami przesadzają, bo nie wiem czy to prawda, na własne uszy nie słyszałem, ale lud mówi, że oto są takie świątynie, gdzie ksiądz z ambony grzecznie prosi by te niewiasty, które noszą w swym łonie spirale opuściły święte miejsca. Są już podobno takie co do spowiedzi zdejmują, a potem idą na powrót do lekarza. Znajoma z miasteczka S. pisze do mnie, że baby sobie w S. dworują, że ksiądz będzie stał przy bramach kościoła z magnesem. Jedyne dobre dowcipy, jakie ostatnio słyszałem, leżą na skrzyżowaniu ZChNu, Kościoła i spraw, o których się w *Kulturze* nie pisze. Te dowcipy, chociaż dobre, są tak nieprzyzwoite, że nawet gdyby Redaktor pozwolił, nie powtórzę. Nie jest tak źle ze swobodą obywateli w kraju, skoro można sobie z tego pożartować.

Pewna dentystka z Lublina opowiadała mi, że gdy w tamtejszej szkole otwierano gabinet dentystyczny, to ksiądz przyszedł i poświęcił. Ona się nie dziwiła, natomiast ja się trochę zdziwiłem — a już myślałem, że nic mnie nie może zaskoczyć. Zapytałem, czy święci się w ten sam sposób np. gabinety ginekologiczne? Speszyla się, nie wiem czemu, przecież łatwo udowodnić, że taki gabinet bardziej zasługuje na poświęcenie niż zębowy. Ale tak naprawdę to komu to szkodzi, takie kropienie, pamiętam jak przed laty święcono *Gazetę Wyborczą* i proszę, jak kwitnie.

A co do kłopotów z Kościołem... jak mi słusznie powiedział pewien Ewangelista, „ten kocioł musi się wygotować”. Co prawda jak się wygotuje do końca, to wartości chrześcijańskie będą świecić jak neony na Marszałkowskiej. Ale czego się tu obawiać? Moralność chrześcijańska jest moralnością powszechną w naszej cywilizacji. Ci co się boją, że to ograniczy wolność, powinni pamiętać, że u nas wpisanie czegokolwiek gdziekolwiek niczego nigdy nie ograniczyło. Zaś nasza socjalistyczna konstytucja aż ociekała demokracją, a jak było każdy pamięta. Że czas, by prawo znaczyło prawo — mamy jeszcze sporo lat przed sobą. Kocioł musi się wygotować, to nieco potrwa. To prawda, że nieustannie gdzieś

wybucho skandal obyczajowy napędzany przez księdza lub ZChN, że np. w kinie puszczono film obraźliwy dla katolika. Ale jednocześnie nasz parlament, za namową Prezydenta, uchwała artykuł, który zakazuje „dyskryminacji mniejszości etnicznych i osób o innej preferencji seksualnej”.

I jest prawdą, że w czasie Wielkiej Zmiany, gdy walec rynku miazdzy nasze odwieczne tradycje, że w tym czasie rozpadu prawie wszystkich norm moralnych, Kościół i religia stanowić mogą fundament. Że polski kler jest na ogół na niskim poziomie, to fakt, ale gdy porównać dawny Kościół z nowym, choćby naszym przedwojennym (bo dawnych zbrodni nie uchodzi wypominać) to ten dzisiejszy tak niebywale zmienił się na lepsze, że grzechem jest narzekać na jego obecne grzechy. *Nova Res Publica* nr 4, by pokazać jak się zmieniło na lepsze, cytuje fragment XIX książeczki do nabożeństwa.

„Wzór dokładnej spowiedzi” (np. 8-e i 9-e Przykazanie Boskie oraz trzeci grzech główny): brzydkimi myślami zabawiałem się co tydzień może po ... razy, za każdym razem mogło to trwać do ... minut, a czasem dłużej. Miewałem przy tym nieczyste żądze ... razy. Lubilem nieprzyzwoitości mówić i śpiewać. Było to może ... razy przy chłopcach, i ... przy dziewczętach, co razem wzięwszy, mogło być od... do... razy”.

I tak po kolei idzie ta niezwykła buchalteria, jak w rzeźni ludzkiego sumienia dzieli się tam i waży zarżnięte świnie i krowy grzechu. Dzisiaj Kościół, przynajmniej nieoficjalnie, prawi o sumieniu językiem wyrafinowanej filozofii. I jak tu mówić, że nie ma postępu. Nie zaprzeczę jednak, że jest wielki kłopot z Prymasem. Jak mi powiedział pewien znajomy z Kościołem związany, „Prymas jest dobrym człowiekiem, tylko za wiele publicznie mówi”. Czasem wydaje się, że byłoby najlepiej, gdyby nie mówił nic. Niestety dla Kościoła, On jest innego zdania. Teraz zagryzany jest Rzecznik Praw Obywatelskich prof. Zieliński, bo ośmielił się zakwestionować sposób wprowadzenia religii w szkołach. A przecież wyrok Trybunału był w zasadzie pozytywny dla tych lekcji, z małymi tylko zastrzeżeniami. Ale głowa naszego Kościoła tak się gniewa, bo uważa, że wszystko co związane z religią i Kościołem, jest już poza prawem ludzkim. Dlatego rozprawę tego Trybunału Prymas nazwał „widowiskiem”. Prof. Zieliński stwierdził, że „Kościół ingeruje w sferę trzech władz: ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Nie chcę być pesymistą, ale stanęliśmy u wrót państwa wyznaniowego”.

W obronie rzecznika, a przeciw Kościołowi, staje mężnie w protestacyjnym liście cały zastęp aktorów, pisarzy, ludzi bardzo publicznych, i wszyscy tak bezbożnie z własnymi nazwiskami. I nikt się nie boi. Więc nie ma racji pewien młody człowiek, gdy z właściwą dla młodości przesadą oświadcza mi, że „chyba wkrótce zostanie zerwana ostatnia więź łącząca Polskę ze współczesnością i podryfujemy do średniowiecza”. Po co od razu histeryzować, Polska katolicka, gdzie każdy Polak zostanie urzędowo katolikiem, nie będzie się zupełnie różnić od obecnej. Poprzez kanały satelitarnej telewizji i video do każdego dotrze sodomia i gomora, księża na plebaniach też będą oglądać. Jedyna bieda, że takie rozpychanie się łokciami Kościoła w krótkim czasie doprowadzi do jego ostatecznej kompromitacji, więc i o wiarę można się niepokoić. Ale to się wygotuje. Nie twierdzę, że na dnie zostanie złoto, ale po co od razu widzieć czarno?

Zbyt łatwo zapominamy, my społeczeństwo, my piszący o współczesności, że wszystkie nasze wielkie dzisiejsze tarapaty są efektem głównie kilkunastu ostatnich lat, które doprawdy były przekłete, mimo likwidacji analfabetyzmu i odbudowy Warszawy. Co lubią nam przypominać byli komuniści. Ja też lubię narzekać na arogancję nowej władzy, doprawdy można ten towar rozwozić po mieście ciężarówkami. Ale to tylko arogancja ludzi, a nie całego systemu. Gdy się odwróci głowę, można zajrzeć np. do miejscowości o zębatym brzmieniu Piła. Mój znajomy L., wypchnięty przez historię na emigrację, pochodzi właśnie z tego miasta, i niejako przy okazji opowiedział o latach 70-tych tam właśnie. Miałem wrażenie, że dla niego, to co się działo w tym mieście, jednym z tysięcy w Polsce, było zupełnie normalne, tak normalne, że zdziwiło go moje zdziwienie ówczesną groteską. To jest właśnie rzeczystwo, której nie potrafią nawet uszczypnąć ani nasz film, ani nasza literatura, a przecież ona ma tak apetyczne wystające części. Nie mam do tego ręki, a cokolwiek się spróbuje, jest nieprawdziwe. Więc zupełnie nie przekonuje.

Jako że L. ma talent literacki, więc poprosiłem go serdecznie, by na użytek mojego tekstu sam napisał krótko o Pile, w czasach gdy „Państwo rosło w siłę, a ludzie żyli dostatniej”, czyli w epoce jaśnie nam panującego pierwszego sekretarza Edwarda Gierka.

L. nazywa to „epoką Wielkich Mongołów w Pile”. Pi-sze: „Otrzymaliśmy triadę gierkowskich apostołów w postaci:

wojewody Śliwińskiego, bodaj z Poznania. Pierwszego sekretarza KW, niejakiego Kowalskiego, chyba kiedyś KC, i komendanta wojewódzkiego MO, pułkownika Piankę. Byli to namiestnicy *par excellence*. Panowie przybyli z „wielkiego świata”, zaściankowość miasteczka była im nieznośna, rolniczy charakter regionu również. Postanowili więc przekształcić Piłę w ośrodek prężnego przemysłu. Nikt nie wiedział jakiego, ale brzmiało to ładnie. Zaczęli nawet budowę fabryki chemicznej, której ścieki miały wykończyć te paskudne i zbyteczne lasy. Jej ruiny straszą do dzisiaj. Hasło było jednak inne. Piła miała stać się Wenecją. Zabrali się do tego w wielkim stylu. Wtedy wszystko musiało być wielkie, nawet kurniki. Zaczęli od Wielkich Porządków. W pełnym tego słowa znaczeniu. Pomalowali Piłę. Nie ostał się w tym szale ani jeden dom, którego nie pokryto całą jaskrawością akryli, sprowadzanych za ciężkie pieniądze ze Szwecji. Szaleństwo barw, istny fajerwerk, domy dwoiły się i troiły w oczach. Projekty kolorystyczne wykonywali plastycy, którzy nigdy nie byli w mieście. Efekt był zabójczy. Czegoś podobnego nie wymyśliłby Pollack. Ale w pewnym sensie cel osiągnięto, jeden z naszych znajomych po dwudniowym pobycie w Pile wyznał: Stary, ja tego miasta w życiu nie zapomnę. Pomalowano też wszystkie płoty na zielono. I bez odwołania. Chodziły komisje i sprawdzały czy zieleń dostatecznie zielona. Jeśli nie, mandat i „odrobić lekcję jeszcze raz”. Ile ci ludzie mieli nocy nie przespanych. Czy właściwy odcień, czy komisja uzna czy nie uzna, a może poprawić?

Za to w okolicznych lasach wyrosły, jak grzyby po deszczu, domki myśliwskie. Domki były bardzo przyjemne, zaś aleje dojazdowe jak Marszałkowska. Nasi trzej apostołowie to byli zapaleni myśliwi. Nawet sklep myśliwski otwarty, by po naboje nie musieli daleko jeździć. Strach było wyjść do lasu, bo strzelali do wszystkiego co się ruszało. Sprowadzono do tych lasów z daleka nawet dwa żubry. A z okazji ślubu pierwszego sekretarza pilskie przedsiębiorstwa „spontanicznie” zobowiązały się do złożenia prezentów, czyli dziesięciny, prezenty też musiały być w wielkim stylu. Nic poniżej 100 tys. Powołano nawet specjalną komisję kwalifikacyjną do prezentów, żeby żadnych wpadek, i by nic się nie powtarzało. Za to inne niespodzianki zdarzały się prawie każdego dnia. Choćby kościół w Pile. Ruina w środku miasta, ale bardzo piękna. Część prezbiterialna romańska, reszta późny barok. Rozebrano go w ciągu jednej nocy, wywieziono gruz, posadzono trawę. Ludzie rano do pracy, a tu nic, czysto, zielono,

no, schludnie. Ale budowano też szybko. Np. muzeum premiera Piotra Jaroszewicza — podobno gdzieś w okolicy biegł jego szlak bojowy z czasów II wojny światowej. Muzeum jak się patrzy, kustosz, specjalista w dziedzinie „Jaroszewicz”, armaty na dziedzińcu. To samo z komendą wojewódzką MO. Jedyny wieżowiec w Pile. Marmury i piaskowiec. Epoka wielkich budowniczych. Fabrykę Domów zbudowali w środku lasu, żeby tzw. środowiska miejskiego nie zanieczyszczała, za to las był martwy, nawet korniki pozdychały.

Dalej L. opowiada, jak przyszła „Solidarność”, a świat stanął na głowie. Potem stan wojenny miał z powrotem postawić go na nogi, ale to już nie zawsze były te same nogi. I oto L. został internowany, i co za niespodzianka, bo w więzieniu spotkał wojewodę. L. posadzili za „Solidarność”, a wojewodę tylko dlatego, że zastrzelił ostatniego żubra. Przed Sądem tłumaczył się, że pomylił go z sarną. Ale tak naprawdę, to był tylko pretekst, chcieli wojewodę zamknąć, bo zaczynał się czas nowych władców PRL, w mundurach.

Tak, tak, to nie fikcja, tak jak Piła wyglądała wczoraj cała Polska, może nie równie kolorowo, ale idiotyzmy były równie wielkie i wszechdominujące. Przez 45 lat nasz kraj gromadził w sobie absurd, był rozkradany, wyjadany, rozrywany, rozkretyniały. I niech mi ktoś powie — jak dzisiaj to ma dobrze wyglądać, ludzie mają być profesjonalni i może jeszcze normalni. Po końcu świata, jakim była wojna, nastąpiło 45 lat szpitala psychiatrycznego, najbardziej zdrowy organizm się rozchoruje.

Jest prawdą, że nieco się u nas przesadza z tym gadaniem i myśleniem o pieniądzach. Bardzo to kontrastuje z wczorajszym niepisany zakazem mówienia o mamonie. Z naszym gestem, który się kończy tak nagle, jakby mu gilotyna ucięła ręce. Mieliśmy gest, to prawda, brzydziliśmy się pieniędzmi, bardzo to była szlachetna i szlachecka tradycja, ale gdzieśmy na tym zajechali? W najciemniejszy kąt Europy, pełen kurzu i pajęczyn. Więc najwyższy czas myśleć i mówić o pieniądzach. Na początku tego wieku Ralph Emerson pisał o Anglii; „Nie ma kraju, gdzie taką admiracją otacza się bogactwo”; kto inny zauważa gorzko: „Wszystko u nas jest opakowane w materializm i pełne niebываłego pościgu za pieniędzmi”. Przez okres materialistycznego szaleństwa kraje zachodniej Europy przechodziły przed stuleciem, miało to postać drapieżną, zupełnie jak teraz u nas, zresztą resztki tej drapieżności są tam przecież nadal. Cóż z tego, że nasza pie-

nieżna gorliwość jest niesmaczna, że prowokuje nudności, skoro w przyszłości wyda słodkie owoce, a dzieci i wnuki naszych rekinów zmieniają się w delfiny.

Uwierzyłem w tym roku w niemal wszystkie dowcipy primaaprilisowe, tak liczne w naszej prasie. Po prostu tyle się rzeczy dzieje przezabawnych i surrealistycznych w kraju, że cokolwiek się nieprawdopodobnego wymyśli, to życie i tak będzie bardziej pomysłowe. Czy nie są uprzywilejowani ludzie żyjący w takim miejscu, w takim czasie?

W „Szaleństwie władzy” Barbara Tuchman opisuje niezwykle żywo liczne szaleństwa władzy w różnych epokach, m.in. jak oto Brytyjczycy utracili Amerykę, z powodu głupoty graniczącej z szaleństwem. Właściwie prawie cała historia świata jest pasmem szaleństw. Jaka z tego dla nas pociecha? Po pierwsze, wszędzie i zawsze politycy byli szaleńcami lub głupcami. Po drugie, my szczęśliwie nie mamy żadnej Ameryki do utracenia. Jak przypomina Tuchman, gdy wszystko zmierzało ku utracie Ameryki i zdawało się to nieuchronne, wielka rozpacz padła na całą Brytanię, a wszystkim zdawało się, że kraj już nie podźwignie się z upadku. Zawadzono: „Zostaniemy ograniczeni do nędznej małej wyspy i z potężnego mocarstwa staniemy się nic nie znaczącym państwem, takim jak Dania czy Sardynia”. Podobnie pisali wtedy najmądrzejsi ludzie w tym kraju. Zaś Burke biadał, że bez istotniejszych zmian w charakterze narodowym i przywództwie państwo może stoczyć się „ze szczytu swej potęgi i pomyślności w najniższy stan marności i głupoty... Jestem przekonany, że jeśli natychmiast nie dołoży się wysiłku, aby temu zapobiec, taki będzie musiał być los naszego kraju”.

Ciekawe były te powszechne gorzkie przeczucia, zważywszy, że Wielka Brytania stała dopiero na progu swojej potęgi. My dzisiaj nie mamy aż tyle do stracenia, i zapewne aż tyle do zyskania, ale nasze ciemne wizje, jeremiady nad upadkiem moralnym, wariactwem polityków, szczękościskiem Kościoła, ekonomią kulejącą na obie nogi, to wszystko nic wobec ukrytych prądów, które sterują krajem w kierunku przez nikogo nie przewidywanym, ale czy można wątpić, że do przodu?

SMECZ

Szanse i ryzyka polskiej gospodarki u progu XXI wieku

Wśród rozmaitych ocen obecnej sytuacji Polski na arenie międzynarodowej pojawiła się też ocena prof. Zbigniewa Brzezińskiego (zaprezentowana w jakimś wywiadzie telewizyjnym, czy artykule), że sytuacja ta jest bardziej korzystna, niż kiedykolwiek w ciągu minionych trzystu lat. Ocena taka wydaje mi się nie tylko wątpliwa, ale przede wszystkim szkodliwa, gdyż popularyzuje ona pewne iluzje w społeczeństwie na tego typu iluzje bardzo podatnym. Ponadto ocena ta zbyt blisko mi współbrzmi z różnymi hasłami, czy twierdzeniami z dalszej i bliższej przeszłości, które nie wytrzymały konfrontacji z życiem. Do dziś żywo mi stoi w pamięci wrażenie i przerażenie, gdy w 1939 r. na ćwiczeniach rezerwy w pułku artylerii usłyszałem słowa piosenki: „...nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie weźmie nic, bo z nami Śmigły, Śmigły Rydz”. Dużo później wiele mówiono o tym co „Polak potrafi”, jeszcze później o „etosie *Solidarności*”. Czasy były różne — rozczarowania podobne. Starajmy się więc w miarę możliwości ich ludziom oszczędzić, m.in. trzeźwo patrząc na to, co było i jest, i z należytą rozwagą przewidując, co może się wydarzyć w przyszłości. Kierując się tymi przesłankami, skłonny jestem z dużą dozą optymizmu podchodzić do oceny mijającego stulecia z punktu widzenia polskiej gospodarki i z równie dużą ostrożnością do przewidywanych tendencji jej rozwoju.

Doświadczenia wieku XX

Mimo bardzo ciężkich przeżyć narodu w ciągu dwóch wojen światowych, wiek XX zaznaczył się w historii Polski wydarzeniami niezwykłymi. Te wydarzenia wyróżniają ów wiek korzystnie w stosunku do wieku XVIII, w którym kraj szybko chylił się do upadku i w stosunku do wieku XIX, w którym na dnie upadku pozostawał. Do tych wydarzeń niezwykłych można zaliczyć: odzyskanie — po 120-letniej niewoli — niepodległości w 1918 r.; udział w zwycięstwie aliantów nad Niemcami w 1945 r.; uwolnienie się od wykazującego

wielkie ambicje i niską wydajność systemu gospodarki komunistycznej w 1989 r.

Kraj współdziałał w każdym z tych wydarzeń, ponosił ofiary i przyczyniał się do wojennych sukcesów aliantów, czy też do pokojowego zwycięstwa nad komunizmem. Nasze możliwości działań, a przez to i rzeczywiste efekty, były jednak ograniczone, zarówno ze względu na potencjał kraju, jak i jego szczególne geopolityczne położenie. W rezultacie można uważać, że z tytułu tych trzech omawianych wydarzeń osiągnęliśmy korzyści relatywnie większe od wkładów włożonych w ich realizację. Inaczej mówiąc, nie oszczędziliśmy wysiłków, ale mieliśmy też dużo szczęścia. Do szczęśliwych bowiem dla nas zbiegów okoliczności zaliczyć można równoczesną klęskę Niemiec i osłabienie Rosji w I wojnie światowej, możliwość uzyskania rekompensaty na zachodzie za ziemie utracone na wschodzie po II wojnie światowej, czy też wreszcie nieoczekiwane szybkie, choć nie bezbolesne, odejście Europy Wschodniej od komunistycznego gospodarowania.

Shczęście jest też ważne, nie trzeba się go wstydzić, ale trzeba je szanować i umieć dobrze wykorzystywać. Tego jednak niestety nie potrafiliśmy. Po I wojnie stworzyliśmy system demokratyczny, który okazał się nieefektywny, który trzeba było zastąpić systemem bardziej efektywnym, ale niedemokratycznym. Po II wojnie światowej zastosowaliśmy — zresztą nie z własnej inicjatywy — kolejność odwrotną. W tym wieku nie udało się nam jeszcze osiągnąć pełni szczęścia w postaci ustroju efektywnego i demokratycznego. A jest to zadanie bardzo trudne, zwłaszcza w warunkach naszego kraju, w którym skutki kryzysu gospodarczego i moralnego wzajemnie na siebie oddziaływują, wytwarzając i pogłębiając nastroje frustracji i nienawiści. Dlatego warto rozważyć szanse i ryzyka, wobec których stoi gospodarka w drodze do celu podstawowego, jakim musi być podniesienie poziomu gospodarowania.

Szansa

Nowy układ stosunków polityczno-gospodarczych w Europie Wschodniej, odejście od centralnego planowania i dominacji społecznej własności do gospodarki rynkowej, stwarza różnego rodzaju szanse, które dość trudno poddają się hierarchizacji, stosownie do ich wagi.

Dlatego, wymieniając na pierwszym miejscu *szansę udziału w wielkim rynku europejskim*, traktuję ją jako czynnik ważny, ale niekoniecznie najważniejszy. Udział w takim rynku pozwala osiągać korzyści skali produkcji, zmusza do podnoszenia jakości wyrobów, ułatwia dostęp do nowej techniki itd. Korzyści powiększania rynku w sposób najbardziej przekonywujący dowodzi historia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, szybki wzrost liczby krajów członkowskich i tempo, w jakim kraje te potrafiły zredukować różnice poziomu rozwoju gospodarczego, dzielące je kiedyś od przodującej gospodarki amerykańskiej.

Istotne znaczenie ma również *szansa udziału w lepszym rynku*, a więc w rynku sprawniej pracującym, lepiej zorganizowanym i przez to przyczyniającym się do szybszego wzrostu gospodarczego uczestników tego rynku. Warto przypomnieć, że świadomość słabości organizacyjnej wschodnioeuropejskiej Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej wśród krajów członkowskich była powszechna. Dlatego już w 1967 r. zainicjowano prace, zmierzające do pogłębienia integracji gospodarczej Europy Wschodniej i uzyskania na tej drodze efektów porównywalnych z osiąganymi przez EWG. Uchwalony w wyniku tych prac w 1971 r. tzw. „Program Kompleksowy” z różnych powodów nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań, a współpraca gospodarcza nadal odbywała się w sztywnych ramach bilateralnych umów.

Ożywienie wymiany handlowej z krajami Europy Zachodniej stworzy z kolei szanse łatwiejszej *adaptacji rozwiązań instytucjonalnych w przemyśle, transporcie, czy łączności* do potrzeb nowego systemu gospodarowania.

Z racji swojego położenia geograficznego Polska ma *szanse osiągnięcia korzyści z tranzytu* znacznie większych od tych, które można było osiągnąć w warunkach Europy podzielonej.

Szansa, jakie tkwią w zmianach systemu gospodarowania i w zmianach systemu współpracy międzynarodowej, są ogromne. Nie leżą one jednak tak po prostu w zasięgu ręki. Ich realne wykorzystanie wymaga czasu i zależy od wielu czynników. Po pierwsze — od własnych umiejętności wdrożenia nowego systemu gospodarowania, do czego jeszcze wrócimy. Po drugie — od rozwoju wydarzeń w krajach sąsiednich, zwłaszcza w krajach napotykaających podobne, a czasem dużo większe, utrudnienia i przeszkody w realizacji przemian systemowych. Po trzecie — od przyszłych tendencji w globalnej współpracy międzynarodowej, w szczególności od

tego, czy współpraca ta będzie orientowana na stopniowe redukcje głębokich nierówności w dochodach na mieszkańca różnych krajów, czy też przepaść między dochodami krajów bogatych i biednych będzie rosła, jak to miało miejsce w latach osiemdziesiątych (gdy średni roczny wzrost dochodu na mieszkańca wynosił w krajach uprzemysłowionych 2,4%, w krajach rozwijających się 1,2%, a natomiast średni roczny spadek dochodu na mieszkańca wynosił w Ameryce Łacińskiej 0,5% i w Afryce Subsaharyjskiej 0,9%).

Ryzyka

Rozważając różne ryzyka związane z reformowaniem gospodarki, zasadne jest, aby w pierwszej kolejności zastanowić się nad *ryzykiem tkwiącym w samym wyborze metody reformy*. Od dawna i nie tylko w Polsce dyskutuje się wady i zalety tzw. terapii szokowej (zmierzającej do szybkich zmian strukturalnych m.in. przez zdjęcie z rynku „pustego pieniądza” i szybkie wycofanie się z dotowania produkcji) oraz przeciwstawianej jej metodzie stopniowej transformacji. Terapia szokowa zawiera większe ryzyko, ale to nie jest żadnym argumentem przeciw jej stosowaniu, jeżeli miałyby się ona okazać skuteczna. Natomiast świadomość istnienia tego większego ryzyka powinna skłaniać realizatorów terapii szokowej do starannego obserwowania skuteczności terapii i szybkiego reagowania, gdy jej efekty rozmiągają się z założonymi celami.

Istotne znaczenie ma *ryzyko nadmiernych kosztów reformy*. Można zgodzić się z tezą, że podejmując reformy gospodarcze, społeczeństwo musi ponieść pewne jej koszty, przede wszystkim w postaci przejściowego obniżenia stopy życiowej. W każdym jednak przedsięwzięciu wyznacza się pewną granicę, której koszty tego przedsięwzięcia nie mogą przekroczyć. W przypadku naszej reformy takiej granicy nie sprecyzowano. Wydaje się jednak, że koszty, które już ponieśliśmy (spadek wynagrodzeń realnych o 25%, spadek produkcji przemysłowej o 35%, liczba bezrobotnych 2,6 mln), znacznie przekroczyły granicę, którą można by sobie wyobrazić jako granicę rozsądną. Skutek tej sytuacji to narastanie napięć społecznych i strajków oraz ostre ataki na politykę rządu ze strony związków zawodowych.

Dodajmy, że to ryzyko nadmiernych kosztów występuje w skali międzynarodowej. Jeżeli kraje sąsiadujące z Polską, zwłaszcza kraje wielkie, jak Rosja lub Ukraina, podjęłyby

ryzyko nadmiernych kosztów swoich reform, to wynikające stąd skutki w postaci niepokojów społecznych, czy migracji ludności mogą być dla naszej gospodarki podobnie dotkliwe, jak skutki własnych błędów.

Można też mówić o istnieniu *ryzyka nadmiaru słusznych celów*, o którym w odniesieniu do gospodarki planowej pisał prof. Czesław Bobrowski. Okazuje się, że chociaż system jest całkiem inny, to mentalność urzędników niewiele się zmienia. Więc, gdy padło hasło reformy, każdy urząd (a w nim departament, wydział) intensywnie myśli, co można zreformować i to natychmiast. Płynie szeroka rzeka coraz to nowych pomysłów: rozdawania albo sprzedaży akcji przedsiębiorstw państwowych, tworzenia narodowych funduszy inwestycyjnych, restytucji powiatów, prawie jednoczesnego wprowadzania skomplikowanych podatków od osób fizycznych i od wartości dodanej, reformy ubezpieczeń społecznych itd. Każdy z tych pomysłów, wzięty oddzielnie, może być nawet sensowny. Ale próby wdrażania ich jednocześnie powodują całkowitą niewydolność władz: parlament nie nadąza z uchwalaniem ustaw, rząd — z wydawaniem aktów wykonawczych, a sądy — ze ściganiem aferzystów ciągnących niemałe korzyści z panującego zamieszania.

Nierówna gra i co z niej wynika

Z dotychczasowych rozważań wydaje się wynikać, że gra o reformę (jeżeli można tak określić działalność reformatorów) jest grą w której uczestnicy narażeni są w znacznym stopniu na ryzyko przegranej, natomiast stosunkowo mniejsze mają szanse wygranej. Wynika to częściowo z faktu, że korzyści, które rysują się w przypadku powodzenia reformy, nie mają tego samego ciężaru gatunkowego, co szkody mogące wyniknąć w związku z istniejącym ryzykiem niepowodzeń. Sądzę, że większe znaczenie ma jednak czynnik czasu: pozytywne wyniki reformy ujawniają się z reguły stopniowo i po upływie pewnego czasu; odwrotnie, niepowodzenia reformy dostrzegane są bardzo szybko i zaraz powodują negatywne, często przesadne, reakcje społeczeństwa.

Z tej swojego rodzaju asymetrii szans i ryzyka reformy wynikają — w moim przekonaniu — pewne istotne wnioski dla reformatorów w postaci pożądanego regułu postępowania. Ich przestrzeganie chroniłoby przed niepowodzeniami, chociaż niekoniecznie miałoby gwarantować sukcesy. Nie pretendując

do wyczerpania tematu, kilka takich reguł omówię poniżej.

Najbardziej podstawowa reguła to *dobrze przygotowanie poszczególnych przedsięwzięć reformy* z wyczerpującym opisem celu i metody realizacji przedsięwzięcia, rachunkiem symulacyjnym kosztów i wyników oraz wskazaniem znaczenia danego przedsięwzięcia dla całości reformy.

Koncentracja działań reformatorskich na sprawach najważniejszych i świadome odrzucenie problemów dalszego rzędu, które nie decydują o wynikach reformy, a natomiast mogą opóźnić jej realizację.

Poszukiwanie rzeczywistych rozwiązań i unikanie rozwiązań pozornych. Dobrą ilustrację problemu może stanowić rozgrywający się obecnie (maj 1993) spór między rządem i związkami zawodowymi o nakłady na edukację i ochronę zdrowia (w tym na płace nauczycieli i personelu medycznego). Związki zawodowe domagają się podwyżek płac i mają rację, gdyż płace w edukacji i służbie zdrowia są skandalicznie niskie. Rząd twierdzi, że nie ma w budżecie środków na podnoszenie płac i też ma rację, gdyż podniesienie płac w tych dwóch działach wyzwoli falę roszczeń płacowych w całym kraju, wzmoże presję inflacyjną i w końcowym efekcie doprowadzi do obniżenia płac realnych. Jednak obie strony sporu, prezentując swoje istotne racje, sięgają do rozwiązań pozornych, które niczego nie załatwiają. Płace w edukacji i ochronie zdrowia są niskie dlatego, że są one niskie w całej gospodarce, a są takie dlatego, że popełniono błędy w polityce gospodarczej, doprowadzając do gigantycznego — w naszych warunkach — bezrobocia i spadku produkcji. Klucz zaś do poprawy sytuacji tkwi nie w kosmetycznych operacjach budżetowych, a w budowie spójnego programu gospodarczego, zmierzającego do wzrostu zatrudnienia i produkcji.

Rozwój wymiany z zagranicą stanowi istotny warunek powodzenia i reformy i każdego programu gospodarczego. Dlatego *rozważne otwieranie gospodarki zarówno na zachód, jak i na wschód* musi być nieodłącznym elementem wszystkich działań reformatorskich. W tej dziedzinie popełniono wyjątkowo rażące błędy. W praktyce innych krajów, tak jak i w teorii, przyjmuje się, że wymiana z zagranicą powinna sprzyjać rozwojowi gospodarki kraju. U nas dość trudno dostrzec w ostatnich latach ten konstruktywny wpływ handlu na gospodarkę. Natomiast mówi się często o występującym — wbrew wszelkiej logice — zjawisku odwrotnym — duszeniu produkcji krajowej przez import. O potrzebie szerokiego otwierania gospodarki słyszeliśmy dużo i często, o potrzebie

promowania i rozwoju eksportu — niewiele i rzadko, o założeniach równowagi polskiego bilansu handlowego w dalszej perspektywie — nic i nigdy.

Przeciw niektórym mitom

W działaniach reformatorskich duże znaczenie ma trzeźwa ocena własnych możliwości i braków, a także także ocena otaczającego nas świata. Ocena trafna może ogromnie ułatwić znalezienie prawidłowego rozwiązania trapiących gospodarkę kraju problemów. Odwrotnie — ocena błędna może przyczynić się do powstawania i kultywowania chybotliwych pomysłów i skazanych z góry na niepowodzenie projektów. Dlatego w zakończeniu tych rozważań chciałbym ustosunkować się krytycznie do niektórych często formułowanych twierdzeń, które, jak sądzę, ze względu na słaby styk z rzeczywistością, można zaliczyć do kategorii mitów. Konkretnie chodzi o jeden wielki mit i kilka pomniejszych.

Ów wielki mit najprościej można zawrzeć w stwierdzeniu (używanym kiedyś m.in. przez Leszka Balcerowicza) brzmiącym mniej więcej tak: „Wybieramy system, który się sprawdził”. Nie negując osiągnięć gospodarki rynkowej ani celowości idącej w jej kierunku reformy gospodarczej, muszę powiedzieć, że taka bezwzględna afirmacja systemu gospodarki rynkowej może dziwić z wielu powodów. Czy sprawdził się system, który toleruje, że w krajach rozwijających się w każdym roku miliony ludzi umierają z głodu, a 1 miliard mieszkańców tych krajów żyje na poziomie poniżej granicy ubóstwa? Albo czy sprawdził się system, w którym państwa (Liban, Jugosławia) popadają w ruinę i mnożą się konflikty zbrojne? Dowodem zaś, że zdania na ten temat są podzielone, niech będzie opinia zaczerpnięta z ostatniego raportu Klubu Rzymskiego pt. „Pierwsza rewolucja globalna”, który ukazał się w 1990 r. Jego autorzy, Aleksander King i Bertrand Schneider, piszą we wstępie: „Widzimy, że świat i jego zasoby są narażone na wielkie marnotrawstwo, ale jesteśmy uspokajani przez zadowolonych z siebie naszych przywódców oraz naszą własną inercję i opór wobec zmian. Czas ucieka. Niektóre problemy już przybrały rozmiary, które przekraczają punkt możliwości skutecznego ich opanowania, a koszty zwłoki są potwornie wysokie. Jeżeli się nie przebudzimy i nie zadziałamy szybko może być za późno”.

Uczmy się więc od Zachodu i korzystajmy z jego wielu

wartościowych doświadczeń. Ale jednocześnie z pewnym krytycyzmem oceniamy zarówno ich ogólną użyteczność, jak też możliwość i celowość ich adaptacji w warunkach polskiej gospodarki.

Wydaje się, że zaoszczędzimy sobie wielu rozczarowań, jeżeli np. dążąc z całą konsekwencją do prywatyzacji gospodarki, otwarcia kraju na konkurencję zagraniczną, czy przyciągnięcia kapitału zagranicznego, jednocześnie potraktujemy jako owe małe mity twierdzenia, że: prywatyzacja przyniesie szybkie zmiany struktury produkcji, kapitał obcy zbuduje nowoczesny przemysł, a otwarcie rynku natychmiast doprowadzi do obniżki kosztów krajowej produkcji. Mogą to być działania pozytywne o charakterze uzupełniającym, ale ich skuteczność jest ograniczona. Naprawdę ruszyć gospodarkę można tylko przy pomocy spójnego programu gospodarczego, nastawionego na pobudzenie uśpionego przemysłu i zaktywizowanie rzesz bezrobotnych.

14. 5. 1993

Stanisław POLACZEK

W A W E L

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Wywiady „Kultury”

Rozmowa z wicemarszałkiem parlamentu stanu Queensland, Henrykiem Pałaszczukiem

WOJCIECH POPLAWSKI: — Czy urodził się Pan w Australii?

HENRYK PAŁASZCZUK: — Nie, urodziłem się w Niemczech. Moja matka pochodzi z Krakowa, a ojciec ze wschodnich kresów. Stąd nazwisko Pałaszczuk.

W.P.: — Wychowany Pan został i wykształcony całkowicie w Australii?

H.P.: — Tak, oczywiście. Ukończyłem katolickie szkoły: podstawową w Darra¹ a średnią w Ipswich².

W.P.: — Jest Pan obecnie wicemarszałkiem Parlamentu Stanowego i Przewodniczącym Komitetów Parlamentarnych. Proszę mi wyjaśnić, jakie są Pana obowiązki?

H.P.: — W systemie westminsterskim, który obowiązuje w Australii, wicemarszałek przewodniczy obradom parlamentu większość czasu poza pierwszym krótkim okresem, kiedy to przewodniczy marszałek. Dodatkowo przewodniczę pracom komitetów, które przygotowują różne ustawy. W sumie około 12 godzin przewodniczenia w porównaniu z około półtorej godziny marszałka.

1. Uboga dzielnica Brisbane.
2. Górnicze miasto 40 km od Brisbane.

W.P.: — Grupa polska, która liczy w Australii około 150.000 osób często dobrze wykształconych, nie ma praktycznie wpływu na politykę tego kraju. O ile się orientuję, jedynie Pan — a poprzednio Leisha Harvey (Piasecka) z Partii Narodowej — doszedł do poważniejszych stanowisk politycznych w Queensland. Czym Pan tłumaczy tak mały udział Polaków w życiu politycznym Australii?

H.P.: — Sądzę, że trzeba zacząć od składu osobowego grupy polskiej. Do Australii Polacy przyjechali (i dalej przyjeżdżają) w trzech głównych falach. Pierwsza grupa po drugiej wojnie światowej. Druga na początku lat 80-tych, a trzecia przyjeżdża obecnie (najmniej liczna — WP). Ja należę do tej pierwszej grupy. Moi rodzice zaczęli zupełnie nowe życie. Byli zmuszeni do bardzo ciężkiej pracy i ich priorytetem było dobre wykształcenie dzieci. Część Polaków starała się wybić w naukach ścisłych; musieli bardzo ciężko pracować, aby osiągnąć sukces zawodowy i nie mieli czasu, aby zajmować się polityką. To samo dotyczy tych, którzy zajęli się rzemiosłem, zakładaniem drobnych przedsiębiorstw. Dodatkowym utrudnieniem były kłopoty z uznaniem kwalifikacji. W sumie ilość ludzi zdolnych do poświęcenia się polityce była znikoma. Właściwie tylko nauczyciele, którzy mają 11 tygodni urlopu, a godziny pracy pomiędzy 9 rano i 3 po południu, mają dużo wolnego czasu, by być czynnym w życiu społecznym. U nauczyciela wyczerlenie społeczne wrasta automatycznie i dlatego są to właściwie jedyni ludzie, którzy mogą zająć się polityką. Zarówno ja jak i Leisha Harvey, minister w poprzednim rządzie Partii Narodowej, jesteśmy nauczycielami. Ale niewiele polskich dzieci zostało nauczycielami. Większość starała się wybić w innych zawodach.

W.P.: — Niestety niewielu Polaków zajęło się prawem, które jest drugą drogą do polityki.

H.P.: — Tak, to prawda, ale trzecie pokolenie Polaków studiuje prawo jak np. moja córka, która ma 23 lata i studiuje na Uniwersytecie Queenslandzkim. Jest bardzo aktywna w Partii Pracy i dąży do tego aby zostać pierwszym premierem kobietą rządu federalnego³, będąc w dodatku pochodzenia etnicznego. Trzecie pokolenie będzie prawdopodobnie znacznie bardziej związane z polityką niż poprzednie.

3. Jest rzecznikiem prasowym federalnego ministra łączności i jednocześnie kończy prawo.

W.P.: — Do tej pory nie doczekaliśmy się wybitnych kapitanów przemysłu polskiego pochodzenia, mimo, że jest grupa zamożnych ludzi w naszym środowisku. Nie mamy nikogo takiego jak Sir Peter Abeles (Węgry — linie lotnicze), czy Sir Aarvi Paarbo (Łotwa — przemysł wydobywczy i stalowy). Czym to wytłumaczyć?

H.P.: — To prawda. Czy jednak wielu Węgrów czy Łotyszów ma sukcesy w zawodach ścisłych? Trzeba patrzeć na wszystkie zawody. Polacy mają większe osiągnięcia w zawodach ścisłych. Poza tym jestem przekonany, że już niedługo będziemy mieć kapitanów przemysłu. Wierzę głęboko w możliwości polskiej młodzieży, jak również ludzi mojego pokolenia.

W.P.: — Obie duże partie polityczne uważają, że obecnie należy ograniczyć liczbę zezwoleń imigracyjnych, ze względu na recesję w Australii. Jest to chyba sensowne dla krótkoterminowych interesów Australii. Prof. Zubrzycki w Kulturze twierdzi, że krótkowzroczność krajów rozwiniętych i korupcja elit krajów rozwijających się może doprowadzić do dużych zaburzeń pomiędzy południem i północą na skutek zwiększającej się przepaści ekonomicznej. Pomoc dla krajów rozwijających się wymaga długoterminowych rozwiązań. Co my możemy zrobić?

H.P.: — Po pierwsze popatrzmy na Australię w stosunku do reszty świata. Australia ze względu na swoje położenie i związaną z tym swoistą izolację jest uważana za mało ważne państwo. Mówiąc krótko, my mamy bardzo mały wpływ na wielkość pomocy. Niemniej wierzę głęboko, że powinniśmy popierać imigrację. Nie powinniśmy zmniejszać ilości zezwoleń, ponieważ widać, że wychodzimy z recesji.

W.P.: — Ilu ludzi może Australia utrzymać przy obecnym poziomie technologii zaopatrzenia w wodę? Przecież Australia to bardzo suchy kontynent?

H.P.: — O ile wiem, to około 50 mln. Obecnie mamy 17 mln mieszkańców.

W.P.: — Przy nie zmienionym poziomie technologii?

H.P.: — Tak. Wróćmy do stosunków Północ-Południe. Uważam, że Afryka i Południowa Ameryka to śpiące giganty, bardzo bogate w zasoby naturalne. Kontynenty te zostaną w końcu rozwinięte gospodarczo. W miarę rozwoju będą traciły

status krajów trzeciego świata. Są to kraje, na które Australia powinna zwrócić szczególną uwagę w sensie współpracy gospodarczej i przede wszystkim pomocy.

W.P.: — *Poprawa standardu życia na kontynencie afrykańskim to wciąż kwestia 20 do 30 lat. Tymczasem ludzie głodują i korupcja się pełni. Wiemy dobrze, że ustroj demokratyczny ma zasadniczo szansę w krajach o dość wysokim standardzie życia. Co możemy zrobić, żeby zmienić obecną sytuację?*

H.P.: — Uważam, że my jako kraj rozwinięty nie powinniśmy starać się narzucać naszego systemu politycznego. Oni muszą sami zmienić swój system. My powinniśmy starać się zaspokoić podstawowe potrzeby ludności w tych krajach, takie jak żywność i warunki zdrowotne. Cała reszta sama ulegnie z czasem poprawie.

W.P.: — *Czy nie sądzi Pan jednak, że pomoc powinna być zwiększona? Że będzie to wymagało pewnych poświęceń ze strony krajów rozwiniętych, włącznie z obniżeniem standardu życia?*

H.P.: — Nie wydaje mi się, że obniżenie standardu życia u nas jest konieczne. Wydaje mi się, że kraje rozwinięte wypracowały pewne ramy udzielania pomocy gospodarczej. W każdym razie my w Australii dokonujemy całkiem rozsądnego wyboru co do rodzaju pomocy. Nie posyłamy pieniędzy. Jeżeli jakiś kraj ma problemy np. z zaopatrzeniem w wodę, używamy pieniędzy na sprowadzenie ich specjalistów i szkolenie ich w Australii po to, żeby te rozwiązania zastosować w ich krajach. Moim zdaniem nasza gospodarka może na tym tylko skorzystać. Nie sądzę, żeby pomoc musiała koniecznie spowodować obniżenie standardu życia, przeciwnie, może wzbogacić nasz kraj.

W.P.: — *Właśnie na tym polega problem. Wielu specjalistów twierdzi, że jak dotychczas pomoc wzbogaca kraje udzielające, a nie kraje odbierające. Krótko mówiąc, pomoc jest nieskuteczna.*

H.P.: — Nie zgadzam się z tym. Jeżeli się ich uczy nowych technologii, w końcu musi to przynieść im korzyści. Dostawy żywności są czasem niezbędne. Istotnie w przeszłości były trudności ze sprawiedliwym rozdziałem. Wydaje się, że społeczność światowa wyciągnęła lekcję z popełnionych

błędów. Fakt, że nasi żołnierze w Somalii ochraniają punkty rozdziału i uczestniczą w rozdziale żywności przeciwdziała w dużej mierze marnotrawieniu pomocy.

W.P.: — *Jakie jest miejsce Australii w Azji?*

H.P.: — Moim zdaniem przyszłość Australii jest w Azji. Czy nam się to podoba czy nie. Wspólnota Europejska staje się potężnym blokiem handlowym. Europa utrudnia wymianę handlową z krajami spoza wspólnoty. Podobna sytuacja jest z Ameryką. W efekcie do współpracy gospodarczej pozostaje jedynie Azja. Co więcej, kraje azjatyckie coraz częściej akceptują Australię jako kraj azjatycki.

W.P.: — *Czyżby?*

H.P.: — Tak, z jednym zastrzeżeniem. Nie podoba im się, że naszym monarchą jest Królowa Anglii. Oni akceptowaliby nas o wiele lepiej, gdybyśmy byli republiką.

O ile wiem, obecnie 70% naszego eksportu idzie do Azji. Co ważniejsze, jest to nie tylko eksport surowców i produktów rolniczych, ale w dużej mierze technologii. Czasami trudno uwierzyć, że eksportujemy technologie do Azji.

W.P.: — *Nasza wymiana gospodarcza jest ukierunkowana na kraje azjatyckie. Jakie widzi Pan możliwości wymiany handlowej z młodymi demokracjami Centralnej i Wschodniej Europy, a w szczególności z Polską?*

H.P.: — To jest dla nas bardzo ważne. Jestem przekonany, że przedsięwzięcia typu *joint-ventures* z polskimi zakładami mogą przynieść korzyści obu stronom. Polacy uzyskają nową bazę przemysłową, a my trochę zarobimy. Przypuszczam, że australijscy przedsiębiorcy będą inwestowali na giełdzie w Polskę.

Nie zapominajmy również, że w ramach łączenia rodzin wielu wysoko wykwalifikowanych Polaków przyjechało do nas na stałe i ciągle przyjeżdża. Oni przyczyniają się do rozwoju Australii i mogą stanowić siłę napędową współpracy z Polską.

Nie zapominajmy również, że Polska i inne kraje tego rejonu nie są jeszcze związane ze Wspólnotą Europejską i dlatego współpraca gospodarcza z tymi krajami jest łatwiejsza.

W.P.: — *W teorii ma Pan rację. Z doświadczenia wiem jednak, że nie jest to proste. Dwa lata temu starałem się doprowadzić do joint-venture pomiędzy firmą w Brisbane produkującą*

cę czujniki elektroniczne i nowo powstającą firmą w Warszawie. Dyrektor firmy z Brisbane napisał list intencyjny, który przetłumaczyłem na polski. List ten nie został wysłany, bo jak podejrzewam AUSTRADE⁴ odradził. Co Pan na to?

H.P.: — Odpowiem Panu jednym zdaniem. AUSTRADE utrudnia współpracę od szeregu lat. Pana wypadek nie jest wyjątkiem. Im szybciej potrząśniemy tą organizacją, tym lepiej na tym wyjdziemy. O ile się nie mylę, zmiany w tej organizacji już zapoczątkowano. Na szczęście są inne programy współpracy gospodarczej, które można wykorzystać.

Polska grupa etniczna jest dobrze wykształcona. Ludzie ci na ogół są dobrymi pracownikami. Uważam, że w wielokulturowym kraju jakim jest Australia nie powinniśmy zapominać, skąd przyszliśmy. Wierzę głęboko, że bez okazania szacunku czy nawet miłości dla kraju pochodzenia nie można okazać szacunku i miłości nowej ojczyźnie. Dlatego powinniśmy wspierać polski język i polską kulturę na tym terenie.

Brisbane, 1 kwietnia 1993 r.

Rozmawiał W. POPLAWSKI

4. Organizacja promująca współpracę gospodarczą z innymi krajami.

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Chcąc przypomnieć sobie, o czym pisałem w ubiegłym miesiącu, zajrzałem do majowej *Kultury*, która właśnie nadeszła, i odkryłem, że w rozdziale „Sąsiedzi” na pierwszym miejscu figuruje artykuł o Ukrainie, na drugim o polskim uniwersytecie w Wilnie, a dopiero potem pojawia się Rosja. Zaintrygowany, przejrzałem kilka poprzednich numerów: to samo. Widocznie naczelny redaktor postanowił zdecydowanie obniżyć pozycję państwa moskiewskiego w hierarchii sąsiadów Polski. Jak dawniej mawiano: *sic transit gloria mundi*.

Jeśli rozpatrywać rzecz w perspektywie kilku dziesiątków lat, decyzja Redaktora wydaje mi się dyskusyjna. Dziś natomiast, to fakt, Rosja zajęta jest tylko sobą. Miesiąc, który upłynął od zamknięcia poprzednich „Notatek”, potwierdza to. Referendum odbyło się i dało niespodziewany wynik. Dzień przed referendum przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego Komunistycznej Partii Rosji, Gennadij Ziuganow, udzielił wyborcom na łamach *Prawdy* (3.4.93) cennych wskazówek: „Na pierwsze pytanie: 'Czy ma Pan/Pani zaufanie do Prezydenta Rosyjskiej Federacji B.N. Jelcyna?' — odpowiedź 'nie'. Na drugie pytanie: 'Czy zgadza się Pan/Pani z polityką społeczno-ekonomiczną prezydenta i rządu w 1992 roku?' — odpowiedź jeszcze bardziej stanowczo 'nie'. Na trzecie pytanie: 'Czy uważa Pan/Pani, że należy przeprowadzić przedterminowe wybory prezydenta?' — odpowiedź oczywiście 'tak'. Wreszcie czwarte pytanie: 'Czy uważa Pan/Pani, że należy koniecznie przeprowadzić przedterminowe wybory deputowanych ludowych Federacji Rosyjskiej' — uważamy za wskazane odpowiedzieć 'nie'”.

Wrogość wobec referendum jednego z przywódców jednej z komunistycznych partii i równocześnie Frontu Ocalenia

Narodowego nie jest niczym dziwnym. Ale przeciw referendum wypowiedział się również znany dziennikarz Aleksander Cypko, zwany „filozofem-demokratą”, współpracownik Fundacji Gorbaczowa. „Referendum nikomu nie jest potrzebne” — zatyłował swój artykuł w gazecie *Wieziernij Klub* (17.4.93), w którym z temperamentem bronił tezy, że referendum jest nie tylko zbędne, ale wręcz szkodliwe. Wstępując na grząski grunt prognoz, Aleksander Cypko przewiduje, że „prezydent zapewne zbierze 38-40 % głosów”. Historyk Leonid Batkin, przekonany demokratą, analizuje w obszernym artykule (*Izwiestia*, 4.4.93) ukryty sens pytań referendum i specjalnie podkreśla przewrotność pytania drugiego (o politykę społeczno-ekonomiczną w 1992 roku). Leonid Batkin nie ma wątpliwości, że „70-80 % ludności odpowie naturalnie nie. A mogłoby i 100 %...”

Łamy gazet były pełne pesymistycznych prognoz, w które trudno było wątpić, skoro nawet wiceprezydent Ruckoj stanął przeciw Jelcynowi. W razie przedterminowej dymisji bądź „zwolnienia” przez zjazd deputowanych ludowych (*impeachment*) fotel prezydencki automatycznie zająłby Ruckoj. Dnia 16 kwietnia bohater wojny afgańskiej generał Ruckoj rzucił karty na stół. Oświadczył mianowicie, że sam kandyduje do stanowiska prezydenta i na forum Rady Najwyższej przypuścił sensacyjny atak na Jelcyna i jego otoczenie, których oskarżył o korupcję, związki z mafią itd. Komunistyczno-nacjonalistyczna prasa poparła go z entuzjazmem.

Dziwnym trafem sondaże przeprowadzone wśród ludności nie potwierdziły pesymistycznych prognoz, potwierdziły natomiast głęboką myśl Jacques Chiraca, że trudno cokolwiek przewidywać, a zwłaszcza przyszłość. Cztery dni przed referendum (21.4.93) ukazały się w *Izwiestiach* wyniki sondażu na temat stosunku ludności Rosji do czołowych polityków. Pytanie brzmiało prosto: „Czy Pana/Pani zdaniem X. powinien ustąpić, czy nadal pełnić swoje funkcje?” Odpowiedzi były następujące: Borys Jelcyn: zostać — 67 %, zdymisjonować — 20 %, nie wiem — 13 %. Aleksander Ruckoj: odpowiednio 36 %, 36 % i 28 %; Rusłan Chasbułatow: 74 %, 15 %, 11 %.

Wyniki referendum zna dziś każdy, kto interesuje się Rosją, przypomnę jednak dla porządku oficjalne dane z 5 maja. Głosowało 64,5 % wyborców, na pierwsze pytanie „tak” odpowiedziało 58,7 %, „nie” — 39,2 %; na drugie: „tak” — 53 %, „nie” — 44,6 %; na trzecie: „tak” — 31,7 %, „nie” — 30,2 %; na czwarte: „tak” — 43,1 %, „nie” — 19,3 %.

W każdym demokratycznym państwie wyniki te uważano by za niewątpliwe zwycięstwo prezydenta. Ale Rosja dopiero wkroczyła na drogę demokracji. Dlatego Rada Najwyższa nie uznała zwycięstwa Jelcyna — zdaniem deputowanych liczyć należało nie głosy wyborców, lecz głosy wszystkich uprawnionych do głosowania. Geograficzna analiza wyników referendum świadczy, że za prezydentem wypowiedziały się masowo Moskwa, Petersburg, Jekaterinburg, Perm, nie głosowano natomiast w Czeczenii (tak się składa, że prezydent Rady Najwyższej Chasbułatow jest Czeczeńcem), w Tatarstanie (przedstawiciel tej republiki jest zastępcą Chasbułatowa), nie zaufali Jelcynowi również mieszkańcy niektórych rejonów Rosji środkowej i Syberii. Najważniejszy jednak jest fakt, że referendum w niczym nie zmieniło proporcji sił — potwierdziło tylko, że większość wyraża zaufanie Jelcynowi. Wyniki referendum nie mają siły prawa.

Zwolennicy prezydenta i część jego doradców, pomni, że w sierpniu 1991 r. prezydent Rosji nie wykorzystał możliwości, jakie dało mu zdławienie puczu, nalegali na to, aby natychmiast wykorzystać wyniki głosowania. Prezydent jednak i tym razem się nie spieszył. Wyniki referendum zanalizował dopiero 6 maja — między dwoma świętami, 1-szym i 9-tym maja. Pierwszego maja, który kiedyś był dniem międzynarodowej solidarności ludu roboczego, „patrioci” tzn. komuniści i skrajni nacjonaści (zdumiewający widok powiewających obok siebie czerwonych flag i czarno-białych-żółtych sztandarów carskich — a nie rosyjskiej flagi narodowej, która uchodzi za jelcynowską — na nikim już nie robi wrażenia) starli się z milicją. Pierwsze szeregi „patriotycznej” demonstracji, zbrojne w żelazne drągi i cepy, rzuciły się na stróżów porządku, którzy mieli rozkaz nie przepuścić pochodu, ale też nie rozpędzać go. W rezultacie padło wielu rannych i jeden zabity milicjant.

Krwawe starcia były wygodne dla obu stron: telewizja mogła pokazać widzom prawdziwe oblicze „patriotów” (antyjelcynowskie demonstracje odbyły się tylko w Moskwie), a „nasi”, jak sami siebie nazywają „patrioci”, pokazali, że są gotowi do następnych manifestacji z okazji Dnia Zwycięstwa. Przewidywano rzeź, początek wojny domowej. Tymczasem dziewiąty maja upłynął w absolutnym spokoju. Demonstrantów wpuszczono na Plac Czerwony, pomodlili się tam do swojego boga Lenina i rozeszli.

6-go maja Jelcyn przedstawił program działań. Składa się on z jednego punktu — uchwalenia nowej konstytucji. Prezy-

dent ma stuprocentową rację. Dopóki nie zostanie stworzona skuteczna struktura władzy, nie uda się w Rosji niczego zrobić, kraj będzie się staczał w coraz głębszą przepaść.

Zjazd deputowanych ludowych wyłonił w swoim czasie komisję konstytucyjną pod przewodnictwem Jelcyna. Konflikt z Radą Najwyższą skłonił prezydenta do utworzenia pozaparlamentarnej komisji, która przygotowała projekt konstytucji. Przewiduje on stworzenie w Rosji „republiki pół-prezydenckiej” typu francuskiego. Znaczący to, że rząd odpowiadać będzie nie tylko przed prezydentem, ale i przed parlamentem. Parlament zaś będzie dwuizbowy: jedna izba — Duma Państwowa — skupiać będzie przedstawicieli narodu, druga zaś — Rada Federacji — przedstawicieli 88 jednostek administracyjnych, które składają się na Federację Rosyjską.

Rada Najwyższa Rosji również przygotowuje projekt konstytucji, która ma na celu stworzenie w Rosji ustroju parlamentarnego. Wiadomo doskonale, że zjazd deputowanych ludowych nie przyjmie jelnynowskiego projektu. Borys Jelcyn odpowiedział na to zwołaniem na 5 czerwca zgromadzenia konstytucyjnego, które będzie składać się z dwóch przedstawicieli każdej jednostki administracyjnej, a także przedstawicieli prezydenta i zjazdu deputowanych ludowych (jeśli przyjdą). Zgromadzenie takie może uchwalić konstytucję, będzie to jednak naruszeniem obowiązującej obecnie konstytucji breżniewowskiej. Pragnąc przeciągnąć na swoją stronę członków Federacji, Borys Jelcyn włączył do swojego projektu konstytucji bardzo ryzykowny artykuł. Federacja Rosyjska składa się z autonomicznych obwodów, okręgów narodowościowych i po prostu obwodów. Każda z tych jednostek administracyjnych cieszy się — zgodnie z obecną konstytucją — różnymi prawami. Projekt nowej konstytucji przewiduje, że każda z 88 jednostek uzyska te same prawa samodzielnego państwa. Czyli zarówno Tatarstan jak np. obwód orenburski mogą stać się niezależnymi republikami.

Sądząc po słuchach, które dochodzą z Moskwy, zainteresowane strony szukają kompromisu. Niewykluczone, że oba projekty konstytucji — prezydenta i Rady Najwyższej — zostaną połączone w jeden. W przeciwnym wypadku — konflikt potrwa jeszcze długo. Niewykluczone też, że obie strony porozumieją się, jeżeli obecni deputowani (lub ich część) uzyskają gwarancje, że zostaną wybrani do nowego parlamentu. Ale to tylko przypuszczenia...

Niestabilna sytuacja polityczna w kraju związana jest także z tym, że walka między prezydentem i Radą Najwyższą,

między władzą wykonawczą i ustawodawczą rozszerza się na terenowe ogniska władzy. Republikańskie i obwodowe soviety walczą zażarcie z przedstawicielami prezydenta. W niektórych rejonach soviet odsunął od władzy przedstawiciela moskiewskiej administracji, w innych przeciwnie — gubernator skupił w swym ręku wszystkie dźwignie władzy. Na ogół walka nie kończy się ostatecznym zwycięstwem żadnej ze stron. Odsunięty przez soviet gubernator trwa na miejscu, soviet mimo ograniczonych praw dalej wydaje ukazy. Obie strony starają się zdobyć władzę nad prasą, telewizją i radiem: pozyskać sobie miejscowe gazety, kontrolować telewizję. Wyniki referendum ostudziły niektóre terenowe soviety, które przestały atakować miejscowych gubernatorów.

Sytuację w Czeczenii można uznać za wzór, ale także za zapowiedź przyszłości. Sytuacja w Groźnem niezwykle przypomina Moskwę. Prezydent autonomicznej republiki, która ogłosiła całkowitą suwerenność, generał Dżochar Dudajew, próbował rozwiązać zjazd deputowanych i uchwalić nową konstytucję, która zapewniłaby mu władzę absolutną. Opozycja czeczeńska zażądała przeprowadzenia referendum na wzór rosyjski i uchwalenia konstytucji, w której nie byłoby miejsca dla prezydenta. Różnica między Rosją i Czeczenią polega przede wszystkim na tym, że w kaukaskiej republice mężczyzna bez broni wygląda jakby był goły. Kiedyś obowiązkową częścią męskiego stroju był kindżał, dziś często obok białej broni wisi broń palna — pistolet albo karabin. Tylko zasada *vendetty* chroni Czeczenię przed wyludnieniem: wiadomo, że za każdego zabitego jego klan będzie przez wieki odpłacał krwią. Dlatego uzbrojona Czeczenia żyje dziś w atmosferze demokratycznej dyskusji o formie parlamentaryzmu, którą należy zaprowadzić w republice.

Borys Jelcyn, przewidując najwidoczniej rychłe demokratyczne walki, zmienia kadry na najwyższych szczeblach władzy. Przede wszystkim w aparacie prezydenckim. 11-go maja zwolnił sekretarza Rady Bezpieczeństwa Jurija Skokowa, jednego z dawnych głównych doradców prezydenta. Zwolnił także pierwszego wicepremiera Georgija Chiża. Obydwu zaliczano do „konserwatystów” i zwolenników stopniowych, powolnych reform. Można jednak podejrzewać, że ich zwolnienie związane jest nie z ich poglądami na gospodarkę, lecz z ich niedostateczną lojalnością wobec prezydenta. Podejrzewam to, gdyż Borys Jelcyn nie tylko zgodził się, by stanowisko premiera zajął Wiktor Czernomyrdin, bardzo umiarkowany zwolennik reform, ale też mianował pierwszym wice-

premierem Olega Łobowa. Oleg Łobow, były funkcjonariusz partyjny ze Swierdłowska z czasów, kiedy pierwszym sekretarzem tamtejszego *obkomu* był Jelcyń, jest klasycznym typem polityka minionej epoki. W czasie niedawnej podróży do Petersburga Wiktor Czernomyrdin powiedział kilka słów na temat dalszego rozwoju gospodarki rosyjskiej. Jego zdaniem całkowite zniesienie centralnego planowania było błędem. Należy — uważa premier — natychmiast wskrziesić „w nieco innej postaci” organy centralnego planowania i dystrybucji — *Gosplan* i *Gossnab*. Oleg Łobow uważa tak samo.

Wśród doradców prezydenta można rozróżnić dwie grupy. Pierwsza — zwolennicy szybkich i radykalnych reform — składa się z szefa Ośrodka Informacyjnego Michaiła Połtoranina i wicepremiera Siergieja Szachraja. Druga — ludzie, uważający, że należy hamować zmiany — to Czernomyrdin i Łobow. Prezydent lawiruje między jednymi i drugimi.

Wyniki referendum pokazały przede wszystkim niespodziewaną dojrzałość rosyjskich wyborców. Można oczywiście mówić o apatii i zmęczeniu nieustannymi grami politycznymi, które tylko pogarszają sytuację, o nawyku głosowania na tego, kto akurat sprawuje władzę. To wszystko niewątpliwie odegrało swoją rolę. Tym niemniej istniało wiele sposobów wyrażenia niezadowolenia, w szczególności bojkot referendum. Drugi wniosek: coraz wyraźniej widać, że słabną więzi między Moskwą i prowincją. Związane to jest zarówno z coraz większą słabością władzy centralnej jak z coraz większą samodzielnością władzy terenowej. Oba te procesy wspierają się nawzajem.

Nie widać bezpośredniego związku między wydarzeniami w Rosji a samobójstwem Argentyńczyka Jorge Romero, pośredni jednak nie jest wykluczony. Kilka dni temu zadzwonili do mnie przyjaciele, którzy mają możliwość oglądać w Paryżu rosyjską telewizję, i zapytali, czy słyszałem wiadomość, którą ogłosił moskiewski spiker. Wiadomość była krótka: „Aresztowany został mieszkaniec Ameryki Południowej Romero, związany z Fundacją Gorbaczowa”. Słyszałem o tym po raz pierwszy, pojęcia nie miałem, kim jest Romero, zdziwiłem się też dziwnemu określeniu „mieszkaniec Ameryki Południowej”. Żadna zachodnia gazeta w Paryżu słowem o tym nie wspomniała. Zagadka wyjaśniła się 13 maja, kiedy *International Herald Tribune* ogłosiła notatkę swojego korespondenta z Buenos Aires. Pisał on, że założyciel Fundacji „Kołokwium” Jorge Romero, który organizował podróż Michaiła Gorbaczowa po Ameryce Łacińskiej w listopadzie-grudniu 1992, po-

pełnił samobójstwo. Powodem było bankructwo Fundacji „Kołokwium”, która nie wytrzymała wydatków na podróż byłego genseka i prezydenta po Argentynie, Brazylii, Chili i Meksyku. Sam pobyt w Argentynie „drogiego Michaiła Siergiejewicza” kosztował 800 tys. dolarów.

Tragiczny los ostatniego (tak myślę) zwolennika M.S. Gorbaczowa jest podzwonnym kariery ojca *pieriestrojki*.

14.5.1993

Adam KRUCZEK

Ukraińskie sny o raketach

Ukraina odziedziczyła po moskiewskim imperium nie tylko rusyfikację, zniszczenie chłopstwa i rolnictwa, wytopienie elity intelektualnej, a wraz z tym zepchnięcie do roli kolonialnej prowincji. W niechcianym spadku znajdują się też zdobycze sowieckiej techniki: Czarnobyl, ogromny przemysł zbrojeniowy i konkretny produkt tego potencjału: arsenał rakiet atomowych. Przejęta odrazą do obcego — może z braku własnego — militarizmu, który u kołyski nowej niepodległości pojawił się na krótko w postaci moskiewskiego puczu, elita polityczna w parlamencie, mimo że zupełnie pstra ideologicznie i grupowo, proklamowała Ukrainę jako państwo neutralne i bezatomowe. Śladem Kijowa poszły dwie inne republiki, Białoruś i Kazachstan, naszpikowane raketami. Rosja pozostała przy starym statusie mocarstwa atomowego, chociaż nie wiadomo co by było, gdyby Zachód jednogłośnie za cenę pomocy gospodarczej zażądał zniszczenia rosyjskiej broni nuklearnej. Bezpośrednio po upadku puczu szansa taka istniała, lecz zamiast tego bez żadnych targów — na przykład drogą przyznania rotacji miejsca w Radzie Bezpieczeństwa dla trzech dotychczasowych członków ONZ, czyli Rosji, Białorusi i Ukrainy — od razu uznano Rosję za następczynię nieistniejącego ZSSR, co było z punktu widzenia prawa międzynarodowego nonsensem, zwłaszcza że inne części byłego imperium takiej sukcesji nie uznały. Po utworzeniu Wspólnoty Państw Niepodległych powzięto uchwałę (przy udziale Rosji), że wszystkie nowopowstałe państwa stały się równorzędnymi sukcesorami byłego Związku Sowieckiego.

Mijał czas, a wraz z nim euforia z powodu obranej drogi do neutralności i bezatomowości. Wnet też wystąpiły pierwsze symptomy wewnętrznej niespójności pomiędzy statusem neutralności a dążeniem do zapewnienia młodemu państwu zewnętrznego bezpieczeństwa. Okazało się, że świat ościenny bynajmniej nie kwapi się do uznania tej roli Ukrainy w jakiś szczególny sposób. Kijów nie spotkał się ani z pochwałami mężów stanu na Wschodzie i Zachodzie, ani też z gotowością sąsiadów do zawarcia choćby nieformalnych umów celem wypełnienia powstałej w miejsce niedawnego jeszcze Paktu Warszawskiego próżni. A kiedy północny sąsiad zaczął przejawiać nowe apetyty terytorialne i wojenne w formie żądań wobec Krymu, nieuznawania ukraińskich pretensji w sprawie podziału dawnego mienia sowieckiego za granicą, zapasów złota i dewiz, zaczął się proces najpierw cichego, a potem coraz głośniejszego odwrotu z pierwotnych pozycji idealistycznych. Nie rewidując formalnie zadeklarowanych na początku nowej państwowości moralizatorskich zasad w polityce zagranicznej, przystąpiono do poszukiwań i rozwiązań nacechowanych chaotycznością i improwizacją, bez najmniejszych konturów jakiegokolwiek przemyślanej koncepcji. Rzucono się na oślep w ramiona każdemu domniemanemu partnerowi, nie dbając ani o selekcję, ani o sens związków. W ten sposób powstawała na ruinach imperium nowa polityka zagraniczna Ukrainy. Jej cechą podstawową było rejestrowanie punktów w formie zbierania aktów uznania niepodległości i nawiązywanie stosunków dyplomatycznych. Odbijała się w tym przewodzie jakaś dziwna mieszanina prawie dziecinnej radości z powodu nieoczekiwanego cudu z naiwną wiarą, że czym więcej państw uzna państwo ukraińskie, tym trwalszą i niepodważalną będzie jego niepodległość.

Z czasem jednak w Kijowie zrozumiano, że proces ten, chociaż nieodzowny, nie przyniesie automatycznie oczekiwanych następstw i że polityką zagraniczną trzeba się zająć głębiej i poważniej. W ten sposób zaczął się pierwszy etap tworzenia priorytetów lub odpowiednich pozorów. Nie obyło się przy tym bez złudzeń i miraży, będących skutkiem długiej izolacji, błędnej oceny zagranicy i niezbyt dobrze poinformowanych rodaków z emigracji. Ci ostatni podszeptowali działaczom z Kijowa, że należy stawiać na Amerykę i Kanadę, bo tam jest baza w postaci diaspory, wmawiając naiwnym politykom w stolicy Ukrainy rzekome własne wpływy na kształtowanie polityki wschodniej w Waszyngtonie i Ottawie. Z biegiem czasu politycy ukraińscy przejrzeni tę grę i wyzbyli się

— choć z trudem — złudzeń na temat wpływów nieistniejących *lobby* za Oceanem. Z drugiej strony z braku funduszy i nieuczciwej gry Moskwy w kwestii podziału dawnych posowieckich nieruchomości Kijów był, i częściowo wciąż jeszcze jest, zdany na łaskę tamtejszej emigracji przy zakupie lub dzierżawie domostw pod ambasady i konsulaty. Przy bardziej oszczędnej polityce i lepszym handlu zagranicznym rząd ukraiński mógł z pewnością uniknąć tego niezbyt eleganckiego postępowania, nie przynoszącego mu sławy w kołach politycznych odpowiednich stolic.

Znowu minął kawał czasu, a wraz z nim pierwszy etap doświadczeń na międzynarodowym parkiecie. Na miejsce dość chaotycznej akcji przyszła prowizoryczna selekcja, ustalanie linii priorytetowych. Po jednej stronie znalazła się Rosja w podwójnej roli partnera i zagrożenia, w równym stopniu wymagających ogromnych wysiłków. Kielkujące tu i ówdzie koncepcje w rodzaju Międzymorza (Bałtyk — Morze Czarne) czy skupienia wokół Kijowa państw nierosyjskich nie znalazły poważnych prób realizacji. Dużym błędem było lekceważenie współpracy z Białorusią. Zaniedbano też zarówno państwa Azji Środkowej jak region Kaukazu. Natomiast stosunkowo wcześniej zadziergnięto związki z Turcją, mając na uwadze basen Morza Czarnego, oraz z Iranem ze względu na kryzys energetyczny i jednostronną zależność od dostaw rosyjskich. Równoległe do tych wysiłków rozbudowano zabiegi skierowane na zachód od Ukrainy, w stronę Niemiec, Polski, Węgier i Czechosłowacji. Z ostatnią nic na początku i potem nie wyszło. Czesi zupełnie zapomnieli o proukraińskiej polityce twórcy ich państwa, Masaryka, a Ukraińcy okazali się niezdolni do tego, aby im to w przyzwoity sposób przypomnieć. Z Niemcami też nie bardzo wyszło, bo strona ukraińska nie potrafiła w odpowiedni sposób przypomnieć ogromnych zniszczeń i mordów dokonanych podczas drugiej wojny światowej, a Niemcy bali się i boją po dziś dzień pomagać splądrowanej ongiś kolonii, aby nie wzbudzić gniewu Rosji. Zresztą i bez tego stare ciągotki prorosyjskie od czasów Piotra I, a przede wszystkim carcy Katarzyny, Tauroggów i Rapalla wciąż jeszcze są żywe. W każdym razie z osiemdziesięciu miliardów marek przyznanych w Bonn państwu byłego imperium, siedemdziesiąt dziewięć i pół popłynęło do Moskwy. W związku z tym ci, którzy od czasu do czasu piszą w Polsce o rzekomym flircie ukraińsko-niemieckim, winni wiedzieć, że flirt ten w porównaniu z rozbudowaną współpracą polsko-niemiecką nie wykazuje nawet jednego odsetka dochodów Warszawy z kooperacji z Bonn.

W orbicie usilnych akcji dyplomatycznych pozostały jeszcze Węgry i Polska. W obydwu wypadkach wysiłki dyplomacji ukraińskiej zakończyły się względny sukcesem. Z Węgrami szybciej i szerzej, z Polską później i chłodniej — nie z winy Kijowa. Z obydwoma sąsiadami zawarto solidne traktaty, ale współpraca nie sięgnęła wyżej podkarpackiego regionu, rzeczy niezwykle ważnej, ale w Polsce, w obliczu zaściankowego prowincjonalizmu nacjonalistycznego, bynajmniej nie traktowanej jako ważny etap na drodze do regionalnej wspólnoty. Jednak ani Budapeszt ani Warszawa nie wyraziły gotowości do podjęcia wysiłków wraz z Ukrainą do stworzenia systemu regionalnego bezpieczeństwa. Fiaskiem skończyły się też umizgi Kijowa do trójkąta czy obecnie czworokąta wyszehradzkiego i do dawnego sześciokąta, a obecnie Międzynarodowej Inicjatywy — dwóch raczej efemeryd niż istotnych sojuszków. Liczono przy tym bardziej na premier Suchocką niż na ministra spraw zagranicznych Polski, Skubiszewskiego. Kiedy plany te spaliły na panewce, rozczarowanie Ukraińców wobec pomostu polskiego na Zachód sięgnęło dna.

W końcu wysunęła się na powierzchnię kwestia broni nuklearnej. W maju 1992 Ukraina, Białoruś i Kazachstan podpisały tzw. Protokoły Lizbońskie w sprawie likwidacji rakiet międzykontynentalnych i przystąpienia do układu z 1968 roku o nierozpowszechnianiu broni nuklearnej (NRT). Taktyczną broń Ukraina przekazała Rosji celem zniszczenia już wcześniej, chociaż w tej kwestii nie ma wystarczających środków międzynarodowej kontroli. Ale dawny Związek Sowiecki umieścił na terytorium Ukrainy 176 balistycznych rakiet o zasięgu międzykontynentalnym, przeznaczonych w wypadku wojny Wschód-Zachód do wymierzenia ciosu Stanom Zjednoczonym. Zgodnie z traktatami pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą z 1991 i 1993 roku rakiety te miały być przekazane Rosji do zniszczenia. Zgodnie z obranym statusem wszystko wskazywało na to, że Ukraina wnet się tego arsenału pozbędzie. Tymczasem pod koniec 1992 roku nastąpił nagły zwrot. Wbrew zapowiedziom prezydenta Krawczuka i ministra spraw zagranicznych Zlenka o niechybnej ratyfikacji układów antynuklearnych wśród ukraińskiej elity politycznej zrodziła się fronda atomowa. Stało się to z trzech przyczyn: rosnącej destabilizacji w Rosji i odradzania się w Moskwie tendencji neoimperialistycznych, braku środków materialnych na zniszczenie rakiet i odrzucenia przez Zachód ukraińskich dezyderatów o gwarancji nietykalności terytorialnej i państwowej Ukrainy. W Kijowie wyłonił się dziwny sojusz na rzecz bojkotu przewodu ratyfikacyj-

nego, sięgający na swych prawicowo-radykalnych obrzeżach aż do groteskowego postulatu, aby zachować rakiety atomowe jako symbol „mocarstwowości” i gwarancji bezpieczeństwa.

W tej konstelacji znajdują się rzeszniczy ugrupowań nacjonalistycznych i konserwatywnych, przedstawiciele generacji i Związku Oficerów oraz grupy interesów przemysłu zbrojeniowego. Większość spośród nich nie zdaje sobie sprawy z faktu, że Ukraina mimo posiadania wymienionych rakiet nie ma podstawowych warunków do zachowania charakteru państwa atomowego. Nie posiada bowiem odpowiedniej technologii, nieodzownej kadry technicznej i obsługi, a co najważniejsze koniecznych funduszy. To, że fakty te nie zostały odpowiednio przedstawione w parlamencie i w opinii publicznej, jest winą zarówno prezydenta jak też resortu polityki zagranicznej, a przede wszystkim prasy, radia i telewizji. Zawiodł też Zachód, który miał przedstawić Ukrainie wszystkie plusem zrzeczenia się broni nuklearnej i minusy jej zachowania — jął się brutalnej presji niemal jak wobec jakiejś Panamy czy Haiti. Wzmogło to rzecz oczywista obóz ukraińskich „atomistów” i wraz z tym groźbę unieruchomienia antynuklearnego traktatu amerykańsko-rosyjskiego. Niestety, nowa administracja w Waszyngtonie zagrała pierwszą partię zmagających z Ukrainą w sposób żenująco infantylny. Dopiero po zwycięstwie Jelcyna w referendum, kiedy opadła gorączka strachu w Białym Domu i do głosu doszło kilku rozsądnych ludzi w otoczeniu Clintona, prezydent wysłał swego mentora w sprawach polityki wschodniej Talbotta do Kijowa. Główny inspirator nacisków na Ukrainę przebrał się w szaty Machiavellego i przedstawił nieufnym rozmówcom sielankowy obraz przyszłych stosunków amerykańsko-ukraińskich po oddaniu rakiet. Zdaje się, że jego argumenty nie przekonały głównych adwersarzy. „To była straszna taniocza” — oświadczył prywatnie jeden z ukraińskich partnerów wysłannika Clintona. Ale Talbott oświadczył w wywiadzie dla dziennika *Hołos Ukrainy*, że Stany Zjednoczone przemyślały kwestię stosunków z Ukrainą. Obecnie należy wykreślić z tych stosunków pojęcie „presja” i zastąpić je synonimem „partnerstwo”. I dodał, że Waszyngton pragnie udzielenia Ukrainie gwarancji bezpieczeństwa, gdyż od stabilizacji państwa ukraińskiego zależy w dużej mierze stabilizacja w Europie Wschodniej. Czyżby naprawdę zmiana kursu w Waszyngtonie względem Ukrainy? Poczekamy — zobaczymy.

Kijów, 16 maja 1993

Bohdan OSADCZUK

Zaolzie dziś

Przede wszystkim coraz więcej polskiej mowy. Byliśmy tu zamknięci przez ponad czterdzieści lat w swoistym getcie, odcięci od Polski niemal nieprzepuszczalną granicą na Olzie, która w r. 1920 przepołuowała Śląsk Cieszyński przez sam środek, przedzielając także jego stolicę. Umożliwiło to czechosłowackim władzom komunistycznym przyspieszenie naszego wynaradawiania, zapoczątkowanego w okresie międzywojennym. Po wojnie czechizowano nas niemalże pod przymusem, bo nie można było się bronić ani nawet protestować publicznie. Szczególnie pomocna w tym procederze okazała się tzw. industrializacja socjalistyczna naszego regionu, zasobnego w węgiel i huty. Do pracy przy budowie tzw. „stalowego serca republiki” przybyły do nas dziesiątki tysięcy pracowników z całej Republiki, którzy wraz z rodzinami w ogromnych osiedlach szybko majoryzowali naszych ludzi. Kiedy w połowie roku 1991, niemal po dwu latach od tzw. aksamitnej rewolucji w listopadzie 1989, rozluźniono nareszcie tę granicę, okazało się, że przez Olzę runęły w obie strony tłumy. Z Polski do nas większe.

Polszczyzna oraz (polskojęzyczna) gwara miejscowa zaczyna tu być dzięki temu znów słyszalna, czy nawet dominująca. Równocześnie uwypukliło się inne, w pewnym sensie niespodziewane, zjawisko. Oto po raz pierwszy w historii wzajemnego sąsiedztwa tych państw mieszkańcom Polski bardziej opłaca się czynić zakupy w Czechosłowacji, czy obecnie w „Czesku” — taką skrótową nazwę Czeskiej Republiki forsuja tutejsze *mass media*. Złoty polski, choć kosztuje mniej niż ćwierć halerza (za jedną koronę płaci się 520 złotych) okazuje się walutą twardszą od korony. Potwierdzają to dalsze dane. Przeciętna płaca w Polsce wynosi ponad 3.000.000 złotych, a u nas ponad 4.000 Kčs, czyli 2.000.000 zł. Natomiast stopa życiowa jest, pomimo tego, w obu krajach jednakowa (zawsze dotąd była zresztą w Polsce niższa) bo ceny są już w Polsce bardziej zbliżone do normalnych, kapitalistycznych. Dlatego mieszkańcom Polski bardziej opłaca się czynić zakupy w „Czesku”, choć nie w tym stopniu jak na przykład Austriakom czy Niemcom.

Efektem tych relacji jest zatłoczenie nadgranicznych miejscowości, w tym zwłaszcza Zaolzia, przez masy przybyszów

z Polski, kupujących trunki, drogie wędliny oraz słodczyce i owoce. Głównie jednak alkohole, bo są łatwe do przechowywania i upłynniania. Przedzieranie się w Cieszynie przez napierające tłumy obładowane ogromnymi torbami z brzęcząco stukliwą zawartością nie należy do przyjemności. To efekt uboczny szerzenia się polskiej mowy na ulicach lewo-brzeżnego Cieszyna.

Po podziale Czechosłowacji musimy dostosować się do nowych warunków. W Czeskiej Republice najliczniejszą mniejszość stanowią Słowacy, których tu żyje ponad 300.000, a teraz ich szybko przybywa w związku z obawami, że na Słowacji spadnie stopa życiowa. Prawdopodobnie jeszcze liczniejsi będą w „Czesku” Romowie (Cyganie), których liczbę oceniano w Czechosłowacji na 800.000, z czego około połowy w krajach czeskich. Są podobnie rozproszeni jak Słowacy i jeszcze bardziej od nich starają się obecnie przesiąkać do „Czeska”. W rozproszeniu żyją także Niemcy. Stosunek Czechów, zwłaszcza władz, diametralnie się do nich zmienił po upadku rządów komunistycznych. Są hołubieni. My Polacy, choć niemal najsłabsi liczebnie (liczba Niemców może się zwiększyć poprzez zadeklarowanie się miejscowych jeszcze nie całkiem szczehizowanych albo powrót niektórych spośród 3.000.000 deportowanych po wojnie) będziemy mniejszością najbardziej zwartą i zorganizowaną. Zrosniętą z ziemią ojców, na której stanowiliśmy w czasie podziału Śląska Cieszyńskiego w r. 1920 ponad 90 % mieszkańców, a obecnie jest nas tu już tylko około 20 %.

Słowacy będą się starali zasymilować, zostać Czechami, zwłaszcza że przybyli za pracą. Romowie również starają się asymilować, a zwłaszcza cywilizować, choć ci już ucywilizowani, wykształceni, zaczynają się trzymać swojego. Przy spisie w r. 1991 zgłosiło się jako Romowie ponad 100.000. Reszta podawała na Słowacji narodowość słowacką, a w krajach czeskich czeską. Znaczna ich część stanowi margines społeczny, z którym jest nieraz utożsamiana cała ich populacja.

Niejako na marginesie warto tu przytoczyć przyczyny tak ogromnej liczby Romów w Czechosłowacji. Oni sami uważają, że jest już ich znacznie ponad milion, po wojnie było ich poniżej 100.000. Otóż przez cały okres władzy komunistycznej w Czechosłowacji usiłowano zwiększyć przyrost naturalny. Wypłacano wysokie zasiłki rodzinne, wyższe na każde kolejne dziecko. Dotowano wyroby dla dzieci, żywność, odzież itd. Cyganom, bardzo płodnym w warunkach normalnych, po prostu się opłacało płodzić dzieci, a państwo je utrzymywało i przy okazji także rodziców.

W tej sytuacji będziemy musieli w owym „Czesku” liczyć głównie sami na siebie. Najpierw będzie trzeba powalczyć o wprowadzenie do konstytucji Czeskiej Republiki ustawodawstwa mniejszościowego, które tam nie jest sprecyzowane. Na szczęście mamy obecnie dobre oparcie w Macierzy. Krajowe instytucje wspomagają większość naszych poczynań. Przy rozluźnieniu a w końcu zaniku granic w czasie niezbyt odległym będzie owo wsparcie służyło odnowie i wzbogaceniu naszego narodowego bytowania.

Szkoda, że w tych zmienionych warunkach znajdziemy się niezbyt jednolici. W warunkach znacznej już demokracji aktywizują się także na Zaolziu siły wsteczne, supernacjonalistyczne, wnoszące wiele zgrzytów do naszego życia publicznego. Współpracują one z KPN Moczulskiego, a nieobce im są nawet dążenia do irredenty. Jest to w dzisiejszej Europie, zmierzającej do likwidacji i zacierania wszelkich granic i podziałów, tylko jątzerzenie. Może ono przeszkodzić żywiołowi polskiemu w odzyskiwaniu jego dominującej pozycji na Śląsku Cieszyńskim.

Z drugiej strony silne są wśród nas jeszcze wpływy wychowania komunistycznego. Tak zwana nomenklatura przeszła do opozycji czy nawet podziemia. Raczej lukratywnego, bo ludzie ci mają pieniądze, są ustosunkowani i łatwo im zdobywać poklask poprzez krytykowanie władz usiłujących sprywatyzować gospodarkę, co powoduje spadek stopy życiowej.

Takie jest jednak życie. Mam nadzieję, że będziemy na nie wpływali ku pożytkowi nie tylko nas, garstki kresowców z południa, lecz całego narodu polskiego.

Jan RUSNOK

Sprawy i troski

Polskie elity polityczne wobec zagrożenia ekologicznego

Sytuacja ekologiczna Europy Środkowo-Wschodniej, a zwłaszcza Polski, jest dramatyczna. Zwykle przejrzenie danych statystycznych dotyczących stanu zdrowia ludności czy też poziomu zanieczyszczeń uświadamia tragiczny rozmiar katastrofy ekologicznej tej części Europy. Do koszmarnego dziedzictwa komunizmu, wyrażającego się zarówno stanem dewastowanej przez czterdzieści lat przyrody jak i nierozwiązanym dotychczas problemem gigantycznego — nie mającego nic wspólnego z potrzebami kraju czy realiami światowej ekonomii — kompleksu wojskowo-przemysłowego, doszły nowe zagrożenia. Wymieńmy choćby „import” trujących odpadów z krajów wysoko uprzemysłowionych, głównie z Zachodniej Europy (interesujący raport na temat zalewu Polski przez toksyczne odpady z EWG sporządził ostatnio niemiecki *Greenpeace*). Przemysł materiałów radioaktywnych z terenów byłego ZSSR przybiera także nieznanne dotychczas w historii rozmiary. W 1992 roku Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej odnotowała około stu przypadków prób przemytu radionuklidów (Polska jest najważniejszym krajem tranzytowym) udaremnionych przez policję i służby celne różnych krajów. Krajami docelowymi są najczęściej kraje arabskie, ale także uczestnicy wojny domowej w byłej Jugosławii (zaledwie kilka miesięcy temu policja niemiecka zatrzymała transport uranu i czołgów, przeznaczony dla tej części Europy). Sytuację pogarsza fakt, iż wśród „zatrzymanych” przemycanych pierwiastków znajduje się także „strategiczny” pluton 239.

Polska, choć sama nie posiada centrali nuklearnej,

otoczona jest przestarzałymi, potencjalnie niebezpiecznymi reaktorami znajdującymi się tuż za jej granicami na terenie wszystkich sąsiadujących z nią państw (najbliższe to Ignalin na Litwie, Czarnobyl na Ukrainie i Sosnowy Bór w Rosji, wszystkie doznały ostatnio poważnych awarii). Zważywszy, iż według szacunków amerykańskich na bieżące prace i drobne jedynie usprawnienia (najczęściej system monitoringowy i przeciwpożarowy) elektrowni nuklearnych w Europie Wschodniej potrzeba około dwudziestu miliardów dolarów, a także na sytuację gospodarczą państw byłego RWPG (poza wschodnią częścią Niemiec) trudno jest liczyć na zmniejszenie niebezpieczeństwa w ciągu kilku najbliższych lat. W samej Polsce liczbę obiektów przemysłowych „groźących” katastrofą ekologiczną na dużą skalę szacuje się na 150! Należy także dodać, iż większość tzw. katastrof nas zaskakuje i często ma konsekwencje nieprzewidywalne nawet dla specjalistów. Taką „techniczną niespodzianką” był ostatnio choćby wypadek w hucie w Ostrowcu Świętokrzyskim, gdzie stwierdzono, że poziom promieniowania pyłów hutniczych przekracza kilkakrotnie dopuszczalne normy. Sto pięćdziesiąt ton pyłów zostało skażonych cezem 137, najprawdopodobniej po przetopieniu złomu „importowanego” z Ukrainy. Aby w pełni uświadomić sobie zagrożenia ekologiczne, wymienię kilka „niespodzianek”, opisywanych przez specjalistów z byłego ZSSR. Lokalne katastrofy genetyczne (zwiększenie liczby chorób dziedzicznych i patologii ciąży w wymiarze wiarygodnym statystycznie) w Leningradzie (prawdopodobnie w rezultacie wielu kolejnych awarii reaktora w Sosnowym Borze), w Armenii (gdzie jak udowodniono związane to jest ze skażeniem pestycydami), pojawienie się nowych mikroorganizmów chorobotwórczych (zachorowania najczęściej kończyły się zgonem) w metrze w Ałma-Acie, liczne zatrucia jadalnymi dotychczas gatunkami grzybów w Rosji i na Ukrainie (w konsekwencji naczelny lekarz Moskwy zakazał handlu grzybami w ubiegłym sezonie), nawrót epidemii cholery i gruźlicy, choć uznano te choroby za zwalczone w tej części świata, wysychanie Morza Aralskiego, znaczące zwiększenie częstości występowania nowotworów w niektórych regionach Kazachstanu (w związku z próbnymi eksplozjami atomowymi).

Problemy związane z ekologią stały się przyczyną napięć zarówno w polityce wewnętrznej (Żarnowiec, Klempic, zaporą na Dunajcu) jak i międzynarodowej (konflikt czesko-słowacko-węgierski o budowę zapory na Dunaju w Gabcz-kowie, czy też poparte obietnicą 500 milionów marek zabiegi

rządu Austrii o zamknięcie reaktorów w Jesłowskich Bohunicach).

W świetle przedstawionych faktów łatwo zrozumieć, iż zdefiniowanie polskiej polityki ekologicznej zapewniającej optymalne rozwiązanie istniejących problemów jak i jej skoordynowanie z polityką globalną (lub przynajmniej środkowoeuropejską) jest jednym z najpilniejszych zadań polskich elit politycznych. Polska mogłaby odgrywać kluczową rolę w Europie Środkowej także w sprawach ekologii. Najpoważniejszą przeszkodą w definiowaniu i realizowaniu polityki ekologicznej są właśnie polskie elity polityczne. Jest to zresztą przecież jeden z najpoważniejszych problemów nowych demokracji nie tylko w dziedzinie ekologii. W przypadku polityki dotyczącej ochrony środowiska mamy zresztą raczej do czynienia z wadliwym systemem selekcji urzędników niż z brakiem wykwalifikowanej kadry. W Polsce od wielu już lat na kilkunastu wyższych uczelniach różnego typu (zarówno uniwersyteckiego jak i technicznego) istnieją kierunki ochrony przyrody, nie brak więc wykształconych profesjonalistów, których łatwo byłoby przekształcić w kompetentną kadrę urzędniczą. Zresztą w przypadku ekologii, będącej przecież (w przeciwieństwie do polityki zagranicznej czy resortu bezpieczeństwa) zupełnym marginesem zainteresowań komunistów, nie brak i wśród starej kadry ludzi uczciwych i wysoko wykwalifikowanych. Tylko zupełnie irracjonalne (często bardzo niesprawiedliwe) postulaty dekomunizacyjne mogą zakładać odsunięcie ich z zajmowanych stanowisk. Być może kłopoty polityki ekologicznej można częściowo wytłumaczyć przepaścią, jaka dzieli w Polsce kadrę zawodową (wystarczy poczytać publikacje przyrodnicze wielu polskich autorów zarówno w prasie krajowej jak i zagranicznej) od elity politycznej. Z przerażeniem przeczytałem w *Gazecie Wyborczej*, że w trakcie sejmowej dyskusji nad prywatyzacją produkcji energii na sali obecnych było zaledwie trzydziestu posłów. Nie trzeba przecież kwalifikacji niezbędnych do kierowania państwem, aby wiedzieć, że kontrola produkcji energii jest obok zabezpieczenia suwerenności granic i polityki finansowej najważniejszym elementem funkcjonowania kraju, zachowania jego niepodległości i zagwarantowania możliwości rozwoju gospodarczego. Dyskusja nad przyszłością 142 zakładów energetycznych włącznie ze sprzedażą pakietu kontrolnego zagranicznemu kapitałowi (czy polski wywiad sprawdził, kto ten kapitał reprezentuje? czy posłowie zastanawiali się, jak państwo będzie realizować niezależną politykę, nie kontrolując pro-

dukcji energii?) interesowała „przedstawiciele narodu” w znacznie mniejszym stopniu niż dyskusja o aborcji (która zajęła polskim elitom trzy lata!) czy nawet łózkowe sensacje Anasztazji Potockiej. Świadczy to o niekompetencji, braku odpowiedzialności (zresztą przecież posłowie pobierają diety z kieszeni podatnika właśnie za pracę, tzn. między innymi za obecność w czasie dyskusowania decyzji tak ważnych dla przyszłości kraju) a nawet o całkowitej niezdolności do wypełniania powierzonej przez wyborców funkcji.

Zapewne jednym z nieszczęść Rzeczypospolitej jest nadmierne upolitycznienie stanowisk w administracji państwowej, a co za tym idzie dobieranie kadry administracyjnej (często nawet niskiego szczebla) z partyjnego (zazwyczaj towarzyskiego) klucza. Jakże zresztą można by inaczej wytłumaczyć odejście z ministerialnego stanowiska tak wybitnego specjalisty jak profesor Kozłowski (jedyne go ministra, który miał jasną wizję polityki ekologicznej). Jego kolejni następcy „zasłużyli się” polskiej przyrodzie: minister Nowicki nakazał wypełniającym rzetelnie swe obowiązki celnikom aby przepuścili przez granicę toksyczne odpady (naruszone zostały nie tylko kompetencje Ministra Ochrony Środowiska, ale także polskie prawo), Minister Hortmanowicz nie tylko popisywał się swoimi kwalifikacjami wpisując na listę zwierząt nieistniejące gatunki, ale także nakazał wystrzelanie łosi na dwóch trzecich terytorium Polski (decyzję cofnięto po interwencji dziennikarzy). Ten ostatni tłumaczył się zresztą, iż przypadkowo podpisał dokumenty podsunięte mu w ministerstwie przez przeciwników politycznych (przy takiej argumentacji niedługo zapewne znów usłyszymy o wrogach ideologicznych, zrzucających stonkę ziemniaczaną na polskie uprawy)! Sytuacja, w której stanowisko Ministra Ochrony Środowiska jest bardzo słabą kartą przetargową w międzypartyjnej grze i najczęściej nagrodą pocieszenia dla słabszego sojusznika w koalicji, nie wróży nic dobrego polityce ekologicznej. Nowa elita, traktująca wolny rynek jako panaceum na wszystkie problemy i idealizująca (może raczej ideologizująca) skrajnie liberalne postrzeganie świata, daleka jest od zrozumienia problemów ekologicznych, często trudno przeliczalnych na gotówkę lub o konsekwencjach, które odczuwać będziemy dopiero za kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt lat. Stąd zapewne decyzje o obniżeniu kar dla trucicieli (liberałowie ratują nierentowne państwowe molochy!) czy podwyższeniu ceł dla importowanej produkcji proekologicznej (choć liberałowie z założenia powinni raczej obniżać cła) czy też propozycje

spląty części długu drewnem (czyli programowe zwiększenie wycięcia lasów). Zapatrzeni, niczym w wolnorynkowy raj, w Stany Zjednoczone, decydenci nowej Polski jakoś niechętnie wprowadzają w życie amerykańską zasadę „truciciel płaci”. W polityce ekologicznej Polski widać zresztą jakże nieprzyjemne nawyki elity politycznej środkowo-wschodniej Europy, a więc pogardę dla obywateli wyrażającą się w niejawności działań (coraz częściej dziennikarze donoszą o ograniczeniu dostępu do informacji, praktyka ta przyjęła już tak niepokojące rozmiary, że zajął się nią rzecznik praw obywatelskich). Jakże obce zachodniej cywilizacji (do której odwołują się tak chętnie nowe elity) poczucie pogardy dla prawa doprowadziło do wysuwania przez Ministerstwo Transportu i Gospodarki Wodnej propozycji zatapiania radioaktywnych odpadów w oceanie, praktyki zakazanej przez prawo międzynarodowe Konwencją Londyńską, którą przecież Polska ratyfikowała. Dorzucić należy także wszechobecną korupcję, która — choć jeszcze nie osiągnęła poziomu bułgarskiego (w kraju tym przez rok wstrzymywano podpisanie kontraktu na renowację reaktora w Kozłodoju, urzędnicy liczyli bowiem na „prezenty” od zachodnich kontrahentów) — to jednak zbyt często daje o sobie znać także w sprawach ekologicznych.

Sytuację środowiska naturalnego pogarsza także antyeekologiczna polityka związków zawodowych. Solidarność leśników doprowadziła do tego, że w ubiegłym roku nie powstał w Polsce żaden nowy rezerwat (choć zwiększenie areału terenów chronionych jest z wielu powodów koniecznością), a zagrożony parcelacją był Mazurski Park Krajobrazowy. Związki zawodowe górników zanegowały zasadność opłat ekologicznych i eksploatacyjnych, choć przecież to właśnie mieszkańcy Śląska są najbardziej poszkodowani postępującą degradacją środowiskowych warunków zdrowotnych.

Fatalna polityka ekologiczna i niekompetencja nowej elity politycznej doprowadziła do pogorszenia i tak nienajlepszego obrazu Polski na świecie. Utrata wiarygodności związana jest z utratą kredytów i pomocy finansowej. W ten sposób utracono np. kredyty na budowę oczyszczalni gazów w Elektrowni Opole, czy oczyszczalni ścieków w Nowosądeckiem. Pod znakiem zapytania stoi także możliwość wykozystania przyznanych uprzednio kredytów na realizację programu dla Bałtyku.

Ekologia w krajach wysokorozwiniętych już od dawna przestała być wyłączną domeną działalności społecznikowskiej i naukowej, a stała się ważnym elementem polityki (także

zagranicznej i gospodarczej) państwa. Przeprowadzona przez niemiecką gazetę *Natur* ankieta wśród największych niemieckich banków (Dresdner Bank, DG Bank, West LB, Commerzbank, Deutsche Bank) w której dyrektorzy wszystkich banków stwierdzili, iż zagrożenie ekologiczne jest dla nich wystarczającym powodem odmowy kredytu (przedstawili także ekologiczne działania swoich banków, np. Commerzbank połowę swojego mecenatu poświęca ochronie przyrody) powinna dać wiele do myślenia skrajnie liberalnym decyden-
tom polskiej gospodarki.

Piotr DASZKIEWICZ

O fundacji ekumenicznej „Tolerancja”

Na początku roku 1993 grupa działaczy ekumenicznych i Unia Chrześcijańsko-Spółeczna postanowili powołać do życia Fundację Ekumeniczną „Tolerancja”.

Inicjatorzy Fundacji:

— Głosząc tolerancję, która każe szanować cudze poglądy, obyczaje i postawy uważają jednak, że na tym nie możemy poprzestać. Musimy dążyć do budowy społeczeństwa ekumenicznego, w którym drugi człowiek będzie w pełni akceptowany w swojej odmienności i inności.

— Widzą potrzebę łączenia sił i idei, która przeciwstawia się zjawiskom nietolerancji, nienawiści, braku poszanowania dla odmienności narodowych, politycznych i religijnych. Wszelkie przejawy nacjonalizmu, szowinizmu i antysemityzmu uważają za zamaskowaną lub jawną megalomanię narodową niegodną chrześcijan. Bezkrytyczny stosunek do dążeń i interesów własnego narodu oraz okazywanie pogardy i nienawiści wobec innych narodów — są nie do pogodzenia z zasadami wiary i etyki chrześcijańskiej.

— Sprzeciwiają się zdecydowanie głosicielom haseł szowinistycznych i antysemickich, skwapliwie powołującym się na swój katolicyzm i niejednokrotnie utożsamiającym polskość z katolicyzmem.

— W szerzeniu postawy ekumenicznej widzą moralną receptę na pokonanie piętrzących się w naszym kraju trudności.

CELE FUNDACJI BĘDĄ REALIZOWANE PRZEZ:

1. Wspieranie i podejmowanie publikacji prasowych, wydawniczych, radiowych, telewizyjnych przyczyniających się do współpracy ekumenicznej oraz służących rozwojowi kultury i oświaty zgodnie z wartościami opartymi na tolerancji i humanizmie.
2. Prowadzenie działalności odczytowej oraz organizowanie seminariów naukowych i sympozjów popularno-naukowych, krajowych i zagranicznych.
3. Prowadzenie badań, studiów i konsultacji w dziedzinach związanych z tematyką ekumeniczną oraz współpracy międzywyznaniowej i narodowościowej.
4. Przyznawanie nagród, stypendiów i staży zawodowych dla propagowania celów realizowanych przez Fundację.
5. Organizowanie konkursów o tematyce związanej z celami Fundacji.
6. Tworzenie klubów młodzieżowych służących rozwijaniu wartości ekumenicznych.

Przewodniczącym Rady Fundatorów jest Kazimierz Morawski, przewodniczącym społecznej Rady Fundacji — prof. dr hab. Tadeusz Koszarowski, wybitny onkolog, prezesem Zarządu Fundacji — dr hab. Karol Karski, teolog ewangelicki, wykładowca ekumenizmu w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie.

W działalności Fundacji uczestniczą także m.in.: poseł na Sejm prawosławny Eugeniusz Czykwini, poseł prof. Jacek Żochowski, mecenas Stanisław Podemski z *Polityki*, ksiądz Arkadiusz Nowak — opiekun chorych na AIDS.

Fundacja Ekumeniczna
TOLERANCJA
Al. J. Ch. Szucha 3
00-580 Warszawa

Kronika kulturalna

O elitach

Jednym z wydarzeń, które bez wątpienia przydają rumieńców nudnawemu w zasadzie życiu literackiemu w Polsce, jest przyznanie tegorocznej nagrody imienia Trakla, ufundowanej w zeszłym roku po raz pierwszy przez konsulat austriacki w Krakowie i przyznanej wówczas przez zacne grono jurorów, któremu, jeśli mnie pamięć nie myli, przewodniczył krytyk Jan Błoński, wybitnej poetce z Warszawy, Julii Hartwig. W tym roku jury nie mniej zacne, któremu blasku przydała obecność autora „Kadencji”, samego Jana Józefa Szczepańskiego, który w swym dziele opisał kradzież dawnego ZLP, przyznało nagrodę poecie mniej znanemu niż Julia Hartwig, ale przecież twórcy, który już znalazł swoje miejsce w narodowej literaturze — obecnemu prezesowi warszawskiego oddziału ukradzonego ZLP, Bohdanowi Urbanowskiemu.

Pisał on swego czasu, w roku 1986 na łamach czasopisma *Poezja*, nawiązując do niesławnych czasów socrealizmu i stalinizmu: „Poeci w rodzaju Słuckiego mogli tworzyć elitę kulturotwórczą w Polsce, nie mogli jednak tworzyć polskiej elity narodotwórczej”. Poeci w rodzaju Urbanowskiego — można powiedzieć, nawiązując do tego brawurowego aforyzmu — znajdują się w sytuacji dokładnie odwrotnej. Tak przynajmniej wnosić można z opublikowanego na łamach krakowskiej *Dekady Literackiej* wiersza laureata, zatytułowanego „Stary Jehowa”:

*Umart już stary Jehowa, handlarz mydłem
ale nie martwcie się wierni przyjaciele
wkrótce znów zobaczycie Go w Jego sklepiku
w różowym opakowaniu.*

Dekada zaleca upowszechnianie tej twórczości w języku niemieckim, mowie ojczyźnej Trakla, co bez wątpienia przyniesie sporo radości bijającym obcokrajowców grupom „elit narodotwórczych” nad Renem i Łabą. Przyznam, że choć przyzwyczajony jestem — jak każdy uczciwy i prawdziwy Polak — do nawet bardzo czarnego humoru, to przecież w tym wypadku moja wrażliwość okazuje się niedostateczna. Sam wiersz, skądinąd po prostu źle napisany (lecz w końcu nagrody rozdaje się u nas coraz częściej za utwory, które pisane są bez ładu i składu), jest zapewne w zamyśle autora wesołą fraszką. Po prostu boki zrywać: handlarz mydłem przerobiony na mydło! Śmiechu to nie wywoła, lecz znajomy skądinąd rechet — z pewnością. I na pewno też tekst ten dowodzi bezwzględnie, że Urbanowski należy do absolutnej czołówki „polskiej elity narodotwórczej”. I to, jak rozumiem, docenili wreszcie u niego ludzie stanowiący bez wątpienia autorytety życia kulturalnego.

Czas po temu już był najwyższy. Urbanowski bowiem od lat nękanym był przez różnych mniej odpowiedzialnych za naród i narodowe wartości pismaków, takich choćby, jak Jerzy Kwiatkowski, który stwierdzał przed laty: „Otóż, jeśli uważam artykuły Urbanowskiego za kuriozalne, to nie dlatego, żebym nie doceniał obowiązku i uczucia patriotyzmu. (...) Ale właśnie dlatego, że cenię je tak wysoko — działalność programowo-publicystyczną Urbanowskiego uważam w sumie za szkodliwą, paczy ona bowiem to pojęcie, kompromituje je, przesuwając w stronę pojęć o ujemnym polu semantycznym, w stronę postaw odstręczających”. Nie docenił też Kwiatkowski wartości poezji recenzowanego przez siebie autora — przytaczając jeden z jego utworów, komentował go sarkastycznie: „Będziemy mieli byczką poezję, panowie”.

I mamy. W przeciwieństwie jednak do Kwiatkowskiego, dzisiejsze elity intelektualne w kraju potrafią tę lirykę właściwie ocenić. W tym kontekście muszę się samokrytycznie przyznać, że do tych elit nie dorastam. I mam nadzieję, że nie dorosnę. Gdybym bowiem dorósł, musiałbym umieć pojąć, że przytoczony wyżej wiersz niesie w sobie jakieś wartości, na których strażnicy niewzruszenie stoją od lat tacy pisarze jak Błoński, autor dramatycznego szkicu „Biedny chrześcijanin patrzy na getto”, i Szczepański. Tymczasem, proszę wybaczyć prostactwo, tekst ten uważam za wyjątkowo obrzydliwy. I trzeba przyznać, że *Dekada*, drukując ten utwór w przeddzień obchodów 50-tej rocznicy powstania w getcie, wykazała dość swoiste poczucie taktu.

Cóż — żyjemy w społeczeństwie pluralistycznym i każdy ma prawo głosu, co jest niewątpliwie słuszne. Gorzej, że w naszej pogmatwanej rzeczywistości głosy te zlewają się w coraz mniej zróżnicowany bełkot i coraz też trudniej zrozumieć, o co komu chodzi i dlaczego. W tej sytuacji byłoby może celowe, by członkowie szanownego jury tegorocznej nagrody Trakla ogłosili nie tylko komunikat o przyznaniu tego wyróżnienia, lecz także zechcieli publicznie wyjaśnić, jakie to szczególne wartości zapragnęli w ten sposób uhonorować.

Leszek SZARUGA

Szaleństwo władzy i pustynia informacyjna

„Szaleństwo władzy” to tytuł książki Barbary W. Tuchman, która niedawno ukazała się w tłumaczeniu polskim¹, a wcześniej opublikowana została też w języku niemieckim pod znacznie mniej dyplomatycznie brzmiącym tytułem: „Głupota rządzących”².

Od razu we wstępie autorka amerykańska jakby formuluje tezę wiodącą, pisząc, iż: „Godnym uwagi, a dostrzegającym w całej historii fenomenem, niezależnym ani od epoki, ani od miejsca jest uprawianie przez rządy polityki sprzecznej z korzyścią własną”. W zakończeniu autorka wyraża pogląd, że: „Jeżeli niepowodzenie następuje po niepowodzeniu, wykazując w sposób oczywisty, że takie działanie jest nieracjonalne, wówczas nieusunięcie przyczyny jest klinicznym objawem szaleństwa”. W pracy analizuje się obszernie trzy historyczne przykłady „szaleństwa władzy”: zubożenie papieża renesansu na potrzeby wiernych, które doprowadziło do protestanckiej secesji; skostniałość brytyjskiej administracji, która doprowadziła do szybkiej utraty amerykańskich kolonii; wojna wietnamska, w której Ameryka sprzeniewierzyła się własnym ideałem.

1. Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 1992.

2. *Torheit der Regierenden*.

Oczywiście przykładów „szaleństwa władzy” można znajdować bardzo wiele, a niektóre z nich mogą być tak jaskrawe, że aż mało interesujące z punktu widzenia badawczego (np. Niemcy hitlerowskie, stalinowski Związek Sowiecki). Natomiast wydaje się, że wdzięcznym polem badań mogłyby być doświadczenia Polski na przestrzeni ostatnich czterech lat: czy i w jakiej mierze występujące w tym czasie rządy uprawiały politykę „sprzeczną z korzyścią własną”. Sugerując istnienie problemu, nie kuszę się tu o jego analizę, a tym bardziej o jego rozwiązanie. Chciałbym natomiast, nawiązując częściowo do własnych doświadczeń, poruszyć niewielki (choć ważny) fragment problemu, dotyczący informacji, czy raczej jej niedostatku.

Chodzi mi o informację w szerokim pojęciu, a więc nie tylko statystyki, czy sprawozdania, ale także gospodarcze koncepcje, zamierzenia, programy i dotyczące ich dyskusje. Przy zewnętrznie widocznej obfitości „słowa drukowanego”, mnogości pism codziennych i periodyków, uderza nieraz całkowity brak wiarygodnych danych ilościowych, nieprecyzyjny sposób formułowania ocen, wniosków czy propozycji, niechęć do publikowania wypowiedzi nie odpowiadających poglądom redakcji danego pisma, powierzchowność dyskusji. A oto kilka przykładów.

Od roku w *Biuletynie Statystycznym* Głównego Urzędu Statystycznego nie zamieszcza się danych statystycznych o obrotach polskiego handlu zagranicznego, a ze sporadycznych informacji prasowych wynika, że między szacunkami obrotów handlu zagranicznego za 1992 r., a (publikowanymi) płatnościami zagranicznymi z tytułu obrotów towarowych, zachodzą wielomiliardowe (w dolarach) niewyjaśnione różnice. Teoretycznie bardziej wiarygodne dane bilansu płatniczego są publikowane w tak dalece zagregowanej postaci, że niewiele z nich można dowiedzieć się i zapewne dlatego tak rzadko wykorzystywane są w oficjalnych wypowiedziach rządu, ministerstw itp.

Utrzymuje się — odziedziczone po socjalizmie — lekceważenie kompetencji i fachowej wiedzy. Dawniej zastępowano kompetencje przynależnością do jednej partii, dziś czyni się to w znacznie szerszym zakresie, bo jest wiele partii, do których przynależność zwalnia z obowiązku posiadania kompetencji. O ile jednak dawniej to lekceważenie kompetencji pozostawało dyskretnie raczej w ukryciu, dziś — zapewne w sposób niezamierzony — zyskuje solidną dokumentację w coraz to nowych publikacjach licznych polityków. Kto np. czy-

tał Jacka Kuronia „Kwadraturę koła”, czy zbiorowe dzieło (Adama Glapińskiego, Jarosława Kaczyńskiego, Antoniego Macierewicza i in.) „Lewy czerwcowy”, widzi dokładnie, jak autorzy mało mogą powiedzieć o dziedzinach, w których pretendują do sterowania losami prawie 40-milionowego społeczeństwa; jak dalece w ich rozważaniach gubią się sprawy bezrobocia i warunków bytu narodu, a na pierwszym planie lokują się polityczne gry i przetargi.

Niestety zmniejsza się nie tylko podaż informacji, ale również spada popyt na informacje. To ostatnie zjawisko chciałbym zilustrować pewnym osobistym i w gruncie rzeczy zabawnym doświadczeniem. Przed dziesięcioma laty, w 1983 r., ktoś z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych (wkrótce potem przemianowanej na Akademię Nauk Społecznych), zaproponował mi napisanie pracy dla potrzeb uczelni. Temat? Dowolny — brzmiała odpowiedź — tylko chcielibyśmy mieć wcześniej konspekt. Pracę napisałem, zyskała pozytywną recenzję, honorarium otrzymałem. Ze względu na pewne wyrażone w niej opinie nie została opublikowana. Ale wówczas owa „kuźnia kadr marksistowskich” wykazała wyraźne zainteresowanie poglądami niepartyjnego naukowca. Dziś zdarza mi się oferować z własnej inicjatywy krótkie notatki redakcyjnym, czy urzędowym i nie otrzymywać żadnej odpowiedzi.

Czy duże kłopoty gospodarcze kraju wynikają z „szaleństwa władzy uprawiającej politykę sprzeczną z korzyścią własną”, czy po prostu z braku poczucia odpowiedzialności ludzi władzę sprawujących, może być przedmiotem interesujących dociekań.

9. 4. 1993

Stanisław POLACZEK

Z nieznanych listów Józefa Czapskiego

Po zgonie Józefa Czapskiego wszystko co pozostawił po sobie, zarówno liczne płótna, jak i autografy, staje się bezcennym dokumentem Jego malarskiej i pisarskiej obecności w kulturze polskiej. W krakowskiej Bibliotece Polskiej Akademii Nauk

(dawniej Polskiej Akademii Umiejętności) znajduje się cenna korespondencja Jana i Hanny Rudzkiej Cybisów, a w niej wiele listów Marii i Józefa Czapskich. W dużej części są to listy z lat międzywojennych, ale jest też kilka z okresu po drugiej wojnie. Część przedwojenna jest równocześnie ogromnie wartościowym materiałem źródłowym do działalności grupy kapistów.

Listy Józefa Czapskiego do Cybisów są zarówno przykładem wielkiego, pełnego pasji zaangażowania artysty w sprawy malarskie, które były mu najbliższe, jak niezmiernie ciekawej i barwnej epistolografii, która wcześniej czy później powinna zostać wydana drukiem. Zwraca tu np. uwagę ostra polemika Czapskiego z *Głosem Plastyków*, którego współredaktorem był Cybis, szczególnie dwa listy z 1932 i 1938. Oto kilka wybranych fragmentów; pierwszy list pisał 22 III 1932 r. w Paryżu:

„Numer pierwszy, który wypuściliście, bardzo i bardzo mi dał do myślenia: chcę o tym szczerze pomówić. Wiesz jak zawsze myślałem o konieczności [?] pisma w Polsce 'plastycznego', — jak wasze doświadczenie jest przez to samo i dla mnie doświadczeniem, choć ręki do niego nie przyłożyłem.

Nie gniewaj się jak będę krytykował i stawiał moje zastrzeżenia — jest mi to samemu bardzo przykro — bo zawsze w K.P. ja byłem tym, który najwięcej gadał o Polsce i który najwięcej myślał o pracy — wtedy kiedy Ty mówiłeś, że 'Polska mnie nie interesuje', że '(...) masz Polskę w dupie'. Teraz kiedy Ty tam zabrałeś się do pracy chciałbym [tu słowo nieczytelne] tylko Cię zachęcać i tylko się cieszyć. Ale tak nie jest.

Zasadnicze pytanie, które sobie stawiam po przeczytaniu pierwszego numeru — jest czy można się rzucić na wydawanie pisma w Polsce plastycznego — bez żadnej siły stałej — fachowej — literackiej.

Literacki poziom tego numeru jest fatalny — język, redakcja, nawet Kroniki — wypadkowe, zła polszczyzna, ciężka. I złość mnie bierze jak patrzę na *Formę* — redagowaną przez takiego idiotę jak Waldemar Georges — jak myślę jak ona jest świetnie redagowana — właśnie dobór artykułów — kroniki — poziom ogólny. Tu nie chodzi bynajmniej o to, że jak mówi rosyjskie przysłowie 'bieda kiedy pierogi zaczną piec szewc'. Niedawno widziałem W. George'a, który mi przez godzinę wykladał o Cézannie (przeciw!!), o rzeźbie rzymskiej i o kursie antymurzyńskim (ostatnia nowalia paryska — 'Precz z Murzynami i Meksykami' — tradycja europejska — rzeźba rzymska itd. (...)

I myślę sobie czy warto żebyś Ty przez miesiąc nie malował, żeby napisać jeden drobny artykuł i przyczynić się do wydania marnego numeru tego pisma.

Namawiasz mnie żebym pisał a mnie, muszę przyznać, bardzo się pisać nie chce. Jestem bardzo w robocie — właściwie widzę tylko po pędzlach moich 'zamalowanych' aż do żelaza z przodu i zgryzionych aż do żelaza z tyłu, bo w pracy widzę tylko jeszcze mój pot i moje porażki. (...)

Coraz więcej widzę, że pisanie dla mnie od numeru do numeru — jest już nie dla mnie, ja mam dość własnej tandety (...)

Ty rozumiesz, że jest zasadnicza różnica między malarzem a żurnalistą — może żurnalistą i krytykiem nawet najpierwszej klasy — to to, że żurnalista musi naprawdę w nie wchodzić i je według ich jakichś własnych praw sądzić — (St. Beuve we Francji), a malarz (ja kiedy maluję czuję tę sprzeczność szalenie ostro) — patrzy interesownie tylko na tyle ile dla jego malarstwa dziś to jest potrzebne — ani trochę mu nie wolno patrzeć więcej, bo już mu szkodzi — i dlatego pismo nawet najbardziej malarskie o wyraźnej linii i kierunku musi mieć w swoim gronie ludzi, którzy patrzą i myślą — nie tylko jak ludzie, którzy sami malują.

Muszę powiedzieć, że gwałtowne listy Tadeusza nawołujące do pisma w Warszawie i Wasz pierwszy numer w Krakowie mnie prędzej oziębiły niż zachęciły do pisania — najprościej dlatego, że po 8 latach Paryża trzeba w Polsce zrobić pismo kiedy się będzie miało materiału, ludzi zdolnych pisać z poziomem — pod dostatkiem — a tak — boję się, że wysiłek jest niewspółmierny z rezultatem, że to odciąga Was wszystkich od malarstwa i rzuca na drogę — przecie nie waszą. Ja się boję, że zamiast Was zachęcić do Polski — taka robota zrobi, że jednego pięknego dnia Ty kurz z Twoich nóg zetrzesz, wyjedziesz do Paryża i raz jeszcze mocniej powiesz, że masz całą Polskę — kraj Pigmajów — w dupie. I to zdyskwalifikowanie Polski będzie u Ciebie nie obiektywne — najprościej się wpakowałeś do cudzej roboty. I tego ja nie chcę — bo jestem przekonany — że roboty wiele w Polsce trzeba zrobić. (...)

Pewnego rodzaju nawiązaniem do listu z 1932r. jest list z 15 lipca 1938r., kiedy wyszedł ostatni bodaj numer *Głosu Plastyków*:

„Uważasz *Głos Plastyków* ostatni za 'wygraną bitwę', po części masz rację (walka o Gierymskiego), nie przeszkadza to jednak, że są w tym numerze rzeczy okropne i kompromitujące. Uśmiechasz się dobrotliwie kiedy Ci o nich mówię i twierdzisz, że nie mam poczucia rzeczywistości, klepiesz mnie po ramieniu jak nieżyłowego *Schöngesta*. Otóż myślę, że się mylisz, w grach i gierkach związkowo-kawiarniano-społecznych orientujesz się lepiej ode mnie na pewno (choć to jeszcze znam bardzo niewiele, bo ja się [nie] orientuję wcale), ale jeżeli chodzi o dzień jutrzejszy zdaje mi się, że ja mam więcej niż Ty poczucia rzeczywistości, że Ty między skomplikowaną grą między przyszłym Goebbelsem sztuki (Szyszką), Lamem, który tępi Ukraińców i Żydów a Jerzym Stempowskim 'Żydomasonem' straciłeś poczucie perspektywy na jutro, nie wiesz jak na ten oportunistyczny na wszystkie strony reagują różni ludzie a przede wszystkim młodszy od nas. Na razie czas pracował dla nas, tzn. dla tego o co my walczyliśmy, ale dziś kiedy już różni Starzyńscy i Sienkiewiczowie [Jerzy, krytyk — przyp. mój J.D] robią karierki na Gierymskim i Michałowskim, cała walka o Gierymskiego staje się sprawą wczorajszą — już historycy i popularyzatorzy różnego autoramentu będą walczyć i powtarzać nasze słowa przez lata i za to otrzymywać pensję — głównie że Gierymski jest 'wygodny' dla nich, bo był dawno, bo maluje 'jak żywe', bo i stary Michalski z Funduszu gotów jest przed nimi skłonić głowę i Pani Sachsowa 'z przyjemnością' wieszka 'ulubionego' Gierymskiego, między monachijskim portretem i neoŻmurką. Jeżeli chodzi jednak o aktualność *Głos Plastyków* przestał być pismem bojowym, nawet o dniu wczorajszym nie śmie napisać i Matejko i Stachiewicz mają tam swoje miejsce, są pomieszani bez jakiegokolwiek ze strony Redakcji stosunku, a to i zwycięstwo walki o Gierymskiego stanie w świetle niepewnym.

Głos Plastyków jest pismem, które zrobiło ważną, zasadniczą robotę i ma prawo się skończyć albo musi być całkiem na nowo przebudowane. I lepiej o wiele, żeby przeszło w ręce nam obce, niż żeby miało w naszych, w Twoich rękach się staczać na tereny coraz bardziej ugodowe. A że niestety nie widzę nikogo, który by mógł to pismo wziąć Tobie z rąk i poprowadzić je lepiej, to chodzi tu o jedno o Ciebie. (...) Słuchaj mnie Janie, to nie zarzuty głosowe: Ty nie wypuścisz z pracowni płótna, jeżeli widzisz na tym płótnie nie zgraną płamę bo jesteś naprawdę malarzem, a nie kiczarzem, na wystawie zawsze Ci jest za wcześniej,

to co robisz wydaje Ci się zawsze nie dosyć dobre, ale kiedy chodzi o *Głos*, do którego masz przecie pasję, któremu oddajesz najlepsze siły, Ty się nawet nie rumienisz, kiedy uświęcone Twoim redaktorskim nazwiskiem wychodzą artykuły jak Sasa Terleckiego, nadające się do *Rycerza Niepokalanej* albo artykuł Gepperta o faszystowskiej sztuce, jałowy przedruk przedruku z mowy jakiegoś włoskiego Tretera (kilka lat temu nie wiem czy nie ten sam Maraini głosił, że każdy kto we Włoszech podda się wpływowi obcych, będzie uważany za zdraycę narodowego). Może, nawet na pewno ten artykuł służy 'astronomicznym' planom Szyszko Bohusza, tym bardziej śmierdzi w piśmie artystycznym taki oportunistyczny elaborat, którego by na pewno z braku poziomu nie przyjął dodatek niedzielny *I. K. C.*, a który Ty drukujesz na kredowym papierze. Hulewicz, który najgłośniej walczy o odżydzenie sztuki polskiej, namiętnie zwalczą 'naturalizm', jako pomyłkę i świństwo — jest przedrukowany jako autor 'niezwykle interesującego'!! artykułu i znowu tamte 'planowe' ogólniki à la Geppert i Maraini. To wszystko nie byłoby bynajmniej złe, gdyby Redaktor i Komitet Redakcyjny składał się z polskich faszystów, ale przecież tak nie jest i pismo robi wrażenie jakiegoś kosza na śmieci, gdzie można znaleźć wszystko i spotykam coraz częściej zarzut: 'Gdzie Redaktor?? najwidoczniej nie ma Redaktora', bo nikt nie może zrozumieć tej głęбини kombinacji, które zmuszają redaktorów nie dochodowego ideowego pisma drukować wszystko. Redaktorem jest Jan Cybis, do niedawna uważany za bombę ekrazytową, który jest już dziś oceniany jako jakiś neoSkoczylas, który tak samo jak tamten ma chlubne karty w dalekiej przeszłości (walka Skoczylasa z Zachętą), tak samo jak Skoczylas siedzi na dziesięciu stołkach i lansuje tandetę. Tamten Stryjeńską a ten Süssle Muszkietową i dziesiątki epigonów i karykatur Jana Cybisa i Hanki Rudzkiej-Cybisowej etc. (...)

Wniosek z mojego listu jest prosty — porzuć *Głos*, dosyć się naharowałeś, namęczyłeś, dosyć się 'zasłużyłeś' propagandzie i popularyzacji malarstwa w ogóle, wróć do dziedziny, w której jesteś pierwszorzędnym, w której istniejesz nie jako organizator, popularyzator, ale jako twórca. Ty sam dobrze wiesz, że ludzi, którzy mogą mieć takie jak Ty ambicje twórcze jest za mało, że zanadto jesteś nie do zastąpienia, żeby wolno było tak się marnować nawet dla najszlachetniejszych powodów

J."

Podał do druku Józef DUŻYK

STACJA NAUKOWA PAN W PARYŻU (placówka niedochodowa)

Zadaniem Stacji jest współpraca i rozwój stosunków francusko-polskich we wszystkich dziedzinach nauki i techniki poprzez m.in.:

1. promowanie we Francji polskich badań naukowych, a w Polsce badań francuskich;
2. wspólny rozwój pewnych badań naukowych;
3. wymianę dokumentacji naukowej i technicznej; utrzymywanie przy Stacji biblioteki i czytelnicy publicznej;
4. organizowanie pobytów naukowych specjalistów i techników oraz kontakty między naukowcami francuskimi i polskimi;
5. organizowanie konferencji, kolokwiów oraz kursów naukowych i technicznych;
6. wydawanie biuletynów bądź publikacji związanych z działalnością Stacji;
7. przydzielanie stypendiów badaczom lub studentom oraz pokoiów w budynku Stacji (art. 2 statutu placówki).

Legitymacja członkowska daje wolny wstęp do biblioteki oraz 50 % zniżki przy wejściu na imprezy organizowane przez Stację.

Roczna składka wynosi FF. 100, studenci korzystają z 50 % zniżki.

Przy zgłoszeniach należy podać: nazwisko, imię, zawód, adres, telefon.

Zgłoszenia należy kierować na adres Stacji:

Centre Scientifique de l'Académie Polonaise des Sciences
74, rue Lauriston
75016 Paris

Ci, co odeszli

Andrzej Jarecki czyli liryka obywatelska

Ktoś kiedyś ukuł o Andrzeju powiedzonko: „Polak z Żeromskiego”, i wydaje mi się, że pasuje to do niego jak żadne inne. Nie chodzi o to, że Andrzej miał od Bóg wie kiedy jakąś wyrazistą receptę dla Polski i Polaków, ani że skłonny był uderzać w wysokie tony. Wprost przeciwnie. Podobnie jak sam autor „Przedwiośnia” potrafił mylić się co do znaków i przeznaczeń. Ale posiadał coś w rodzaju bezbłędnej busoli moralnej. Nigdy nie myliło mu się świństwo z przyzwoitością, ani prawda z bujdą. Niczym owemu studentowi z powieści Zagajewskiego — robiło mu się „ciepło w głowę”, kiedy spotkał prawego człowieka.

Andrzej urodził się 3 maja 1933 roku. Ten Trzeci Maja to była dla niego bardzo odpowiednia data. Wychował się w domku pod Warszawą, w Radości, przy ulicy Artystów. Gdybyśmy wymagali od symboli zbyt wiele, to Andrzej powinien był wyrastać przy ulicy Artystów i Społeczników. Dobroci i wesołości nauczył się od matki, sceptycyzmu — chyba od brata, a bezinteresowności od ojca. Nigdy nie zapomnę jak starszy pan Jarecki skonstruował słynną abstrakcyjną maszynę do... produkcji Niczego! Andrzej chodził do dobrego, nieco przedwojennego gimnazjum i w tym gimnazjum miał przydomek Grzyb — również bardzo trafne. Bo Andrzej nigdy nie miał w sobie niczego chłopczykowatego, szczenięcego. Nawet czasem miałem mu to za złe, ale tak było: był dojrzały i bardziej zrównoważony od rówieśników. Właściwie od bardzo dawna nadawał się na dyplomatę, umiał w taktowny sposób powiedzieć to, co myśli — coś, czego ja nigdy nie potrafiłam; zawsze rezygnowałam albo z jednego, albo z drugiego.

Andrzej Jarecki skończył polonistykę na Uniwersytecie War-

szawskim jeszcze za stalinizmu, ale jak na tamte lata zainteresowania miał całkiem niebanalne. Podczas kiedy my — całe to odwilżowe towarzystwo — grzęźliśmy w Gałczyńskim, on pasjonował się... Witkacym. Znacznie później, kiedy z Jarkiem Abramowem pisywał Andrzej do STS-u tak zwane „operetki”, próbował w nieco studencki sposób ożywić witkacowego ducha i wpręgać go do październikowego rydwanu. Także i nas — całą grupkę STS-owców — przepoił owym duchem niebanalnych lektur.

Teatr STS powstał dawno, jeszcze w 1954 roku, a Andrzej — obok Jerzego Markuszewskiego, Henia Malechy, Witolda Dąbrowskiego i chyba Ziułki Utraty i Rudej Kuli — należał do najstarszych jego weteranów. Miał naturalnie przydomek Stary i był naszym duchowym, politycznym i towarzyskim parowozem. Teraz różne panienki-dziennikarki powiadają, że myśmy byli cyganerią i że nosiliśmy czarne swetry. To nieprawda. Jesteśmy „wysoko myleni”, ale jednak myleni. Ani my, ani nasi przywódcy nie należeliśmy do bohemistycznej bandy. Andrzej Jarecki oraz drugi nasz parowóz duchowy — Witold Dąbrowski — byli obaj całym sercem i głową rozpolitykowani i zapatrzeni w wolteriański racjonalizm. Witold reprezentował coś w rodzaju romantycznego komunizowania. Zwłaszcza w pierwszych latach istnienia teatru głosił dumnym wierszem, że błąkami się po bezdrożach PRL-u, bo „za mało w naszej krwi czerwonych ciałek”.

Andrzej był miększy, a przez to i bardziej głębszy. Ukuł termin „Liryka obywatelska” i temu to hasłu pozostał wierny do końca życia, a i nas — całą resztę — tej „liryki obywatelskiej” nauczył.

W niektórych szkicach, które Andrzej napisał dla STS-u — na przykład w „Ślepcach” — tkwiący w nim poeta sięgał daleko poza ramy tradycyjnego satyrycznego szkicu. Było w tym coś egzystencjalnego: jeden ślepiec prowadzi drugiego ślepcę... Miała to być partia i naród, ale było w tym też wiele innych, ciemnych znaczeń.

Dojrzewanie polityczne Andrzeja — a po trosze i nas wszystkich — ogromnie przyspieszył kontakt z *Kulturą Paryską*. To było jesienią 1957 roku. Razem z garstką przyjaciół z STS-u przyjechaliśmy na winobranie w okolice Dijon i życzliwy wiatr historii przywiał nas niemal natychmiast w progi Maisons-Laffitte. Właściwie to dwie grupy ludzi rzuciły się na siebie, jak istoty którym dawno chciało się pić. Gospodarze stęsknili się może za kimś młodym ze szczególnie niemal zamkniętego kraju. A my — na pewno — stęskniliśmy się za kimś mądrym. Zwłaszcza Andrzej po prostu zakwitł duchowo. W długich dysputach z ludźmi *Kultury*, a także z Michałowskim, a później Sulikiem,

pierwszy raz zetknął się z poglądami, które wykraczały daleko poza ramy uświęconej „ludzkiej twarzy” socjalizmu. Ze swoją nieomylną busolą człowieka prawego nabrał wtedy — jestem do dziś tego pewna — nowego wiatru w żagle.

Jednego, czego się Jędrak nie nauczył w Paryżu, to ubierać się. Myśmy zawsze byli znani z pogardy dla ciuchów i nigdy nie zapomnę, jak Zosia Hertz pożyczła mi bluzki, a ja ich potem nie umiałam nawet odprasować. Andrzej natomiast słynął z szarych sweterków zapinanych na suwak i zakupionych gdzieś w warszawskim pedecie, albo w GS-ie w Piszku.

Dopiero w Waszyngtonie, jako polski *attaché* kulturalny, sprawił sobie Jędrak pierwszy smoking, i wraz ze swoją młodą siwizną wyglądał w nim doskonale. Ale to wszystko właściwie nie jest ważne, ponieważ Andrzej zawsze był elegancki, a nawet wytworny. To była jakaś wykwićność duchowa, i ona to, obok świetnego poczucia humoru — trochę przedwojennego, a trochę arcy-nowoczesnego — ona to powodowała, że ludzie wrywali sobie Andrzeja, żeby prowadził rozmaite mediacje, reprezentował interesy, i tak dalej.

Ale Andrzeja nie interesowało coś takiego, jak interesy, nawet własne, nawet te najbardziej intymne: interesy literackie. Andrzej jako poeta nigdy właściwie nie nacisnął pedału do dechy. Do tego potrzebny jest egoizm, wściekły upór, zapatrzenie we własny pępek. Swój kryształowy talent poetycki przechowywał Andrzej gdzieś na dnie mazurskich zatok, o których śpiewał pięknie, ale przecież — mógłby piękniej... Krótko mówiąc — Andrzej na długie lata zdradził swoją żonę; nie miał czasu zostać poetą. Cały swój dar obcowania z ludźmi — no, prawie cały — złożył na ołtarzu wspólnej sprawy. Uparta i szlachetna działalność w Stowarzyszeniu Pisarzy, w Żaiksie, a w latach osiemdziesiątych — w podziemiu prasowym — na długie, długie miesiące i lata odrywała go od śpiewnego pióra poety. Kiedyś powiedział mi, że gdy będzie stary, napisze książkę o Ziemku Fedeckim — najbardziej ekscentrycznym i tajemniczym z naszych kolegów. Już nie zdąży.

Andrzej — ożeniony ze śliczną i dowcipną Marysią Chrząszczówną, ojciec dwojga utalentowanych i mądrych dzieci, poeta, działacz, waszyngtoński dyplomata i polski facecjonista — Andrzej ze wszystkiego umiał się śmiać, ale wobec jednego pozostawał bezbronny: wobec przyrody. Ostatnio, kiedy spotkał się w Nowym Jorku, powiedział mi że tęskni za zapachem obierzyn i za tym wielkim czarnym garem, w którym wiejska baba tłucze ziemniaki dla świń. A więc Andrzej, zapracowany w Waszyngtonie od rana do nocy, wiecznie w rozjazdach, wysłuchujący każdej i każdego, tęsknił całym swoim sercem za ukochanymi Mazurami i za wszystkimi roślinkami, które z Marysią posadzili

przed wyjazdem. Taki piękny mamy maj, i nagle — to się stało. Karwica Mazurska, Karwica!

Agnieszka OSIECKA

Andrzej JARECKI

KONIEC LATA

(ballada)

Kiedyś trzeba będzie umrzeć,
może szkoda, trudna rada.
Zgaśnie słońce, ścichnie szum drzew,
tak z jabłoni jabłko spada.

Niegdyś byłeś kwiatkiem wdzięcznym,
mogłeś gruszką być lub śliwką,
ale po co się tak męczyć
przez powietrze poleć szybko.

Obojętne ci zakusy
niecnej polityki pszczelej
i żarłocznej liszki susy,
której miękisz twój był celem.

Siejąc wokół wonny zapach
Wokół winny siejesz zaduch,
W gąsienicy miękkich łapach
do cmentarza krok od sadu.

Jak z jabłoni jabłko w piach mknie,
tak o ziemię gruchnie ciało.
Łapą ci na drogę machnie
nagle uwolniona gałąź.

1969 S.T.S.

„Raz się żyje”

Andrzej JARECKI

Krystyna Marek

(11.10.1914 w KRAKOWIE — 30.3.1993 W BERNIE)

W ostatnich latach Krystyna Marek już tylko rzadko opuszczała swój dom w małym podberneńskim Laupen. Poważna choroba serca zmuszała do oszczędzania sił. To wygodne, jasne, przestronne, ale nie za duże mieszkanie wynalazła sobie dawno, uciekając od zgiełku i nerwowości Genewy w zacisze szwajcarskiej prowincji. Polubiła swoje małe Laupen i nawet z pewnego rodzaju dumą lokalną opowiadała o dziejach i znaczeniu — także z punktu widzenia historii sztuki i architektury — średnio-wiecznego zamczyska, górującego nad miasteczkiem. W spokoju laupeńskim znajdowała dogodne warunki na intensywną i wielostronną pracę. Oprócz bowiem ściśle naukowych badań z zakresu prawa międzynarodowego Krystyna Marek zajmowała się także przedstawianiem spraw polskich w wielu międzynarodowych organizacjach i wspierała fachową radą zmiany demokratyczne w Kraju.

Do myślenia w kategoriach politycznych przywykła od lat najmłodszych. Urodzona w Krakowie, stykała się od dzieciństwa z kwestiami politycznymi, krzywdą ludzką i nieszczęściem. Jej ojciec, Zygmunt Marek, adwokat, wielce zasłużony działacz PPS i poseł do Sejmu, był znany z rzetelności, matka zaś, Ada z Sarnów, należała również do PPS, ceniona lekarka, szczególną troską otaczała Państwową Szkołę Położnych, której była kierowniczką, przyczyniając się znacznie do lepszej opieki nad matką i dzieckiem. Z domu Krystyna Marek wyniosła nie tylko głęboką kulturę i zamiłowanie do wiedzy, ale także dyscyplinę, wrażliwość na ludzką niedolę i poczucie odpowiedzialności społecznej. Po przedwczesnej śmierci ojca w 1931 r., którą bardzo przeżywała, wyjechała do internatu w Szwajcarii i tamże uzyskała maturę. Na studia prawnicze wróciła do Krakowa na Uniwersytet Jagielloński. Studia właśnie ukończyła, gdy wybuch wojny przerwał dalszą pracę naukową. Przez Rumunię przedostała się do Francji, a po upadku Francji w czerwcu w 1940 r. udała się w dalszą wędrówkę i okrężną drogą przez Hiszpanię, Maroko i Casablankę dotarła w lutym 1941 r. do Anglii. Związana uczuciowo i formalnie z PPS, w Londynie włączyła się czynnie do pracy we właśnie powstałej Polskiej Informacji Społecznej. Zadaniem PIS-u było gromadzenie i opracowywanie materiałów z zakresu spraw politycznych i społecznych oraz pro-

wadzenie działalności informacyjnej wśród lewicy brytyjskiej — Partii Pracy, związków zawodowych, różnych stowarzyszeń, jak np. Fabien Society i związanej z nimi prasy. PIS działała wprawdzie w ramach Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, ale pozostawała pod całkowitą kontrolą Komitetu Zagranicznego PPS. Ponadto objeżdżała całą Wielką Brytanię z odczytami, naświetlającymi wydarzenia w Kraju w szerszym kontekście historyczno-politycznym. Z dużym zaangażowaniem działała ponadto w dobrze zakonspirowanej radiostacji „Świt”, nadającej rzekomo z Kraju, a w rzeczywistości umieszczonej w Bletchley, 40 mil na północ od Londynu. Następnie pracowała jako *attaché* w ambasadzie R.P. w Londynie. Wielostronną działalność i postawę Krystyny Marek w ambasadzie — m.in. w organizowaniu pomocy dla walczącej Warszawy w 1944 r. — ambasador Edward Raczyński tak scharakteryzował w swych wspomnieniach „W sojuszniczym Londynie”: „W pracy okazała się niestrudzona Krystyna Marek, jedna z najzdolniejszych osób, jakie zdarzyło mi się spotkać od lat i niezamordowana w swoim bojowym szturmie w obronie naszych praw i spraw, podjętych nie z pobudek urzędniczych ale ideowych”.

Po wojnie wróciła do Szwajcarii i kontynuowała pracę naukową, specjalizując się w dziedzinie prawa międzynarodowego i uzyskując doktorat na Uniwersytecie Genewskim. Jej praca doktorska pod tytułem „Identity and Continuity of States in Public International Law” ukazała się w 1954 i ponownie w 1968 r. w Genewie.

Od lipca 1954 do końca 1957 Krystyna Marek pracowała jako redaktor w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Jednocześnie nie zaniedbywała swych zainteresowań naukowych i gdy się w 1958 r. nadarzyła okazja otrzymania stażu naukowego w *Max-Planck-Institut für ausländisches öffentliches Recht und Völkerrecht* w Heidelbergu, szybko z niej skorzystała. Z Heidelbergu powróciła do Genewy, obejmując katedrę prawa międzynarodowego w *Institut Universitaire de Hautes Etudes Internationales* w Genewie. W 1968 r. spędziła szereg miesięcy w Stanach Zjednoczonych, wykładając na *Fletcher School of Law and Diplomacy* w *Tufts University*. Na Uniwersytecie Genewskim szybko zdobywała uznanie jako wnikliwy badacz i świetny wykładowca. Za całokształt pracy naukowej otrzymała w 1975 r. Nagrodę Jurzykowskich w zakresie socjologii. Krystyna Marek była autorką i redaktorem licznych prac naukowych w dziedzinie prawa międzynarodowego, szczególnie sądownictwa międzynarodowego. W ostatnich latach swoje siły ograniczone poważną chorobą serca koncentrowała na wykańczaniu wielkiej monografii o Kongresie Wiedeńskim 1815 r. z punktu widzenia prawa międzynarodowego, do której wynalazła w archiwach wiedeńskich bez-

cenne materiały. Od czasu do czasu zabierała także głos w sprawach prawniczych dotyczących Polski. Tak np. w *Kulturze* (nr 5, 1982) ukazał się jej obszerny artykuł o Jałcie lub w *Tygodniku Powszechnym* z 18 lutego 1990 o granicy na Odrze i Nysie.

Jedną z cech jej charakteru była gotowość do dialogu. Wyrażała się ona m.in. w tym, że Krystyna Marek należała do grona osób, które wzięły udział w październiku 1956 r. w Tybindze w pierwszym spotkaniu polskich naukowców zamieszkałych na emigracji i ich zachodniemieckich kolegów. Spotkanie poświęcone tematyce historycznej, szczególnie polsko-niemieckim stosunkom między pierwszą a drugą wojną światową, było ostrożną próbą nawiązania kontaktu z tymi kołami niemieckich intelektualistów, które znając zawilość sprawy chciały przezwyciężyć przepaść dzielącą Polaków i Niemców. Przedsięwzięcie to w 1956 r. było bardzo niecodzienne i niesłychanie trudne, na długą metę jednak zaowocowało obficie.

Równie cicho i dyskretnie Krystyna Marek działała na wielu polach, torując drogi. Była bowiem nie tylko wybitnym naukowcem, cieszącym się dużym uznaniem wśród fachowców, ale i rzecznikiem interesów polskich w wielu międzynarodowych organizacjach. Szczególnie mocno angażowała się w Międzynarodowej Organizacji Pracy, widząc tu odpowiednie forum na przedstawianie palących spraw, gdyż „Międzynarodowa Organizacja Pracy nigdy nie odpisała tej części świata na straty: czy to z inicjatywy wolnych związków zawodowych, czy własnych organów kontrolnych, wszelkimi dostępnymi sposobami próbowała przebić wiadomy mur i upomnieć się o realizację swoich celów w najbardziej niesprzyjających warunkach”.

Charakterystyczne, że w obszernym artykule o sprawie polskiej w Międzynarodowej Organizacji Pracy, z którego pochodzi powyższy cytat (*Kultura*, 10/1984) ani słowem nie wymienia swego wkładu. Mimo dużej pewności siebie i zdecydowanej postawy, była bardzo skromna, toteż nigdy nie chwaliła się swą działalnością na rzecz Solidarności. A przez cały czas bardzo aktywnie dopomagała cenną fachową radą i wsparciem — bądź w czasach Solidarności i trudnym okresie po 13 grudnia, bądź teraz w okresie poważnych przeobrażeń struktur politycznych i państwowych.

Krystyna Marek była bardzo serdeczna, bezpośrednia i miała duże poczucie humoru, choć bezwiednie stwarzała wokół siebie pewien dystans — dystans respektu wywodzący się z jej ogromnego autorytetu fachowego, solidności i całkowitego oddania się sprawie uznanej za ważną. Jednocześnie przykładem szczerego przywiązania i umiejętności utrzymywania prawdziwych przyjaźni może być jej krótka, a jakże wymowna notatka o Adamie Ciołko-

szu w tomie przygotowanym dla uczczenia jego 70-lecia urodzin. Zainteresowania historyczne Krystyny Marek nie ograniczały się tylko do aspektów prawniczych lub historii prawodawstwa, lecz sięgały daleko poza krąg ściśle fachowych zagadnień. Na swój sposób, to znaczy bez rozgłosu, ale czynnie wspierała Muzeum Polskie w Rapperswilu i z dużą życzliwością śledziła jego rozwój. Od lat należała do jury Fundacji Kościelskich w Genewie. A więc zaszczytem się w małym podberneńskim Laupen tylko pozornie było zaszczytem się na głębokiej prowincji szwajcarskiej, gdyż w domu Krystyny Marek odbijały się przeróżne sprawy i troski jak w czarodziejskiej kuli, widziane w szerokim kontekście historycznym.

Nina KOZŁOWSKA

Felicja Krance

Felicja Krance urodziła się 30 maja 1908 roku w Milanówku pod Warszawą. Jej ojcem był znany architekt Franciszek Lilpop. Studiowała malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, a później, w połowie lat trzydziestych, w Paryżu, w pracowni Józefa Pankiewicza.

Z Francji wyjechała do Stanów Zjednoczonych w 1941 roku i wkrótce potem podjęła pracę w Komitecie Pomocy dla Polских Jeńców Wojennych.

W 1946 roku Felicja i jej mąż Kazimierz zawiązali Komitet Pomocy dla Ociemniałych w Polsce, który umożliwił odrodzenie się Zakładu dla Niewidomych w Laskach. Komitet ten działał pierwotnie pod egidą American Foundation for Overseas Blind. Prace dla Lasek przerwała w 1950 r., kiedy opuściła na ponad dwadzieścia lat Nowy Jork, udając się wraz z rodziną do Oshkosh w Stanie Wisconsin. Wznowiła ją po powrocie do N. Jorku w 1973 r. i pozostała w zarządzie Komitetu Pomocy Niewidomym w Polsce do końca życia.

Mieszkając w Oshkosh prowadziła bardzo aktywną działalność na rzecz Polski i polskiej kultury. W tamtejszych szkołach średnich i wyższych wygłosiła dziesiątki odczytów poświęconych polskiej historii i sztuce, zorganizowała dziesiątki spotkań z przedstawicielami polskiej kultury. Do najbardziej spektakularnych osiągnięć należało zorganizowanie z okazji Millennium wystawy w Public Museum zatytułowanej Polish Heritage (Polskie

Dziedzictwo), obejmującej wiele dziedzin sztuki, nauki i muzyki (towarzyszyły jej liczne koncerty). Była też współorganizatorką obchodów 150-lecia urodzin Chopina.

Za szerzenie polskiej kultury Felicja i Kazimierz Krancowie zostali na wniosek Tymona Terleckiego odznaczeni Srebrnymi Krzyżami Zasługi. Odznaczenie nadał im Rząd Londyński.

W 1976 r. Felicja Krance została członkiem Komitetu Doradczego Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego, biorąc czynny udział w pracach Fundacji dosłownie do ostatnich dni życia. Dwukrotnie pełniła funkcje przewodniczącej Komitetu, w latach 1983-1985 i 1989-1991.

Z inicjatywy i dzięki wieloletnim staraniom Felicji Krance dokonano ekshumacji prochów Jana Lechonia i złożono je na cmentarzu w Laskach w 1991 roku.

Autobiograficzna książka Felicji Krance pt. „Powroty” została wydana w Polsce w 1991 r.

Felicja zmarła 4 maja 1993 w Chicago.

Joanna KRANCE

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Książki

Mój ślub*

Zaraz po przyjeździe Gralewskiego zaczęliśmy planować ujawnienie naszego małżeństwa. Chcieliśmy, żeby *faire-part* doszły do znajomych i przyjaciół w rocznicę naszego ślubu 18 stycznia 1943 roku. Bawiliśmy się doskonale, formułując to zawiadomienie. Gralewski napisał je swoim pochyłym piśmem wzdłuż dziecinnych rysuneków jadących pociągów. Nikt nie będzie wiedział, co te pociągi oznaczają...

ALICJA IWAŃSKA i JAN GRALEWSKI

podają do wiadomości,

że rok i 9 dni temu, dnia 18 I 42, odbył się ślub ich w kaplicy oo Jezuitów przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, w obecności dwóch świadków i dziada kościelnego oraz wyjaśniają,

że jeśli dotąd nie zawiadamiali o tym nikogo, to nie mieli po temu żadnych powodów praktycznych, a tylko nie życzyli sobie, by fakt, dotyczący wyłącznie ich dwojga, stał się sprawą publiczną,

że zależało im nie tyle na tym, by ludzie o ich małżeństwie nie wiedzieli, ile na tym, by zachowywali się tak, jakby o nim nie wiedzieli i że w związku z tym pragną złożyć na tym miejscu podziękowanie tym, którzy wiedząc o tym małżeństwie lub domyślając się go, zachowywali się z dyskrecją i taktem,

że sekret był im potrzebny i po to, by uniknąć narzucanej przez obyczaj konwencjonalnej formy małżeństwa, która wydaje się im nierozsądna i nieładna,

że ponieważ ta forma konwencjonalna była dla nich niemoż-

* Fragmenty książki Alicji Iwańskiej pt. „Potyczki i pragnienia. Pamiętnik 1918-1985”, która ukaże się nakładem Gebethnera i Ski.

liwa do przyjęcia, chcieli wytworzyć sobie nową, ale nie mieli przy tym zapędów reformatorskich i rzecz całą traktowali jako eksperyment ściśle osobisty,

że obecnie postanowili małżeństwo swe ujawnić, ponieważ tajność przestała już być dla nich subiektywną potrzebą, a eksperyment swój uznali za udany i radzi są wyniki jego pokazać innym,

że chcąc zachować nadal osiągnięty w doświadczeniu styl życia muszą prosić o zapoznanie się z następującymi objaśnieniami i żadaniami:

1. Alicja Iwańska zachowuje swoje nazwisko. Tego nazwiska, nie zaś nazwiska jej męża, używać należy mówiąc o niej, adresując do niej listy, prosząc do telefonu itp.

2. Nie życzymy sobie, aby o nas mówiono „państwo Gralewscy”! Takie państwo nie istnieje, istnieją tylko dwa państwa suwerenne, których wzajemne stosunki są ich wyłączną sprawą. Ponieważ jednak wygodnie jest mieć jedno słowo dla oznaczenia dwojga ludzi, tak lub inaczej skojarzonych, proponujemy nazywać nas jakimkolwiek rzeczownikiem w liczbie mnogiej, np.: łyżki, śliwki, buty, osły, oselki lub jeszcze lepiej rzeczownikiem, który w ogóle liczby pojedynczej nie posiada, jak „nożyczki”, „okulary” itp. Pozostawiamy każdemu wolne pole do fantazji.

3. Fakt naszego małżeństwa nie zmienia niczego w naszych stosunkach z innymi. Wszyscy proszeni są o traktowanie nas jako całkowicie odrębne i niezależne osoby („osoba” pochodzi od „osobny”!).

4. Małżeństwo nasze oparte jest o zupełną rozdzielną majątkową (intercyza spisana u notariusza Eydział-Zubowicza w Warszawie, No. repertorium 547/41), każde z nas utrzymuje się na własną rękę — nie należy łączyć naszych spraw materialnych ani też w żadnych okolicznościach traktować nas jako związanych i uzależnionych pod tym względem.

5. Nie bywamy u ludzi razem jako całość w dwóch osobach. Nikt nie ma obowiązku zapraszania nas razem, jeśli ma ochotę widzieć się tylko z jednym z nas, drugiego zaś nie chce widzieć w danej chwili lub też w ogóle nie lubi go, nudzi się w jego towarzystwie lub t.p. W wypadku zaproszeń trzeba wyraźnie zaznaczać, kogo one dotyczą.

6. Każde z nas ma swoje oddzielne mieszkanie i adres. Adres naszego wspólnego mieszkania nie jest podany do wiadomości publicznej, znają go tylko ci, którym zechcemy go podać. Natomiast do wiadomości publicznej podany jest numer wspólnego telefonu, z którego jednak, poza gronem najbliższych, ko-

rzystać można tylko w wypadkach o takim stopniu nagłości, jak ta, kiedy wzywa się straż ogniową lub pogotowie ratunkowe. W sprawach mniej nagłych należy się zwracać pod adresami naszych mieszkań osobistych. Każde z nas przyjmuje swoich gości u siebie, we wspólnym mieszkaniu przyjmowani są tylko goście wspólni.

7. Niech się nikt nie dziwi, jeśli posłyszysz, że zwracamy się do siebie per „pani” i „pan”, nie zaś per „ty”. Sądzymy, że postępowanie zgodne z naszym wstrętem do ekshibicjonizmu jest naszym dobrym prawem, nawet jeśli się komukolwiek wyda przesadne.

8. Prosimy nie zwracać się do nas z zapytaniami tego typu: „jak zdrowie szanownej małżonki?”, „czy zrobili już państwo zapasy zimowe?”, „czy państwo będą mieli dzieci?” itp.

9. Wchodzenie do obcej rodziny wskutek zawarcia aktu dotyczącego tylko osobistych spraw dwojga ludzi wydaje się nam czymś sztucznym, zdezaktualizowanym, a w efektach często śmiesznym a ambarasującym. Nie ma racji, by obce panie i obcych panów ni stąd ni zowąd mianować „drogimi ciociami” i „kochanymi wujami”. Te stosunki powinny się kształtować w sposób naturalny, przez istotną, a nie formalną sympatię, zżycie się, przyjaźń. Zastrzegamy sobie prawo nie oddawania się absurdalnym zwyczajom w tej dziedzinie.

10. Ceremoniał składania wizyt poślubnych wydaje się nam nudny i żmudny. Zamiast nich obiecujemy wszystkim wizyty pośmiertne. Ponieważ jednak tymczasem trzeba i ma się ochotę współżyć z ludźmi, a zapoznanie się ze znajomymi z obu stron wskutek niedołążności techniki nie może się dokonać drogą telepatii czy telewizji, więc też składanie tych wizyt wydaje się nam w pewnym stopniu uzasadnione. Nierozsądne jest tylko zamienianie tej prostej sprawy w chiński ceremoniał i uciążliwy obowiązek. Wizyty te — i tak już o rok spóźnione — będziemy składać nie z powodów etykietałnych, lecz ludzkich, jak chęć pokazania znajomemu żony czy męża, ciekawość, uczucia przyjaźni, dobry humor, chwilowy brak zajęcia, złośliwość itp. Sprawa rewizyty jako nie przerobiona dotąd eksperymentalnie, wymaga opracowania. Wdzięczni będziemy za sugestie w tej sprawie.

11. Prosimy o nieskładanie życzeń, bo to i tak nic nie pomoże, jeśli by miało być źle, a będzie niepotrzebne, jeśli będzie dobrze. Ryzyko należy podejmować z całą świadomością ryzyka.

12. Wszystkim, którzy są ciekawi naszej krytyki współczesnej formy małżeństwa oraz teoretycznych uzasadnień naszej formy

własnej, chętnie udzielimy wyczerpujących odpowiedzi. Zapytania należy kierować na piśmie indywidualnie do jednego lub drugiego z nas, a również na piśmie na nie odpowiemy. Wszystkie pytania, uwagi krytyczne, złośliwości, głosy oburzenia czy uznania będą równie chętnie widziane. Ale dla oszczędności czasu chcemy unikać jałowych dyskusji ustnych”.

W końcu stycznia 1943 roku zaczęły dochodzić do niewtajemniczonych nasze zwariowane, niebieskie *faire-part* i rozgadały się o nich warszawskie kawiarnie. Ludzie reagowali różnie. Przychodziły do nas listy miłe, rozbawione. Byli jednak i tacy, którzy się gorszyli, oburzali. Czesław Miłosz napisał niezbyt długi, ale ostro moralizujący list. „Wówczas, gdy ludzie się narażają i giną... my zajmujemy się sprawami osobistymi”. Taki był ton jego listu i bardzo mnie te oskarżenia dotknęły. Nie mogłam się doczekać powrotu Gralewskiego, żeby z nim raz jeszcze go przeczytać.

Tak się zdarzyło, że z nadchodzeniem naszych zwariowanych *faire-part* zbiegło się nadchodzenie zwyczajnych, konwencjonalnych zawiadomień o ślubie Henia Hiża z Danusią Wincentowiczówną. Henio miał do mnie okropną pretensję za te nasze „frywolne”, niebieskie *faire-part*, które dochodziły jednocześnie z ich poważnymi do tych samych przyjaciół i znajomych. Nic o ich planach jednak nie wiedziałam. — Nie jestem przecież jasnovidząca... nie mam talentów telepatycznych — tłumaczyłam. Henio mi jednak nie mógł przebaczyć.

Alicja IWANŃSKA

„Po słowach stąpaj jak po zaminowanym polu”

W *Wydawnictwie Dolnośląskim* w serii *Biblioteka Pisarzy Żydowskich* ukazało się bibliofilskie cacko: zbiór opowiadań Abrahama Sutzkevera *Zielone akwarium*¹. Oficyna Dolnośląska znana jest z książek wydawanych niezwykle starannie — biografia autora, faksimile rękopisu, noty bibliograficzne — w pięknej

1. Abraham Sutzkever, *Zielone akwarium*. Przeł. Michał Friedman. *Wyd. Dolnośląskie*, Wrocław 1992. Str. 164.

szacie graficznej i po przystępnych cenach. Z innych pozycji wydawnictwa warto wymienić *Rovigo* Zbigniewa Herberta i *Pląskorzeźbę* Tadeusza Różewicza. Wniosek: biadania nad sytuacją książki w Polsce są tylko w części uzasadnione.

Abraham Sutzkever urodził się w Smorgoniach w roku 1913, kształcił się w Wilnie i tu należał do grupy *Młode Wilno*, zrzeszającej żydowskich artystów. We wrześniu 1943 roku udało mu się zbiec z getta wileńskiego i przyłączyć do partyzantki sowieckiej. Od roku 1947 mieszka w Tel-Awivie; jest honorowym obywatelem miasta. Píše po żydowsku, choć równie dobrze mógłby pisać po polsku i po hebrajsku. Jest laureatem literackiej nagrody Izraela, poetą tłumaczonym na wiele języków.

Zielone akwarium jest zbiorem próz poetyckich. Osobiście jestem zwolenniczką umiarkowanego dozowania poezji w prozie; jeśli już, to najchętniej w takiej formie, w jakiej czynił to Nabokow: nie za często i jakby od niechcienia. Niemniej przy lekturze Sutzkevera poddałam się bez oporów; nigdy nie czytałam podobnego skrzyżowania poezji z autobiografią i baśnio-wością z tragedią.

Książka składa się z dwóch części: krótkich poematów prozą w części *Zielone akwarium* (1953-54) i dłuższych, poetycko-epickich opowiadań zatytułowanych *Dziennik Mesjasza* (1970-75). Ruth Wisse, autorka obszernego i niełatwo przyswajalnego wstępu pisze: „Życie poety rozdziwiło doświadczenie męczeństwa narodu żydowskiego, stanowiące otchłań między przeszłością a teraźniejszością. Prezentowane utwory są próbą połączenia skrajów tej przepaści, dzięki stworzeniu w sztuce ograniczonego wszechświata, do którego śmierć i zmienność nie mają dostępu”.

Proza Sutzkevera przypomina innych pisarzy pochodzących z Kresów: Idę Fink, Tadeusza Konwickiego, Litwina, Ischokiasa Meirasa, zamieszkałego od lat w Izraelu, a nade wszystko Leopolda Buczkowskiego. Podobnie jak autor *Czarnego potoku* Sutzkever nie mówi o wojnie, o Niemcach, o gettach, o obozach. W tym pozornym odrealnieniu nie chodzi jednak — jak u Buczkowskiego — o zmylenie tropów, o efekt błędnego koła, po którym poruszają się zbrodniarze i ofiary, i gdzie ścigani są również ścigającymi. U Sutzkevera role są wyraźne: ofiarami są Żydzi. Ale kat stracił prawo do imienia; określany jest jako „bestia” lub „myśliwy”; zamiast o drugiej wojnie mówi się o rzezi, zamiast o zagładzie — o wszechwładnym panowaniu Anioła Śmierci.

Magia słowa jest tylko formą, lecz i treścią tej prozy. Sutzkever pragnie, aby wyobraźnia i pamięć oddały mu jego zmarłych. Adresatami jego prozy są pomordowani; wszystkie opo-

wiadania zdają się być jednym długim listem pisany w zaświaty. Pisarz świadom jest, iż jego wyobraźnia — w której nie tylko „słowo dziwi się słowu”, ale rzeczywistość dziwi się swojemu obrazowi — wystawia go na ryzyko. „Po słowach stąpaj jak po zaminowanym polu — pisze w tytułowym opowiadaniu. — Jeden fałszywy krok, jeden nieopatrzny ruch i wszystkie słowa, które przez całe życie nizałeś na swoje aorty, rozerwą się razem z tobą na strzępy.

Tak oto szeptał do mnie mój własny cień, kiedy obaj, olśnieni światłem reflektorów-wiatraczków, wlekliśmy się nocą po polu minowym, a każdy krok oznaczający śmierć lub życie, wbił się w serce niczym gwóźdź w skrzypce”.

Cechy tej poetyki: przeładowanie gwałtownymi metaforami, obfitość personifikacji i poetyckich porównań. A także czułość języka, momentami ocierająca się o czułościowość. Sutzkever kocha swoich zmarłych namiętną, niemożliwą do zaspokojenia miłością. Jego proza jest księgą Hioba opowiedzianą językiem Pieśni nad Pieśniami. Ci, którzy twierdzą, że zagładę Żydów opisać można tylko suchym językiem dokumentu, będą musieli zmienić zdanie po lekturze tej książki.

Jest to zabieg terapeutyczny, obejmujący zarówno bohaterów, jak czytelnika, jak samego autora; wyobraźnia opowiada sobie baśń na temat rzeczywistości, która nie nadaje się do opisanego. Uniwersalizuje zbrodnię i cierpienie, upiększa je, to prawda, ale to piękno nie ma waloru łagodzącego. Przeciwnie: cierpienie i zbrodnia uwypuklone zostają przez kontrast. Rzeczywistość w opowiadaniach Sutzkevera została zaczarowana, ale nie zdradzona. Styl wysoki, poetycki współżyje ze stylem niemal Singerowskim: prostym, pełnym humoru, ironii, żydowskiego zaśpiewu.

Sutzkever nie cofa się przed drastycznymi opisami. W opowiadaniu *Pierwsze wesele w mieście* opisuje żydowskich palaczy trupów. Jeden z nich rozpoznaje wśród pomordowanych ciało swego dziecka: „Jestem — krzyknął — najszczęśliwszym ze wszystkich trupów!» Złapał dziecko i wskoczył z nim w ogień”. Ale cofa się przed opisem świata za drutami. W opowiadaniu *Janina i bestia* pisze w liście do nieżyjącej bohaterki, iż o tym, co działo się za drutami, opowie dopiero wtedy, „kiedy naszym czasem będzie wieczność”. Ta odmowa wydaje się pełna godności; czego nie można zaczarować słowem, nie warto jest słów. A jednak w prawie każdym opowiadaniu udaje się wyobraźni na moment zapanować nad śmiercią; staruszka z wnuczką na plecach („niebieską owieczką”) przekonuje chłopca, że zobaczył Boga; chłop wpuszcza je do domu. W opowiadaniu *Pierścionek* wyobraźnia ożywia na moment postać dziewczyny, której uciekający przez zamrznięte bagna narrator podarował był niegdyś

pierścionek z rubinem: „Od tego czasu we śnie, w którym dźwięki przemykają się jak ludzie, objawia mi się wiersz. Wyteśkniony, kochany wiersz, który znika jednak zaraz po obudzeniu jak owa dziewczyna z bagna. Zaczynam wtedy bić kamieniem słowa we własne serce. Biję tak długo, aż kamień skruszy się zupełnie, a sam padam bez tchu na ziemię. W takiej chwili bywa, że naprawdę przychodzi do mnie wiersz, który zniknął. Jest nagi, pokrwawiony, ale ze złotym pierścionkiem miłości i uśmiechem zroszonym łzami”.

Zielone akwarium całe jest takim wierszem. Poetyckim traktatem na temat tajemnicy życia, śmierci i miłości w świecie pełnym wrzasku i furii. Okazuje się, że poezja ciągle jeszcze potrafi udźwignąć dużo rzeczywistości.

Janina KATZ HEWETSON

Myśli o współczesnej poezji ukraińskiej*

1. Nie tak dawno poznałem młodego poetę z Iwanofrankowska, który przywiózł do Rzeszowa pierwszy numer pisma kulturalnego *Perewał* i długo rozmawialiśmy o wspólnych przygodach poezji ukraińskiej i polskiej. Te podobieństwa widać szczególnie w przesłaniach moralnych tych poezji i potrzebie służenia sprawie.

Z kolei, jak trafnie zauważył Mykoła Riabczuk w *Akcencie* lubelskim („O współczesnej literaturze ukraińskiej”), tę wspólnotę doświadczeń wyznacza nie tylko totalitaryzm, ale — jak to wyraził —

„połączone naczynie
nasze serca
i serce ojczyzny”

(Prostolinijne wiersze)

Riabczuk, to jeden z ciekawszych poetów, którzy zostali zaprezentowani w antologii współczesnej poezji ukraińskiej

* *Czarnobylski Autograf*. Antologia współczesnej poezji ukraińskiej. Tłum., wstęp: St. Srokowski i W. Smaszcz, Białystok 1991, s. 90.

„Czarnobyłski Autograf” Waldemara Smaszczu i Stanisława Srokowskiego. Ten poeta, eseista, redaktor czasopisma *Wseswit* ma nie tylko świadomość — by tak rzec — patriotycznych ciężarów, jakie zostały złożone na wątłe barki poezji, ale dostrzega potrzebę rewizji tradycji. Ta konieczność nowego spojrzenia na kulturę, literaturę ukraińską nie wyrasta z niego z jakichś nacjonalistycznych sentymentów, ale jest to — mówiąc słowami Miłozsza — „szukanie Ojczyzny”, szukanie własnej tożsamości. Takie stają wyzwania również przed innymi narodami Wschodu, jak mi się osobiście wydaje.

Myślę dalej, że Riabczuk jest jednym z tych poetów, którzy w codzienności, w małych, prywatnych doświadczeniach szukają jakiejś swojej, odrębnej drogi. Cykl „Prostolinijne wiersze”, przypominający nieco naszego Różewicza, to chyba tego najlepszy przykład. Riabczuk poruszył mnie liryczną refleksją, egzystencjalną prawdą, oszczędnym i cichym głosem. Nie brak w tych wierszach pokory wobec cudu życia, afirmacji natury, jak i dystansu, autoironii: „oto i ja zakończyłem/pierwszą trzydziestoletnią/wojnę/z samym sobą/nie przeminąłem nie przegrałem/nie zmądrzałem”...

2. Wybór Smaszczu i Srokowskiego, jeśli chodzi o prezentowane wiersze (szczególnie Dracza i Kostenko), nie dość reprezentatywny, ale pozwala na ostrożne, wstępne sądy. Poezja ukraińska poszukuje prawdy o sobie samej. Poeta ukraiński szuka, nieraz dość dramatycznie, własnej tożsamości. „Poezja jest prawdą”, mogłaby powiedzieć Tamiła Słobodianiuk, która wyznaje sugestywnie:

„Szukać siebie — jak dzień
w bezdomnej nocy
Jak dźwięk wśród westchnień organów.
Szukać siebie wśród trwogi
i strof poezji
Wśród przyjaciół, dawnych i nowych”

(+++ Szukać siebie...)

„Wejść w dom pamięci”, to pragnienie tej poezji. Nienasylenie. Niespełnienie, które jest jej życiem. Pamięć jest sercem tej poezji. Szukanie prawdy o człowieku, o pojedynczej i zbiorowej egzystencji, o Ukrainie i o Bogu. Szukanie jest wartością. To odwieczna prawda o poezji w ogóle, ale ukraiński dom jest pełen szczególnie bolesnych dni i nocy. Takim ciemnym doświadczeniem i kluczowym motywem tego wyboru jest Czarnobył. „Czarnobyłski Autograf”, to tytuł tryptyku Antoniny Cwid, jednej z ciekawszych poetek młodego pokolenia. To tra-

giczne doświadczenie powraca jak echo w wierszach Iwana Dracza (Czarnobyłska Madonna), Oksany Pachłowskiej (Czarnobyłskie wsie), Wasyla Rubana (+++ sto dwadzieścia kilometrów od Czarnobyła), Ihora Rymaruka (+++ Lisie nory i gniazda ptasie). Są to utwory różnej jakości artystycznej, nierówne, ale ich przesłanie jest jasne: dać świadectwo.

Te wiersze dają przede wszystkim świadectwo ciemnej rzeczywistości, wspólnemu bólowi, cierpieniu: „Ja — ledwie instrument/w którym płaczą sny mego narodu”, ale to nas nie powinno dziwić, jeśli znamy przeszłość i dzień dzisiejszy tego narodu. Czy można zatem do tych wierszy przykładać tylko kategorie artystyczne, zapominając o historii, o wspólnocie doświadczeń? Nie chcę rozstrzygać, bo literatura to nie bieg na 100 metrów przez płotki... Może się okazać, że „pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi”.

Lepiej oddam głos poecie i krytykowi ukraińskiemu, który pisał w *Akencie*:

„W ogóle nie wprowadzam tutaj żadnego wartościowania — ta literatura jest jaka jest, to znaczy jaka mogłaby być, w takich a nie innych okolicznościach społeczno-historycznych i narodowościowo-kulturowych”.

Równocześnie autor tych słów, Riabczuk, przyznaje, iż słabością tej poezji jest „niedocenianie problematyki estetycznej”. Jeśli literatura ukraińska będzie mieć więcej tak mądrych krytyków, nie wątpię, że sama odnajdzie swoją tożsamość, również artystyczną.

W omawianej tu antologii można też odnaleźć wiele wierszy będących zachwytem nad pięknem przyrody, która jest przecież ważną częścią ludzkiego domu: „Stare dęby! Za jesień wam dziękuję,/za odlot ptaków i radości./Nie do końca zahukana jestem skoro czuję,/jak książęcy szkarłat obok mnie szeleści” (+++ Stare dęby!, Lina Kostenko)

Wyraźny jest głos w obronie natury, która tak jak człowiek została porażona złem, cierpieniem: „Trwają zniszczone przez słoty/Cerkwie ze strąconymi krzyżami.../Spustoszone świątynie przyrody,/A winni, jak zawsze nieznanii”(+++ Trwają zniszczone..., Stanisław Szewczenko)

Poezja ukraińska nie tylko daje świadectwo naszym czasom, ale jest też obroną wartości, obroną pojedynczego i zbiorowego ludzkiego życia, przyrody, wiary i prawa do nadziei: „A może — nie, nie trzeba/Ogrzewać duszy, bo stanie się leniwa./Niech boli, niech pragnie nieba,/Niech pracuje jak strudzone ramię” (+++ Upadnie, T. Słobodianiuk)

3. Antologia „Czarnobyłski Autograf” jest cennym rozpoznaniami i — dla wielu — zapoznaniem się ze współczesną poezją

ukraińską, tym bardziej interesującym, że odnajdziemy tu głos wielu pokoleń: Dmytro Pawłyczko, Iwan Dracz, Lina Kostenko, czyli pokolenie urodzone w latach 30-tych; roczniki 40-te Jewhen Ukrainec czy Mykoła Worobiow; kolejne pokolenie urodzone w latach 50-tych to Oksana Pachłowska (córka L. Kostenko), Mykoła Riabczuk, Tamiła Słobodianiuk. Nie ukrywam, że będę z niecierpliwością czekał na indywidualne prezentacje takich poetów, jak Riabczuk czy Słobodianiuk, jak i szerszy, bardziej reprezentatywny wybór poezji dzisiejszej Ukrainy. Sami autorzy tych słabości antologii nie ukrywają i piszą we wstępie:

„Niniejsza prezentacja nie stanowi żadnej uogólniającej tendencji, nie pretenduje do żadnego uogólniającego obrazu, stanowi raczej zupełnie subiektywny dobór wierszy wyłoniony wedle gustu i możliwości tłumaczy”.

Zakończmy te pośpieszne uwagi słowami poetki, która mówi własnym, odrębnym głosem:

„Ślepcy wciąż idą.
W przepaść idzie świat wszystkich.
Świta. Ranek powstaje.
Możliwe, że to tylko ślepe źrenice wiedzą,
Że gdzieś tam daleko światło jest jakieś
Za jakąś miedzą”

Stanisław DŁUSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

CZAPSKI (Józef). *Wyrwane strony*. Str. 333 i 3 nlb. (Wyd. Noir sur Blanc, Szwajcaria 1993).
PASZKIEWICZ (Mieczysław). *Śladem Antygony*. Str. 170 i 6 nlb. (Wyd. FIS, Lublin 1993).
HELLER (Michał). *Siddmy sekretarz. Blask i nędza Michaila Gorbaczowa*. Przeł. z rosyjskiego Julia Juryś. Str. 409 i 3 nlb. (Wyd. FIS, Lublin 1993).
TUSZYŃSKA (Agata). *Kilka portretów z Polską w tle. Reportaże izraelskie*. Str. 149 i 3 nlb. (Wyd. Marabut, Gdańsk 1993).

Tadeusz Jordan Rozwadowski, *generał broni*. Wybór i opr. Stanisław Rozwadowski. Str. 294 i fotografie. (Wyd. nakładem rodziny Rozwadowskich, Katowice 1993).
NOWAK-PRZYGDZKA (Maria). *Słońce świeci o północy*. Str. 120. (Wyd. PoMost, Warszawa 1993).
MURZAŃSKI (Stanisław). *Między kompromisem a zdradą. Intelktualiści wobec przemocy 1945-1956*. Str. 272. (Wyd. Volumen, Warszawa 1993).

Polonica zagraniczne. Bibliografia 1982. Str. 232 (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1993).
ANDERS (Władysław). *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*. Str. 512. (Wyd. TEST, Lublin 1993).
ACCOCE (Pierre), RENTCHNICK (Pierre). *Chorzy którzy nami rządzą*. Przeł. Marta Kubiak. Str. 227 i 5 nlb (Wyd. TEST, Lublin 1992).
TRZISZKA (Zygmunt). *Na pochybel (powieść dokument)*. Str. 187 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Ziemia, Warszawa-Zielona Góra 1993).
LUBOMIRSKI (Karl). *Wiersze*. Przeł. na polski Wojciech Kunicki. Str. 104. (Wyd. TEST, Lublin 1992).
GARLICKI (Andrzej). *Z tajnych archiwów*. Str. 428. (Wyd. BGW, Warszawa 1993).
LEGUTKO (Ryszard). *Nie lubię tolerancji. Szkice i felietony*. Str. 160. (Wyd. Arka, Kraków 1993).
ŻERNICKI (Janusz). *Pałę świecę w południe*. Str. 64. (Wyd. Bydgosko-Toruńskie Stow. Pisarzy Polskich, Bydgoszcz 1993).
POLANOWSKI (Tadeusz). *Itaka i owaka*. Str. 220. (Wyd. Gebethner i Ska, Warszawa 1992).
FRONCZEK (Zbigniew Włodzimierz). *Złoto Bitgoraja*. Str. 304. (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1989).
DURACZYŃSKI (Eugeniusz). *Rząd polski na uchodźstwie 1939-1945. Organizacja. Personalna. Polityka*. Str. 488 i fotografie. (Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1993).
Odrodzenie Kościoła katolickiego w byłym ZSSR. Studia historyczno-demograficzne. Pod red. ks. Edwarda Walewandra. Str. 200. (Wyd. Instytut Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL, Lublin 1993).

PIETRKIEWICZ (Jerzy). *Anioł ognisty mój anioł lewy*. Z angielskiego przeł. Marta Glińska. Str. 194. (Wyd. MART-Norbertinum, Warszawa-Lublin 1993).
ZGORZELSKI (Czesław). „*W Tobie jest światłość*”, *Szkice o liryce religijnej Oświecenia i Romantyzmu*. Str. 124. (Wyd. KUL, Lublin 1993).
FERT (Józef). *Poeta sumienia. Rzecz o twórczości Norwida*. Str. 196. (Wyd. KUL, Lublin 1993).
TORZECKI (Ryszard). *Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej*. Str. 352. (Wyd. PWN, Warszawa 1993).
SZYPER (Adam). *Diabeł Żyd*. Wiersze. Str. 60. (Wyd. Oficyna Bibliofilów, Łódź 1993).
SZYPER (Adam). *Z poddasza snów*. Wiersze. Str. 64. (Wyd. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1991).
ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *Bramy rajy i dwie inne historie*. Str. 352. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
MORAVIA (Alberto). *Kobieta leoparda*. Przeł. Joanna Ugniewska. Str. 160. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
LAWRENCE (David Herbert). *Pruski oficer*. Przeł. Juliusz Kydryński. Str. 304. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
FRIEDMAN (Lawrence M.). *Republika wyborcu. Prawo, autorytet, kultura*. Przeł. Wojciech Madej. Str. 232. (Wyd. Verba, Warszawa 1993).
LEM (Stanisław). *Pożytek ze smoka i inne opowiadania*. Str. 272. (Wyd. Verba, Warszawa 1993).
FIK (Marta). *Zamiast teatru*. Str. 294. (Wyd. Verba, Warszawa 1993).
PROKOP (Jan). *Universum polskie. Literatura, wyobraźnia zbiorowa, mity polityczne*. Str. 106. (Wyd. Universitas, Kraków 1993).

- LOSSOWSKI (Piotr). *Stosunki polsko-estońskie 1918-1939*. Str. 212 i fotografie. (Wyd. Instytut Bałtycki w Gdańsku, 1992).
- KAFKA (Franz). *Dzienniki*. Tłum. Jan Werter. Tomy I i II: lata 1910-1923. Str. odpowiednio 358 i 380. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
- PILCH (Jerzy). *Spis cudzołożnic. Proza podróżna*. Str. 160. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
- O tożsamość grekokatolików. Str. 120. (Wyd. Ukraińskie Bractwo Chrześcijańskie św. Włodzimierza przy wsparciu Towarzystwa Ukraińców Katolików w Kanadzie, Warszawa 1992).
- KUŚNIEWICZ (Andrzej). *Constellations. Les signes du Zodiaque*. Przeł. z polskiego K. Jeżewski i François Xavier Jaujard. Str. 288. (Wyd. Robert Laffont, Paryż 1993).
- MITOSEK (Zofia, opr.). *Adam Mickiewicz aux yeux des Français*. Str. 402. (Wyd. PWN i CNRS, Warszawa-Paryż 1993).
- MOND (Georges), VIATTEAU (Alexandra). *Evolution de la situation legale des media dans les pays communistes totalitaires et post-communistes*. (Nadbitka z Revue d'etudes comparatives Est-Oest, 1992, 2-3, str. 251-84).
- Deutsch-Polnische Ansichten zur Literatur und Kultur. 1992. Str. 300. Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1993).
- LAUB (Gabriel). *Urlaub muss sein. Satiren zur Freizeit*. Str. 210. (Wyd. Langen Müller, Mönchheim 1993).
- EDELMAN (Marek). *Das Ghetto kämpft. Warschau 1941-43*. Przeł. Ewa i Jerzy Czerwiakowscy. Str. 100. (Wyd. Harald Kater, Berlin 1993).
- Unabhängige Periodika aus Polen 1976-1990. Bestandskatalog. Opr. Angela Murche-Kikut. Str. 476. (Wyd. Forschungsstelle Osteuropa an der Universität Bremen, Bremen 1992).

Polemiki

Coraz więcej Mrożka

Znany krajowy krytyk literacki Krzysztof Dybciak, autor „Panoramy literatury na Obczyźnie”, poinformował czytelników *Kultury* (numer 1/2 1993) o zażaleniu jakie dr Józef Garliński skierował do Ministerstwa Edukacji Narodowej w Warszawie o to, że nie został wymieniony w tej pracy (którą wydawca bez porozumienia z autorem określił jako podręcznik dla uczniów szkół średnich).

W odpowiedzi p. Dybciakowi ukazał się w *Tygodniu Polskim* (1 maja br.) list, podpisany przez dr. Z. Jagodzińskiego, wiceprezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i sekretarkę pt. „Temat dla Mrożka”, który z „nieznanych powodów” — jak pisze p. Jagodziński — nie został wydrukowany w *Kulturze*.

Nie sądzę, by wielu czytelników londyńskiego *Tygodnia* mogło zrozumieć o co chodzi w enigmatycznym liście dr. Jagodzińskiego, a że do tego sprawa rozpoczęła się w *Kulturze*, do niej kieruję moje wyjaśnienie.

Jeśli p. Dybciak porównał zdarzenie opisane przez siebie do humoreski Mrożka, dr Jagodziński przesuwając je jeszcze bardziej w kierunku mrożkowskiego absurdu. W jego liście nie pada bowiem nazwisko p. Garlińskiego, o którego osobę chodzi w całej sprawie. Ten niepoważny kamuflaż, poparty żenującym dziś patosem patriotycznym („przemoc w Ojczyźnie”, „wielkie tradycje ubiegłego stulecia” itp.) ma na celu zrobić z urażonej prywatnej ambicji „sprawę narodową”.

Dr Garliński jest zasłużonym historykiem, autorem kilku cennych książek z okresu ostatniej wojny i nikt mu tego nie odmawia. Ale wybitnych polskich historyków, piszących na polskie tematy w różnych językach, z angielskim na czele, jest wielu na całym świecie, a jeśli mniej się o nich słyszy, to nie z powodu mniejszych zasług, tylko może dlatego, że ceniąc swoją naukową pozycję, nie uważają za właściwe upominać się o miejsce w literaturze.

P. Dybciak nazwał swą pracę „panoramą”, od razu zakładając, że będzie to raczej szeroki niż szczegółowy obraz. Pretensje

pominiętych są nieodłączną konsekwencją każdego wyboru. Ale trudno dziwić się p. Dybciakowi, że niespotykany wypadek interwencji „pokrzywdzonego” w najwyższej urzędowej instancji, jaką w tym wypadku było Ministerstwo Edukacji Narodowej, porównał do mroźkowskiego absurdu. Nie wiedział, że dr Garliński nie uznaje pośrednich dróg i gdy np. poczuł się dotknięty recenzją swej książki — co zdarzyło się parę lat temu — choć recenzja była autorstwa członka Związku Pisarzy, którego on jest prezesem, nie zwracał się o arbitraż do sądu koleżeńskiego, tylko wprost do sądu angielskiego.

Zajmowanie swą osobą Ministerstwa, które ma chyba dziś w kraju ważniejsze zadania, nie najlepiej świadczy o trosce o polską kulturę, o której tyle jest mowy w liście p. Jagodzińskiego. Kwalifikuje on pracę p. Dybciaka jako szkodliwą, bo nie wymienia w niej dr. Garlińskiego ani wydawanego przez niego *Pamiętnika Literackiego* i proponuje krajowi, „zalanemu falą oskarżeń, pomówień, szkodliwych publikacji i wszelkiego rodzaju wypaczeń”, pomoc Związku Pisarzy w opracowaniu „prawdziwej Panoramy Literatury Polskiej na Obczyźnie”.

Mam pewne obawy co do „rzetelności” tego przedsięwzięcia (o której wspomina p. Jagodziński). I nie muszę daleko szukać podstaw tych obaw.

Pamiętnik Literacki jak i inne imprezy Związku Pisarzy są finansowane przez Fundusz Domu Pisarza, który został stworzony w Londynie pół wieku temu w trosce o polską literaturę i jej przedstawicieli. Należałoby więc oczekiwać od tej — nie prywatnej, lecz społecznej — instytucji, by bezstronnie traktowała wszystkie przejawy emigracyjnego życia literackiego. Nie małą rolę w tym życiu odgrywały *Wiadomości*, pismo, które ma wyjątkowe miejsce w historii polskiej kultury tak w okresie międzywojennym (powstało po 1924 r.) jak i na emigracji.

Gdy *Wiadomości* przestały ukazywać się w 1981 r. po 57 latach istnienia, a ich nagroda skończyła się w 1991 r. — Związek Pisarzy tego nie zauważył, a *Pamiętnik Literacki* (który znajduje często miejsce na ezoteryczne tematy) — nie poświęcił ani jednego słowa pismu, o którym dzisiaj w kraju pisze się prace naukowe i wydaje książki. Tyle o „rzetelności”.

Siódmego maja 1986, kilka dni przed dorocznym zebraniem jury *Wiadomości* p. Garliński (kilka lat wcześniej wybrany do tego jury jako prezes Związku Literatów) w gwałtowny sposób wymówił mi w rozmowie telefonicznej — której datę i treść zapamiętałam ze względu na pewne specjalne okoliczności — że nagroda *Wiadomości* nie została przyznana żadnej jego książce i że „nigdy tego nie zapomni”. I zapowiedzi dotrzymał.

Stefania KOSSOWSKA

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1. 4. 93

Od 1951 r. obywatelstwo polskie nadano 10. 656 osobom, w tym z RFN — 375 osobom, z Izraela — 140-tu, z Bułgarii — 133-em, z USA — 99-ciu, z Iraku — 64-em, z WNP — 61-en, z Francji — 48-miu, z Kanady — 44-em, z Jugosławii — 43-em, z Libanu — 35-ciu i z Wietnamu — 30-tu.

4. 4. 93

Z powodu cięć budżetowych nie zostaną otwarte Instytuty Kultury Polskiej w Mińsku, w Wilnie, w Pettersburgu, Kijowie i Koczetawie (Kazachstan). Obecnie poza granicami Polski działa 12 ośrodków i instytutów kultury polskiej — Wiedeń, Sofia, Bratysława, Praga, Rzym, Paryż, Berlin, Lipsk, Sztokholm, Budapeszt, Londyn i Moskwa. Nie zostaną też otwarte Instytuty poza Europą: w Nowym Jorku i w Tel-Awivie. Również nie zostanie otwarta żadna z planowanych placówek dyplomatycznych na Wschodzie. Zapowiadano otwarcie w tym roku ambasady: w Ałma-Acie (Kazachstan), w Taszkencie (Uzbekistan), w Tbilisi (Gruzja) i w Kiszyniowie (Mołdawia) oraz Konsulatów Generalnych: w Grodnie i w Brześciu (Białoruś), w Celinogrodzie (Kazachstan) oraz w Irkucku (Rosja). Koszt uruchomienia każdej z tych placówek oblicza się na około 200 tys. dolarów. *Jednak znalazły się pieniądze na nowe samochody dla Rządu i Senatu, na przyszłą siedzibę Prezydenta i kilku ministerstw.*

15. 4. 93

Urząd do Spraw Kombatantów odebrał uprawnienia kombatanckie uczestnikom wojny domowej w Hiszpanii. Jest ich w Polsce 80-ciu, w większości inwalidów. Walczył o to od przeszło dwóch lat poseł Niesiołowski z ZChN. Jeśli wziąć pod uwagę, że z praw kombatanckich korzystają dawni *ubecy*, to decyzja kompromituje Rząd.

27. 4. 93

W Wojsku Polskim ma zostać utworzony prawosławny ordynariat polowy. Głównym kandydatem na ordynariusza prawosławnego jest ks. bp. Szymon, obecny ordynariusz diecezji łódzkiej i poznańskiej. Otrzyma on stopień generała brygady. Kościół prawosławny w Polsce liczy ponad milion wyznawców.

29. 4. 93

W Warszawie miało miejsce inauguracyjne zebranie Klubu Polsko-Izraelskiego, który powstał z inicjatywy Wszechnicy Polskiej, Oddział w Warszawie i którego prezesem jest prof. Zbigniew T. Wierzbicki.

30. 4. 93

Na Ukrainie ogłoszono zbiórkę na opracowanie Panoramy bitwy pod Beresteczkiem.

1. 5. 93

Tygodnik Powszechny będzie wydawany przez spółkę, w której obok Wydawnictwa „Znak” uczestniczyć będą wydawnictwa francuskie: *Bayard Presse*, *Ouest France* i *Les Publications de la Vie Catholique*. Planowany jest wielokrotny wzrost nakładu i reorganizacja pisma. Linia programowa pisma będzie, naturalnie, utrzymana. ■ Nagrody imienia Piętaka za lata 1991-1992 otrzymali: Janusz Rudnicki za tom prozy „Można żyć”; Tadeusz Żukowski za tom poezji „Łza”; Tadeusz Słobdzianek za sztukę pt. „Prorok Ilja” oraz Tadeusz Komendant za krytykę literacką.

2. 5. 93

W pierwszym kwartale br. prezydent Wałęsa nadał 176 orderów i 4.173 odznaczenia, w tym 1.620 medali „Za długoletnie pożycie małżeńskie”. W br. przewiduje się przyznanie 25 tysięcy orderów i odznaczeń. Na ten cel przewidziano w budżecie 6 mld złotych.

8. 5. 93

Nakłady na oświatę w procentach budżetu państwa wynosiły w Polsce w ostatnich latach: w 1990 — 12,8 %, 1991 — 11,6 %, 1992 — 10,1 %, a w 1993 — 8,9 %. Bez komentarza.

11. 5. 93

Krzysztof Skubiszewski zrezygnował z kandydowania na stanowisko sędziego w Międzynarodowym Trybunale Konstytucyjnym w Hadze.

12. 5. 93

Gazeta Wyborcza podaje, że prawdopodobnie tygodnik *Spotkania* zostanie w niedługim czasie zlikwidowany na skutek wycofania się „Groupe Express Paris”, finansującej ten tygodnik.

17. 5. 93

Zmarł w wieku 88 lat Andrzej Kuśniewicz, wybitny pisarz, autor m.in. „Trzeciego Królestwa” i „Króla obojga Sycylii”.

25. 5. 93

Katedra Ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego z okazji jubileuszu 40-lecia działalności organizuje sesję naukową: Polsko-ukraińskie spotkania — historia, język, literatura.

27. 5. 93

W Księgarni Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim w Warszawie miał miejsce wieczór promocyjny książki Józefa Darskiego (Jerzego Targalskiego) pt. „Ukraina, Historia, Współczesność, Konflikty Narodowe. W wieczorze wziął udział Autor. Książkę omawiał Jakub Karpiński.

29. 5. 93

Ks. bp Tadeusz Pieronek, biskup pomocniczy Diecezji Sosnowieckiej, został wybrany sekretarzem generalnym Episkopatu Polski. ■ Papież przyjął rezygnację arcybiskupa Ignacego Tokarczuka z kierowania Archidiecezją Przemyską obrządku łacińskiego. Arcybiskup Tokarczuk złożył

rezygnację w liście do Papieża z 8 sierpnia 1992 r. Nowym kierownikiem Archidiecezji został arcybp Józef Michalik, dotychczasowy ordynariusz Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej.

ZACHÓD

9. 3. 93

Z.S. Siemaszko wygłosił w PUNO w Londynie odczyt na temat „Między krajem osiedlenia i krajem pochodzenia”, a ponadto 12 marca br. w Instytucie Wschodnim „Reduta” wykład na temat „Ujawnionych dokumentów sowieckich”.

18. 3. 93

W Londynie odbyło się posiedzenie nadzwyczajne Rady Powierników *The Polonia Aid Foundation Trust* (PAFT), na którym poinformowano, że budynek przy 43 Eaton Place w Londynie tzw. Zamek ma być sprzedany za 1.552.000 funtów. Po dokonaniu tej transakcji łączny kapitał PAFT-u będzie wynosił około 2,1 mln funtów.

1. 4. 93

Ambasador R.P. w Austrii, Władysław Bartoszewski, złożył 3-tygodniową wizytę w Australii, gdzie przebywał na zaproszenie Australijskiego Instytutu Spraw Polskich i Rady Australijskiej Światowego Stowarzyszenia Żydów Polskich.

23. 4. 93

Na Uniwersytecie Illinois w Chicago odbyło się seminarium poświęcone twórczości Anny Frajlich, pod przewodnictwem prof. Tymoteusza Karpowicza.

2. 5. 93

Zmarł w Paryżu w wieku 77 lat wybitny sowietolog płk Michel Garder. Jego książka „Agonia reżimu ZSSR” ukazała się w Bibliotece *Kultury* w 1966 roku.

10. 5. 93

Na Sorbonie w Paryżu — z okazji 500-lecia istnienia polskiego Sejmu — odbyło się kolokwium na temat „Le parlementarisme européen du bas Moyen Age aux temps modernes”.

16. 5. 93

Staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu z udziałem Polskiej Misji Katolickiej we Francji i Towarzystwa Opieki nad Polskimi Grobami Historycznymi oraz Księży Pallotynów odbyła się tradycyjna pielgrzymka na cmentarz w Montmorency. Ta doroczna impreza miała specjalny charakter, gdyż była 150-ą z rzędu.

18.5.93

Jerzy Toeplitz, założyciel łódzkiej szkoły filmowej (1947) oraz szkoły filmowej w Sydney (1968) otrzymał na Festiwalu filmowym w Cannes, *ex aequo* z kubańską szkołą filmową „Trzech światów”, nagrodę Roberta Rosselliniego.

1-7.6.93

Fundacja Archiwum Wschodniego w Warszawie oraz Komitet Archiwum Wschodniego w Londynie organizują w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie „Tydzień sumienia” od 1-go do 7-go czerwca włącznie. Będzie to spotkanie Polaków, którzy cierpieli w więzieniach, obozach i na zesłaniu w ZSSR. Zostanie zaprezentowany komputerowy Indeks Represjonowanych, liczący blisko 70.000 biogramów, oraz szereg wystaw przywiezionych z Warszawy („Martwa Droga” i „Ocaleni z Gułagu” Tomasza Kiznego, dyrektora agencji „Dementi”), projekcje filmów dokumentalnych i programów telewizyjnych z najnowszej historii Polski oraz spotkanie z Nikitą Pietrowym i Aleksandrem Gurianowem z rosyjskiego „Memoriału”. ■ Ośrodek „Karta” (Fundacji Archiwum Wschodniego) wspólnie z II Programem Telewizji Polskiej organizuje program pt. „Spotkanie z emigracją”. Treścią programu będą rozmowy i wywiady z przedstawicielami polskiej emigracji w Londynie celem poznania i udokumentowania losów i rodowodów polskich emigrantów i ich stosunku do obecnych zmian w Polsce. Program tych nagrań będzie pokazany 20 czerwca w TVP (także w telewizji satelitarnej).

21.6.93

Trzeci kanał telewizji francuskiej nada o godz. 9.30 film poświęcony Czesławowi Miłoszowi, zrealizowany przez Andrzeja Wolskiego i Pierre André Boutanga. Film składa się z dwu części (projekcja każdej min. 52). Pierwsza, nadana 21.6.93, dotyczy młodości Miłosza w Wilnie i jego pobytu w Paryżu w roku 1934; druga obejmuje okres drugiej wojny światowej i powojenny z naciskiem na twórczość literacką. Druga część będzie nadana 22.6.93 o tej samej godzinie.

KRONIKA NORWESKA

Od 1 do 9 lutego w Oslo odbywała się międzynarodowa konferencja poświęcona odpadom radioaktywnym w rejonach Morza Północnego, Barentsa i Karskiego. W trakcie konferencji prasowej Rosjanie ujawnili, że w pobliżu Nowej Ziemi wyrzucono wprost do morza 17 zużytych reaktorów atomowych. Na Półwyspie Kola znajduje się 270 reaktorów atomowych. Norweski Instytut im. Nansena ocenia, że jest to największe skupisko tego typu urządzeń na świecie. Większość reaktorów nie odpowiada jakimkolwiek normom (nawet rosyjskim).

Znajdują się tu też olbrzymie składy broni atomowej, odpady radioaktywne i poligon doświadczalny na Nowej Ziemi, gdzie dokonuje się podobnych eksplozji. Jednym z najpoważniejszych problemów są przeznaczone nie złom atomowe łodzie podwodne. Do roku 2000-go z użytku wyjdzie około 40 tego typu okrętów. Najprawdopodobniej odprowadzone zostaną do Zatoki Sajda. Odpady radioaktywne przechowuje się na starych statkach, w odległości zaledwie 2 km od centrum Murmańska. ■ W piątek 5 lutego po raz pierwszy w Norwegii biskupem została kobieta. Sprawa dotyczy oczywiście norweskiego państwowego Kościoła luterańskiego. Jest ona trzecią kobietą biskupem na świecie. Pani rektor, Rosemarie Kohn, została mianowana przez sfeminizowany rząd socjaldemokratyczny. ■ Rada Nordycka rozważyła wprowadzenie obowiązkowych wiz dla Bałtów. Według propozycji szwedzko-fińskiej wiza byłaby wspólna i obejmowała prawo wjazdu do całej Skandynawii. Sprzeciwia się temu Norwegia, do której już dziś mogą bez wiz jeździć Litwini. Oslo uważa, że powinna nastąpić dalsza liberalizacja w tej dziedzinie i ruchem bezwizowym należy również objąć Łotyszów i Estończyków. Tymczasem do Szwecji i Finlandii przyjeżdżają tłumnie tranzytem przez Bałtyk... np. Kurdowie czy mieszkańcy byłej Jugosławii. Szmuglem ludzi do Skandynawii zajmują się niemal otwarcie mafie z Armenii i Azerbejdżanu. ■ 12 lutego 1994 r. w Lillehamar rozpoczęła się zimowe Igrzyska Olimpijskie. Norweski Komitet Olimpijski znalazł się w dość szczęśliwej sytuacji, ogłaszając przetargi, a następnie realizując rozrzucone w okolicy Lillehamar skocznie, stadiony, hale, trasy zjazdowe czy biegowe. Mimo napiętego budżetu zdołał zmieścić się w narzuconych ramach. Z pomocą przyszedł... kryzys w budownictwie, ogromny spadek cen i liczne bankructwa. ■ Amerykanie, uczestniczący w zimowych manewrach NATO na terenie Norwegii, zaprosili po raz pierwszy dziennikarzy do potężnych magazynów wojskowych zbudowanych przed ponad czterema laty. Przyczyną ujawnienia składów są międzynarodowe umowy, zobowiązujące poszczególne kraje do informowania o zasobach i miejscu przechowywania broni. Hale, wykute w granicie, znajdują się w Południowym Trondelagu (środkowa Norwegia). Powierzchnia skalnych bunkrów — 36 hektarów. Przechowuje się tam pojazdy, broń, paliwo, prowiant i sprzęt medyczny. Jest tu np. zmagazynowany w kontenerach szpital polowy na 500 łóżek. Magazyny w bardzo istotny sposób przyspieszają ewentualną amerykańską pomoc militarną dla Norwegii. W przypadku ataku konieczne byłoby wtedy jedynie przerzucenie ludzi. ■ Na początku marca odbyło się w Oslo posiedzenie Rady Nordyckiej. Dyskutowano m.in. sprawy ochrony środowiska w rejonie Mórza Bałtyckiego i Barentsa. Tylko w Niklu koło Murmańska trzeba doraźnie zainwestować około 1 miliarda dolarów, by zapobiec katastrofie ekologicznej. By móc przeprowadzić ambitne plany pomocy dla postkomunistycznych sąsiadów, rozważa się wprowadzenie obowiązujących w całej Skandynawii podatków na rzecz ochrony środowiska. Innym rozwiązaniem może stać się zapro-

ponowane przez Norwegów Bałtyckie Lotto. Wg szacunku mogłoby ono zasilić fundusze blisko 4-ma miliardami dolarów rocznie. Byłaby to jednak kropla w morzu potrzeb, które szacuje się na prawie 100 miliardów. ■ W marcu w Brukseli ogłoszono oficjalnie, że podanie Norwegii do EWG o rozpoczęcie rokowań w sprawie członkostwa zostało zaakceptowane. Ekonomia norweska uzyskała bardzo wysokie notowania. Tak dobre, że Norwegia powinna wpłacać do kasy Wspólnoty ponad miliard dolarów rocznie. Sama otrzyma z powrotem zaledwie połowę tej kwoty. Gospodarka kraju jest bardzo czuła ze względu na zależność od ropy naftowej.

Oslo, 2.5.1993

Paweł GAJOWNICZEK

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 472 — WACŁAW A. ZBYSZEWSKI

ZAGUBIENI ROMANTYCY I INNI

Wybór esejów jednego z najwybitniejszych publicystów polskich, zamieszczanych w *Kulturze* i londyńskich *Wiadomościach*. Oto ich tytuły: CZ. I. SPRAWY I TROSKI: Zmartwienia pesymisty; Dwa okresy powojenne; Polska a świat katolicki; Bilans emigracji w Anglii; Francja i Polska; Kto był prorokiem: Malthus czy Marx. CZ. II. ZAGUBIENI ROMANTYCY: Polscy pisarze są bez szans; O pisarzach i redaktorach; Zagubieni romantycy. CZ. III. LUDZIE KTÓRYCH ZNALEM: Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim; Stroński; Stanisław Mackiewicz; Sceptyk i arystokrata; 100-lecie urodzin Adama Krzyżanowskiego; Sikorski; Melchior Wańkowicz; Profesorowie U.J. w latach dwudziestych; Prof. Kot i ludowcy; Juliusz Mieroszewski; O Józefie Czapskim.

Wybór poprzedza wstęp Stefanii Kossowskiej.

Str. 335

Cena F. 100,00

Listy do Redakcji

W. Odojewski

„Obym się mylił!”

Kultura

Szanowny Panie Włodzimierzu,

piszę do Pana przez łamy, ponieważ odniosłem wrażenie, że „recenzja” Pańska to jakby rodzaj listu do mnie. Listu w miarę życzliwego, z tu i ówdzie pojawiającym się sentymentem, lecz przede wszystkim zatroskanego; oto ktoś o nazwisku Rudnicki w złą stronę dryfuje. Pan opisuje pewnego kogoś, który młodym będąc poza „wyrzuconą falą stanu wojennego” nie wystawał, potem nabral dystansu i stanął obok (dobra faza), następnie zaś pofrunął do góry (wydaje mu się, zła faza) i tak zaciekle i szybko wali skrzydłami, aby Niemcy (i Polacy) nie zauważyli, że skrzydła jego z tej samej słomy są, która mu z butów wystaje.

Pan wybaczy, ale gdyby nie podpis pod tekstem, że chodzi Panu o opowiadania w „Można żyć” nie wiedzielibym, że chodzi Panu o nie właśnie. Pełno w liście Pańskim, proszę zauważyć, jakiś „Polaków”, dudni w nim „emigracja”, roi się od „Niemców”, wieje bez przerwy „Europa”, a na domiar tego jakieś „społeczeństwo” w nim raz po raz wyskakuje. A przecież nie pisze Pan tekstu otwierającego *Kulturę*, lecz tekst, było nie było, o prozie.

Dlatego proponuję Panu króciuteńki spacer, zejście z tej zgiełkowej, międzynarodowej areny i zajęcie w pierwszym lepszym parku pierwszej lepszej ławki, na której zwierzę się Panu, że:

— rzeczywistym bohaterem opowiadań „Można żyć” jest język, w którym się one dzieją. Dla mnie, naturalnie. A w nim, w tym języku, są rzeczywiście trzy jego fazy — narrator poza swój styl nie wychodzący, narrator obok niego i narrator „ponad” nim.

Pan wie, w prozie nie można uciec od budowy zdania — tak czy inaczej — zawsze wykoncypowanej. Zmora stylu doprowadzała mnie w „Trzeciej w prawo...” do szewskiej pasji, być może stąd właśnie tak wściekała nim zonglerka w „Odwiedzinach”... Po drodze musiało dostać się i postaciom. Moim, więc mam prawo. Trzymam je w walizce. Tam też siedzi Narrator-Rudnicki. To kuglarz, więc proszę nie dać mu się nabrać. Proszę nie łamać sobie karku stwierdzeniami typu: „w obcym mu społeczeństwie znalazł sobie miejsce (nieważne, że nie na zbyt wysokim piętrze tego społeczeństwa, on tego nie wie)...”

Używa Pan słów „naród” i „los”. Pisze Pan: „Nie wydaje mi się, żeby jakkolwiek osobnik tego narodu mógł pozbyć się tego losu”. A narrator nie wie, kim jest, „powołane przez niego postacie” również.

Ja Panu powiem szczerze, mi tego plecaka napchanego polsko-europejsko-tożsamościowymi kamieniami nie chce się wcale taszczyć. Ja sobie siedzę nad „Europą” i macham nogami. To znaczy..., żebyśmy się dobrze rozumieli, wiem po prostu, że nie powinienem pisać czując jego ciężar. On się musi sam napatoczyć. Albo i nie, łaski bez. Mi chodzi przede wszystkim o to, aby pisać tak, żeby nie było to nudne. Zwyczajnie po ludzku śmieszne, do łez i odwrotnie. Wtedy odstąpi się Wielka reszta, być może. Co wcale nie znaczy, że ważę sobie lekce plecakiem objuczonych. Czytam i szanuję. I gotów jestem poświęcić się przygrywając im na skrzypkach. Żeby po tej ich drodze z ostrą świadomością tego, kim się jest, nie było im za nudno.

W tym sensie pozdrawiam Pana ja i moja „matka”, która w postaci papugi siedzi na moim ramieniu. A wszystkie pozostałe figury wystają mi z kieszeni uchylając Panu kapelusza.

Janusz RUDNICKI

Dziękuję za udostępnienie mi listu p. Rudnickiego. Nie, nie będę z nim polemizował, bo — niestety — jednak się nie myliłem. Ale życzę mu sukcesów. Przy jego pewności siebie, chyba się ich doczeka.

Włodzimierz ODOJEWSKI

OD REDAKCJI

W chwili oddawania do druku tego zeszytu *Kultury* otrzymaliśmy Nr 21 londyńskiego *Tygodnia* z 22 maja br., w którym na pierwszej stronie znajduje się artykuł p. Andrzeja Świdlickiego pt. „Skrzyżowanie kontrastów”. Ten sam artykuł, nieco dłuższy i pod innym tytułem, autor przysłał do nas i zamieściliśmy go na str. 63-72. Nigdy nie publikujemy przedruków, ale czyż mogliśmy przypuszczać, że p. Świdlicki wysłał swój artykuł również do *Tygodnia*, a może i do innych redakcji... Niestety nie mogliśmy tego artykułu usunąć, gdyż opóźniłoby to ukazanie się *Kultury* o co najmniej 10 dni.

Przepraszamy Redakcję *Tygodnia* za ten „plagiat”, jak również naszych Czytelników.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawatu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

R.L., Francja — Według nas Pana „całki” i „ogony” są pozbawione wartości.

R.C., Polska — Pana krótki tekst *Dramat Słowińców* prawdopodobnie wydrukujemy.

A.K., Polska — Teorię Kopernika potępił Paweł V i Urban VIII. Ale sam Pan pisze, że Paweł VI nazwał Kopernika, w liście do kardynała Wszyńskiego, „złocistym promieniem wśród społeczności uczonych”. Wzywa Pan do uczczenia Kopernika w memoriale skierowanym do Jana Pawła II. Posłał Pan swój memoriał do Watykanu. Nie widzimy potrzeby przedrukowywania go w *Kulturze*.

S.M., Holandia — Może to wina recenzenta, ale książeczka Grodzińskiego nie wydaje mi się ciekawa. Pana polemiki z O. Bocheńskim nie wydrukujemy.

W.Ż., Francja — Jeżeli „nowo-mowa” ostała się tylko w tygodniku *Nie* i w oratorstwie sejmowym posła Łopuszańskiego, to jesteśmy na dobrej drodze do pokonania choroby.

P.S., Polska — Pana artykuł składa się z dwóch części. Pierwsza, o potędze *mass-mediów*, jest już oklepana. Druga, o telewizji polskiej, powinna się ukazać w jakimś dzienniku warszawskim.

J.Z.L., Polska — Dziękujemy za bardzo obszerny list, podzielamy Pana niepokój zaprawiony gorczyczą. Nasze ograniczenia wydawnicze wykluczają możliwość wydania książkowej monografii Brocha. Ale proszę nam przysłać esej o Brochu, nie przekraczający 15 stron maszynopisu.

J.S., Brazylia — Interesująca i pouczająca jest Pana rekonstrukcja historyczna *Odwilż 1987*. Nadaje się niewątpliwie do *Zeszytów Historycznych*.

J.K., Polska — Ładny i wzruszający jest Pana tekst *Wyspa Starego i Nowego Przymierza*, ale do druku zniechęca nas fakt, że w skróconej wersji był już ogłoszony przez dwa pisma. Unikamy przedruków.

M.W. i W.W., Polska — Bardzo obszerny i mało realny jest opracowany przez Panów program naprawy Rzeczypospolitej. Konkretny — i, jak się zdaje, bliski urzeczywistnienia — jest w nim tylko postulat złamania monopolu telewizji państwowej.

T.L.M., Niemcy — Pana pochwała polskiej szkoły jest zbyt zdawkowa.

K.R.K., Szwecja — Pani wiersze nie zostały zakwalifikowane do druku.

W.M., Niemcy — Ma Pan dużo rzeczy do opowiedzenia, ale gorzej niestety z darem narracyjnym. Trudno oba teksty nazwać „opowiadaniem”, są raczej relacjami.

KSIĄŻKI

Alicja Iwańska:	<i>Mój ślub</i>	137
Janina Katz Hewetson:	<i>„Po słowach stąpaj jak po zaminowa- nym polu”</i>	140
Stanisław Dłuski:	<i>Myśli o współczesnej poezji ukraińskiej</i>	143
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	146
POLEMIKI		
Stefania Kossowska:	<i>Coraz więcej Mroźka</i>	149
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca i Kronika norwe- ska</i>	151
•		
Janusz Rudnicki:	<i>List do Redakcji a raczej do Wł. Odo- jewskiego</i>	157
—	<i>Od Redakcji</i>	158
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 1567-1993

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznica	roczna
Ceny na rok 1993			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95

TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Pośmiertnie wydany tom esejów znanego pisarza. Zawiera działy: O NARODACH, PODRÓŻ I O PODRÓŻY, MATERIAŁ DOWODOWY.

Str. 312

Cena F. 120

TOM 479 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO TRZECI

zawiera opracowania: Mirosław Czech: *Kwestia ukraińska w III Rzeczypospolitej*; Andrzej Friszke: *Memoriał polityczny Adama Bienia (kwiecień 1944)*; Z.S. Siemaszko: *Ujawnione dokumenty katyńskie*; Jerzy Timoszewicz: *Z dziejów Teatru Wileńskiego. Parę uwag o latach 1832-1864*; Maria Turlejska: *Uwagi o tzw. „Wspomnieniach W. Gomułki”*; Krzysztof Tarka: *Epigoni Wielkiego Księstwa Litewskiego — Krajowcy wileńscy 1937-1939; Dezercje Żydów z Armii Polskiej na Wschodzie*; Dora Kacnelson: *Kustosz Władysław Abramowicz*; Nika Kłosowska: *Fragmety wspomnień*; Walentyna Najdus-Smolarowa: *Lwów obecnie*; Bogusław Bakula: *W oczach historyków*; Piotr Wandycz: *O dyplomacji II Rzeczypospolitej*; Wojciech Krzyżanowski: *Źródłowa praca o żołnierzach polskich w Rumunii*; Adam W. Kulik: *„Obrządek słowiański w dawnej Polsce” czyli krzyżowanie historii*; Andrzej Suchcitz: *W cieniu Kapitolu*; Tadeusz Wyrwa: *Słownik biograficzny kobiet poległych w walce w okresie okupacji niemieckiej*; Andrzej Chwalba: *Wykłady historyczne Józefa Piłsudskiego*; Hanna Świdorska: *Przyczynki do „rozrachunków z sanacją”*; Andrzej Friszke: *Listy Macieja Rataja do A. i S. Urbanowiczów*; Józef Dużyk: *Historycy; Polskie służby specjalne a organizacje emigracyjne na Zachodzie oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.